



ZBIORY OSRODKA KARTA

nr 2

podpunkt

Gdańskie zeszyty literackie nr 2 jesień 1984

Spis treści

| | |
|--|----|
| Wiktor Rachtan: Instrukcje i prognozy | 3 |
| Dariusz Pilar: Uściślanie pojęć | 5 |
| Aleksander Zinowiew: O społecznym statusie marksizmu, przeł. A.Cz. | 14 |
| Jan Pióro: Notatki; Przed pomnikiem; Na ulicy; Wybór ... | 20 |
| Tadeusz Żukowski: List do ojca aresztowanego w roku 1944; List do Stanisława Barańczaka z kraju sztucznego oddychania; List do przyjaciół oddychających w tym li- ście | 21 |
| J.D.: Kroniki | 23 |
| Stanisław Notecki: Na skrzyżowaniu | 35 |

ZAPISY ZDARZEŃ

| | |
|--|----|
| Grzegorz Kurkiewicz: Białego Gdańsk? | 37 |
| Andrzej Zarębski: xxx | 47 |
| Adam Dorycki: Niewypał | 50 |

Z HISTORII PISARZY

| | |
|--|----|
| Stanisław Notecki: Postać /o Lechu Bądkowskim/ | 74 |
| Lech Bądkowski: O cenzurze | 76 |

WŁADZA SŁOWA /2/

| | |
|--------------------------------------|----|
| Fragment o przemówieniu Władzy | 79 |
|--------------------------------------|----|

DEMONTAŻE

| | |
|---|----|
| Adam Marczyński: Dewastacja myśli | 81 |
|---|----|

KRESY, KRESY...

| | |
|--------------------------------------|----|
| Aleksander Jurewicz: Lida | 91 |
| Wojciech Książek: Moje Kresy | 92 |
| Kazimierz Nowosielski: Stamtąd | 94 |

NOTY

| | |
|---|----|
| Wolność czy wierność? /jota/ | 95 |
| Historia ku przestrodze E.W. | 95 |
| Poezje i czyny J.P. | 96 |
| Wiktor Woroszyński: List do redakcji - Jeszcze jeden przy- pis do "Narodzin" | 97 |
| W jakiej formie ukazał się drugi zeszyt PODPUNKTU | 98 |
| O człowieku numer 102078 wk | 98 |

Wiktor Rachtan

Instrukcje i prognozy

I

Na początku musi być nagi terror, uzasadniony wyższymi racjami i szczególną sytuacją /choć w istocie to terror stanowi rdzeń szczególności sytuacji/. Jest konieczne, aby terroryzowani uznali co najmniej ows racje /nawet jeśli nie są zdolni do uznania samej praktyki/. Wtedy spełnia się podwójna konsolidacja masy: dyscyplinarna - przez terror, oraz ideologiczna - przez uznanie racji wyższych /to pozwala na częściowe osłabienie terroru, które ma wzbudzić uznanie dla humanitaryzmu władzy/. Front terroru etopniowo uzupełniamy przez front ideologiczny i on przejmuje część funkcji dyscyplinarnych: zgodnie z tezą, że wolność to uświadomiona konieczność. Nieruchoma baza władzy ulega korzystnemu przeobrażeniu przez ruchomą nadbudowę. Wszelka krytyka /kiedy nie daje się jej uniknąć/ może dotyczyć jedynie tej nadbudowy. I to powierza się szczególnej baczności aparatu dozoru.

II

Tolerujemy protekt niezdecydowany, niepewny swych racji, wyrażony pokątnie lub nieśmiało, uzupełniany zapewnieniami o zasadniczej uległości. Czasem tolerujemy /lokalnie, w społeczności znaczących środowisk/ protekt ostry, ale krótkotrwały. Daje się go wyjaśnić "szokiem psychicznym", "oporami moralnymi", "wrażliwością uczuciową". Każdy protekt powinien wygasnąć z powodu swej oczywistej bezskuteczności. Ale oczekuje się, że protestator sam uzna błędność motywów swego spontanicznego postępku /nasi poprzednicy trafnie nazywali to składaniem samokrytyki, ale nie ma potrzeby, aby obstawać przy nazwie, akoro rzecz sama zostanie dopełniona/ i wezwie innych do zaprzestania działań opozycyjnych. Protest nieustępliwie długi uznamy za prowokację, szantaż i przejaw złej woli. On nadużywa naszej oierpliwości, więc ulega likwidacji wraz z uprawiającym go środowiskiem. W najwłaściwszym z języków znamy to "zniszczeniem gniazda oporu".

III

Zdobywszy Miasto Wolności, zachowujemy wjazdową bramę, nie zmieniony układ ulic, frontony gmachów i fasady domów. Zachowujemy kościoły, tolerując ich kultowe przeznaczenie. Turysta, przemierzający główne trakty Miasta, nie powinien dostrzegać zmian. Miasto przebudowujemy od wnętrza. Zachowujemy mowę mieszkańców Miasta Wolności i w niej wyrażamy zaprowadzony przez nas nowy ład. Zachowujemy formy ideałów, podporządkowując je wnoszonym przez nas treściom. Świadomość mieszkańców także przekształcamy od wnętrza. Starymi prawami Miasta Wolności uzasadniamy wprowadzenie stanu wojny, który następnie zniesiemy, eanym tym prawom wprzód nadawszy równoważną srogość. Tak ustanawiamy pokój, który musimy rozszerzać na oczekujące naszego podboju miasta reszty Starego Świata.

IV

RAJ przeznaczony jest tylko dla nas, ale o tym wiemy tylko my. Głosimy powszechność zbawienia i powszechności WALKI o zbawienie. W walce tej zawieramy doraźne sojusze, którym my wyznaczamy granice ważności, zawsze bacząc, by sojusznik aprobował stan swego ujarznienia. Sojusznik dźwigający się do roli partnera jest, każdorazowo, najniebezpieczniejszym z wrogów, przeciwi któremu ekierować trzeba wszystkie inne siły sojusznicze. Każdy sojusz zawieramy osobno, a między sojusznikami zaszczepiamy rywalizację, wykluczając sojusz sojuzników. Dzisiejei sojusznicy służą do likwidowania nieużytecznych już sojuzników wczorajszych. Dzisiejszych sojuzników zlikwidują nasi jutrzejsi sojusznicy. Tak obracamy koło historii - stopniowo niwelując teren pod budowę domu ZBAWIENIA. Pod naszym nadzorem trudzą się kolejno ci, co nigdy do domu tego nie wejdą. Ich kości wejdą w domu tego fundamanty - wielokrotnością warstw. Ich imiona przeklniemy, kiedy zmienią się konstelacje sojuzów.

Gdańsk, dnia 1-3 XII 1982

Dariusz Filar | Uściślanie pojęć

/Zapise wykładu wygłoszonego 12 kwietnia 1983 roku w Gdańskim
Towarzystwie Naukowym. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji/

Szanowni Państwo, dzisiejszego wieczoru pragnę dzielić się z Państwem przemyśleniami dotyczącymi czterech pojęć. Podejmę tutaj próbę ich wyodrębnienia i możliwie wyraźnego określenia we wzajemnych zależnościach. Zdają sobie oczywiście sprawę, że trudno o coś nudniejszego niż wykład poświęcony na definicje i formułki. Sądzą jednak równocześnie, iż pojęcia, którymi się zajmujemy, są same w sobie dostatecznie ciekawe, by znakomicie ułatwić mi zadanie i usunąć groźbę uspienia Państwa. Owe pojęcia to DEMOKRACJA, AUTOKRACJA, TOTALITARYZM i TOTALITARIANIZM.

Mylące przeciwstawienie

Demokrację i totalitaryzm zwykło się u nas traktować jako pojęcia - i zarazem jako zjawiska w życiu społecznym - w oczywisty sposób przeciwstawne. Mówiło się często i powtarza nadal: "Walczyliśmy z totalitaryzmem, bo chcemy demokracji". Wypowiadający takie hasła żywi przekonanie, że zwycięstwo demokracji wyklucza totalitaryzm, że bezpowrotnie go likwiduje. Otóż pogląd taki uważam za fałszywy, a przeciwstawianie sobie demokracji i totalitaryzmu za mylące z dwu przynajmniej powodów. Dostrzegam na twarzach niektórych z Państwa wyraz zdziwienia, a może nawet oburzenia, więc natychmiast postaram się stanowisko moje uzasadnić.

Dostateczny powód do tego, by zakwestionować sensowność omawianego przeciwstawienia stwarza już sam fakt, że pojęcia DEMOKRACJA i TOTALITARYZM odnoszą się do zjawisk g a t u n k o w o różnych, pochodzą z dwu różnych obszarów problemowych. Demokracja jest pewną formą powoływania (z woli ludowej większości) i sprawowania władzy. Totalitaryzm jest zaś pewną formą (centralistyczną, hierarchiczną, uniformizującą) organizacji społeczeństwa. Mam nadzieję, że dostrzegli Państwo, o co mi chodzi: gdy mówię o demokracji, zastanawiam się nad tym, czy społeczeństwa i czy swobodnie wybrana głosami większości danego społeczeństwa i czy swymi decyzjami realizuje tej większości dążenia. Gdy mówię o totalitaryzmie, staram się ocenić, czy społeczeństwo, które zamierzam tak ochrzcić jest zasklepienie w jednolitej strukturze, która każdemu człowiekowi wyznacza miejsce w ramach jednej jedynnej hierarchicznej piramidy, która narzuca jeden jedyny system wartości, która wymusza na wszystkich podporządkowanie się jednemu jedynemu programowi i tępi aspiracje indywidualne; która do najwyższej cnoty obywatelskiej podnosi jak najpełniejsze upodobnienie się do innych członków zbiorowości.

Z faktu, że pojęcia demokracji i totalitaryzmu dotyczą odrębnych obszarów problemowych, wyłania się kolejny argument za odrzuceniem ich kategorycznego przeciwstawiania sobie. Stany rzeczywistości społecznej odpowiadające tym pojęciom nie tylko się bowiem nie wykluczają, ale mogą - każdy na swoim obszarze - istnieć równoległe i wzajemnie się dopełniać. To znaczy: można sobie wyobrazić (a także wskazać wśród doświadczeń historycznych) społeczeństwa, które jednocześnie były i demokratyczne, i totalitarne. Które wyłaniały władzę w drodze wolnych wyborów i głosami większości, a zarazem ulegały procesowi tłumienia własnej różnorod-

ności i rozbudzania nietolerancji, roztapiania się w niesiony jedną wolą tłum, przeistaczania się w mechanizm do ślepego wykonywania zadań dyktowanych przez centralny ośrodek dyspozycyjny. A więc procesowi, który w odniesieniu do narodowosocjalistycznych Niemiec Erich Fromm obrazowo określił jako "ucieczkę od wolności". Przypomnę, że ostateczne dokonanie się tego właśnie procesu w tym właśnie kraju miało przecież u podstaw element na wskroś demokratyczny - wyborcze zwycięstwo Hitlera w dniu 5 marca 1933 roku. Lud wybrał wodza i oddał mu się w niewolę - demokracja i totalitaryzm splótły się w epijną jednię.

Przeciwstawienia istotne

Twierdząc, że demokracja wcale nie musi wykluczać totalitaryzmu, nakładam na siebie obowiązek dostarczenia odpowiedzi na garść ważkich pytań: co, w takim razie, jest istotnym zaprzeczeniem demokracji? w jakiej formie organizacyjnej społeczeństwa widzieć można wybawienie od totalitaryzmu? jak uchronić samą demokrację przed totalitarnym skażeniem? Domagać się tych odpowiedzi mają Państwo jak najpełniejsze prawo, a mnie pozostaje dołożyć starań, by odpowiedzi, których spróbuję udzielić, sprawiły jak najmniejszy zawód.

Pierwsze przeciwstawienie, na które pragnę zwrócić uwagę Państwa to DEMOKRACJA w obliczu AUTOKRACJI. Oba te pojęcia pochodzą z tego samego obszaru problemowego - obszaru wyrażania i sprawowania władzy - i oznaczają stany dokładnie odwrotne. W warunkach demokracji społeczeństwo ma charakter podmiotowy; ono - głosami większości - wyraża swoich przywódców, którzy pozostają przed nim odpowiedzialni i mogą być przez nie odwołani. Przywódcy w otoczeniu demokratycznym winni być tylko specjalistami od rządzenia, technicznymi nieledwie wykonawcami woli ludowej większości. Natomiast w warunkach autokracji ekipa rządząca jest niezależną warstwą, przynajmniej częściowo odizolowaną od społeczeństwa - traktowanego przez nią przedmiotowo - i istniejącą ponad nim. Autokraci (czyli samowładcy) nie potrzebują powszechnych wyborów, lecz nominują się sami. I nie realizują programów wynikających z przekonania i woli większości, lecz najpierw starają się owe przekonania i wolę uformować, a prawie równoległe lub tylko nieco później - z mniejszym lub większym naciskiem i z gorszymi lub lepszymi efektami - próbują nagiąć zbiorowość do kształtu, który sami uważają za najbardziej dla niej pożądany. Zabieganie rządzących o popularność i poparcie, jakie niekiedy ma miejsce w warunkach autokracji, nie jest więc nakierowane na stworzenie legitymacji władzy (motywacja taka byłaby eprzeczną z istotą mechanizmu), lecz jedynie na uzyskanie atmosfery, w której rządziłoby się łatwiej.

Również na jednym, wspólnym dla obu obszarze problemowym - w tym wypadku jest to obszar ukształtowania i organizacyjnego zespolenia tkanki społecznej - egzystują pojęcia składające się na drugie przeciwstawienie: TOTALITARYZM kontra PLURALIZM. Napomknąłem już wcześniej i pragnę teraz powtórzyć, że istotą totalitaryzmu jest ujmowanie społeczeństwa jako struktury jednolitej i jednorodnej, porządkowanej przez jedną jedyną naczelną zasadę, sterowanej z jednego centralnego punktu, dążącej do jednego, wspólnego dla wszystkich obywateli, nadrzędnego celu. Dlatego w totalitaryzmach niezwykle szerokie uprawnienia posiada zawsze władza centralna: ona monopolizuje większość decyzji ze sfery gospodarki, ideologii i kultury, ona zastrzega dla siebie uprawnienia najwyższego autorytetu wybierającego drogi państwowej nawy, określającego wzorzec idealnego obywatela i społecznego dobra, kontrolującego zgodność wszelkich przejawów indywidualne-

go i zbiorowego życia z panującą doktryną oraz rozdziałającego nagrody i upamięnienia. Jeśli napotykamy więc gdzieś kraj, w którym plakaty na murach przypominają nieustannie obywatelom, że stoi przed nimi otworem j e d y n a e ł u s z n a droga, w którym wszystkie organizacje - od zawodowych po dziecięce - powstają z inicjatywy władzy centralnej i pozostają pod jej nadzorem lub nawet stanowią jej swoiste przedłużenie, w którym systemy edukacyjne i informacyjne przekładają indoktrynację i ujednolicenie umysłów nad wymianą poglądów, dialog, dyskusję i polemikę - bez ryzyka omyłki możemy twierdzić, że napotkaliśmy totalitaryzm. Braki różnorodności form - ich ograniczona przez jedną jedyną sztafcę ubogość - i paniczna obawa przed ujawnieniem się rozwiązań alternatywnych są elementami totalitarnego pejzażu, których także nie sposób nie dostrzec. Jedna forma własności w gospodarce, jedna partia polityczna, jeden kierunek w sztuce; jeden, jeden, jedność... Raz jeszcze odwołując się do przykładu niemieckiego przypomnijmy hasło: "Ein Führer, ein Volk, ein Reich" czyli "Jedem wódz, jeden naród, jedna rzesza" - oto totalitarna esencja!

Pluralistyczny kształt społeczeństwa wznosi się na fundamencie, jakim jest przyjęcie za punkt wyjścia zróżnicowania rzeczywistości, uznania, że aktywność polityczna, gospodarza i kulturalna winna się przejawiać pod wieloma, równoległe istniejącymi postaciami, że autentycznym uzewnętrznieniem się zdrowia zbiorowości jest mnogość form realizowania aspiracji politycznych, mnogość form wytwarzania i konsumowania, mnogość form wzbogacania ducha... Jeśli totalitaryzm stara się wtłoczyć jedynostkę w ramy systemu i dopaować jej oobowód do hierarchicznej, monolitycznej konstrukcji zbiorowości, to pluralizm daje szansę procesowi diametralnie odmiennego - wyzwalania się twórczego potencjału indywiduum i powstawania konstrukcji społecznej złożonej z wielu odrębnych i stopniowo dopasowujących się do siebie elementów, konstrukcji - rzecz by można - mozaikowej. Jeśli totalitaryzm zastrzega prawo do podejmowania wszelkich istotnych inicjatyw dla władzy centralnej, to pluralizm czerpie siłę z inicjatyw rodzących się oddolnie, wśród szeregowych członków zbiorowości. Jeśli wreszcie totalitaryzm opiera się na jednolitej, obsesyjnie kontrolowanej przez władzę centralną strukturze organizacji politycznych i społecznych, to pluralizm w istocie swojej mieści ideę ewobodnego zrzeszania się ludzi, dla którego to procesu władza centralna tworzy jedynie najbardziej ogólne, prawne ramy. Niechże pozwolą mi Państwo teraz na plastyczne porównanie: społeczeństwo totalitarne to ciasno związany pęk liktorskich różeg (taki symbol wprowadził Mussolini); społeczeństwo pluralistyczne to swobodnie, w wielu kierunkach rozrastający się krzew.

Cztery modele społeczeństwa

W modelach społeczeństwa, które teraz Państwu zaprezentuję, pragnę uwzględnić jednocześnie i we wzajemnej współzależności rozważyć obydwie ukazane przed chwilą obezary problemowe. To znaczy, że modele te obejmować będą zarówno kwestię sposobu powoływania i sprawowania władzy, jak i kwestię kształtu społecznej struktury, w której otoczeniu władza wyrasta i którą - w mniejszym lub w większym stopniu i takimi lub innymi środkami - wiąże ze sobą.

Krzyżowe zestawienie pojęć, którym poświęcony jest dzisiejszy wykład pozwala wyodrębnić cztery modele ustrojowe, z których realizacjami stykała się /lub nadal styka/ ludzkość w wieku XX.

Zacznijmy od modelu DEMOKRATYCZNO-PLURALISTYCZNEGO; jego istotę stanowi połączenie mechanizmu wolnych wyborów do władz lokalnych i centralnych z nieskrępowanym, wielokierunkowym uzewnętrznianiem się i przekształcaniem w działalność dążeń różnych grup społecznych. Model ten jest swego rodzaju wzorom i trudno powiedzieć, czy znajduje on gdziekolwiek w świecie współczesnym spełnienie stuprocentowe. Jednak bez wątpienia najbliżej tego kształtu społeczeństwa znajdują się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Niejako na przeciwnym biegunie umiejscowić należy model AUTOKRATYCZNO-TOTALITARNY; tutaj następuje zespolenie samowładztwa /funkcjonowania władzy bez wyborów lub wyłonionej przez ich imitację/ z krańcowym rozszerzeniem ingerencji organów centralnych administracji państwa we wszystkie bez wyjątku sfery życia społecznego, z wyeliminowaniem wszelkiego rodzaju inicjatyw oddolnych na rzecz kierowania całej energii ludności w jeden, odgórnie wybrany, kanał. W tym kształcie okrzepło społeczeństwo ZSRR w dobie stalinowskiej.

Pozostają nam do rozpatrzenia dwa modele pośrednie, dwa modele wypełniające przestrzeń rozciągającą się pomiędzy odmalowanymi dopiero co biegunami.

Pierwszy z nich to model AUTOKRATYCZNO-PLURALISTYCZNY; jego wcielenia zaobserwować można w społeczeństwach wyzwalających się już z chorób autokracji i totalitaryzmu, ale wciąż jeszcze niedolnych /na skutek przyczyn wewnętrznych lub zewnętrznych/ do zbudowania kompletnego modelu demokratyczno-pluralistycznego. W modelu autokratyczno-pluralistycznym władza nadal nie pochodzi z wyboru i pozostaje poza społeczną kontrolą, ale równocześnie nie jest już w stanie scalać i uniformizować oddziaływać na masy, nie jest w stanie skutecznie narzucać im swojej ideologii i kontynuować swojej politycznej wszechobecności. W warunkach tych społeczeństwo wkracza już na drogę emancypowania się, odnajdywania samego siebie pod postacią odrębnych grup i podgrup o różnicowaniu się, pluralizowania/. Znakomitym przykładem omawianego procesu jest Hiszpania w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, a więc u schyłku rządów generała Franco.

I wreszcie model DEMOKRATYCZNO-TOTALITARNY: w przeciwieństwie do naszkicowanego przeze mnie uprzednio modelu autokratyczno-pluralistycznego, który odpowiadał fazie zdrowienia społeczeństwa - ten przypada na okres jego pograżania się w chorobę lub przechodzenia do nowego etapu choroby. Może się zdarzyć, że pewne wstrząsy /wojny, kryzysy gospodarcze/ tak mocno wytrąca społeczeństwo demokratyczno-pluralistyczne z jego zwykłych ram, że nie potrafi ono dłużej bronić swojej subtelnej złożoności. Co raz częściej postrzegana jest ona jako chaos /i w istocie staje się chaosem/, zaś reakcją na to są narodziny powszechnej tęsknoty za prostym porządkiem jednej jedynej ideologii, za bezpieczną kryjówką wśród jednakowych członków tłumu, za oddaniem się pod ręką silnego wodza. Lud /tak, tak - ten demos, co współtworzy pojęcie demokracji/ przesiąka więc tęsknotą totalitarną i nierozdako udaje mu się osiągnąć jej spełnienie. czego przykład mamy we wspomnianych już Niemczech wczesnych lat trzydziestych.

Może się zdarzyć i tak, że społeczeństwo od dawna i w pokorze znoszące warunki autokratyczno-totalitarne odmawia nagle posłuszeństwa - podrywa się w masowym, burzącym istniejący układ, nierzadko krwawym buncie. Otóż ten ożywczy i ozdrowieńczy na pozór zryw rewolucyjny jest nader często jedynie przejściem do nowej fazy choroby. Bowiem rewolucja w warunkach autokratyczno-

totalitarnych sama skażona bywa autokracją i totalitaryzmem: nikt nie jest większym wrogiem różnorodności niż zbuntowani niewolnicy i nikt łatwiej niż oni nie podporządkowuje się nowej dyktaturze... Przykład Napoleona siodłającego wielki ruch osiemnastowiecznych Francuzów to tylko jeden obrazek w bardzo długiej ich serii.

Jeśli zaprezentowałem Państwu te cztery warianty, pod postacią których przychodzi egzystować współczesnym społeczeństwom, to przecież nis po to tylko, by poprzestać na stwierdzeniu, że model autokratyczno-totalitarny jest wielkim złem, a model demokratyczno-pluralistyczny nieosiągalnym dobrem. Obecnie pragnę przedstawić parę uwag sięgających głębiej i dotykających mechanizmów, które sprawiają, że społeczeństwa przechodzą od jednego stanu do drugiego, że mogą zdrowieć i mogą chorować coraz częściej. Pragnę podjąć kwestię kontroli tych mechanizmów.

Tylko jeden cel

W czas wielu rewolucji zadziwiająco powszechna była iluzja, że możliwe jest równoczesne osiągnięcie dwóch celów - obalenie tyranii i zastąpienie jej przez władzę powołaną w drodze demokratycznych wyborów oraz podniesienie społeczeństwa w sferę prawdziwej wolności, różnorodności i tolerancji. Innymi słowy wiercono, że można jednocześnie sięgać i po demokrację, i po pluralizm. Powtarzam, że to iluzja! Walka o przejęcie i utrzymanie władzy /każda walka o władzę! / nie da się pogodzić z nadmierną różnorodnością przekonań i dążeń w nacierających szeregach. Przeciwnie - pożądane jest wówczas szeregow ujednoczenie i zwanie. Rewolucyjny demokratyzm nie przepada za nadmiernie wybujałą wolnością i lubi osiągać swe cele koźtem pluralizmu /a potem traci zwykle swój pierwotny charakter wyradzając się w czystą, typową dyktaturę sprawowaną przez jednostki/. Z drugiej strony procesowi tworzenia się społeczeństwa pluralistycznego nie służą wstrząsy towarzyszące gruntownym zmianom elit rządzących; proces ten wymaga raczej stabilizacji, dłuższego okresu spokoju pozwalającego grupom istniejącym w łonie większej zbiorowości odkryć i wyartykułować własną tożsamość. Rewolta czy inny wybuch może tutaj spełnić rolę pierwszego impulsu, sygnału początkującego proces, ale dla jego kontynuacji potrzeba już innej atmosfery.

Pragnę wyprowadzić z tego fragmentu mojej wypowiedzi dwa wnioski:

Po pierwsze - wyzwolenie społeczeństwa z okowów totalitaryzmu /zwłaszcza po długim okresie jego panowania/ i ukształtowanie zbiorowości pluralistycznej nie da się połączyć w czasie z próbami wymuszenia na autokratycznej władzy rozpisania wolnych wyborów. Podejmując grę polityczną można wybrać sobie z tych dwóch celów tylko jeden.

Po drugie - rewolucja /zwłaszcza rozpatrywana w perspektywie długookresowej/ nie jest środkiem do autentycznego osiągnięcia któregośkolwiek z tych celów.

Ten drugi wniosek - powracający zresztą w moich rozważaniach po raz kolejny, jak bumerang - pozwolę sobie wesprzeć cytatem z twórczości jednego z najwybitniejszych klasyków myśli politycznej - Aléxisa de Tocqueville'a. W dziele "Dawny ustroj i rewolucja" podjął on zagadnienie odziedziczenia przez ruch 1789 roku jednej z najistotniejszych cech fazy poprzedniej, którą to cechą była centralizacja. Napisał: "Rewolucja demokratyczna, która obaliła tyle instytucji starego ustroju, centralizację miała tylko wzmocnić..." A nieco dalej wyjaśniająco dodawał: "Ludzie roku 89 zwalili gmach, ale jego fundamenty pozostały w duszach tych, co go burzyli, i na tych fundamentach można go było szybko wznieść."

od nowa i zbudować solidniejszym, niż był kiedykolwiek." Rewolucje przynoszą więc w istocie zmiany powierzchowne, a sedno sprawy /"fundamenty w duszach" czyli wyobrażenia ludzi o sobie samych, o kształcie struktury społecznej i o własnym miejscu w jej ramach/ pozostaje nienaruszone. Do tej i do innych myśli Tocqueville'a a powrócę jeszcze za chwilę.

Walka o społeczeństwo, a nie o władzę

Teraz rozpatrzmy z kolei szerzej wniosek pierwszy. Przypominam jego sens: żyjąc w warunkach autokratyczno-totalitarnej opresji i myśląc o wydobyciu się z niej musimy zdecydować z czym walczymy - z autokracją czy z totalitaryzmem; musimy wybrać - czy naszym bezpośrednim, podstawowym celem jest demokracja czy pluralizm. Obu zadań na raz - jak dowodziłem wcześniej - dokonać się nie da.

Cóż - przedstawię teraz mój wybór. I będę go bronił, chociaż zdaję sobie sprawę, że - jak każdy wybór - może zostać przez niektórych z Państwa uznany za błędny, że znajdziecie Państwo nie gorsze od moich argumenty na obronę drugiej możliwości. Otóż zdecydowanie opowiadam się za dniem pluralizmowi państwa przed demokracją. Dlaczego? Demokracja jako program działania to wkroczenie na teren najbardziej zapalny w państwach autokratycznych - teren swobodnego tworzenia partii politycznych i teren wolnych wyborów. Samowładcy - zawsze głęboko /może nawet głębiej niż to uzasadnione/ przekonani o braku poparcia w masach - odczuwają podniesienie tych kwestii jako śmiertelne zagrożenie. Jest to dla nich sygnał do maksymalnej gotowości obronnej. Z drugiej strony hasła demokratyczne posiadają ogromną siłę oddziaływania na szeroką opinię publiczną, są w stanie niezwykle mocno zaangażować wielkie rzesze ludzi. W rezultacie rzucenie takich haseł na podatny grunt pozwala w stosunkowo krótkim czasie obserwować dojrzewanie następującej sytuacji: na jednym kierunku usztywniająca swoje stanowisko, mobilizująca siły autokracja, a na drugim gwałtownie radykalizujące się masy - dwie antagonistyczne siły coraz wyraźniej ustawiające się przeciw sobie. To przecież przeddzień rewolucyjnego wybuchu! I taką właśnie tezę zamierzam postawić: w warunkach odpowiadających modelowi autokratyczno-totalitarnemu przyjęcie przez opozycję programu, którego istotą i zadaniem pierwszoplanowym jest demokracja - oznacza uruchomienie zapalnika rewolucji /czy też "kontrrewolucji" wedle obrońców starego porządku - przynajmniej w niektórych państwach/. A o niesfektowności rewolucji jako formy przebudowania świata już mówiłem.

Uważam tedy za słuszne poprzestać na walce o pluralizm przeciwko totalitaryzmowi i pogodzić się - czasowo przynajmniej - z autokracją. Mój pogląd na tę sprawę wywodzę w dużym stopniu z mocno do mnie przemawiających przemyśleń cytowanego już dziś Tocqueville'a. Uważał on, że w gruncie rzeczy nie jest pierwszym problemem, czy rząd pochodzi z wolnych wyborów czy z autonomacji. Wielokrotnie ważniejsze jest i istotę zagadnienia stanowi odpowiedź na pytanie, jak wielki jest zasięg kontroli sprawowanej przez ten rząd, jak dalece ogranicza on samodzielność obywateli. Rząd demokratycznie wybrany, lecz posiadający możliwości kontrolowania i podporządkowywania swej woli każdej, najdrobniejszej sfery życia społecznego jest złem większym niż władza ustanowiona bez wyborów, ale ograniczająca swą aktywność do obszarów ściśle określonych, a pozostaje pozostawiająca swobodnej inicjatywie obywateli. Tocqueville'a raził nie tyle pozbawiony społecznego mandatu status władców, co raczej fakt, że władcy ci - cytując - "przetasowują pozycje społeczne, zrównują kondycję, w

miejsce arystokracji wprowadzają urzędników, w miejsce lokalnych swobód - jednolitość urzędzeń, w miejsce rozmaitych władz - jeden rząd". Innymi słowy: nie tyle martwiła go autokracja, co raczej zapędy totalitarne. Podzielał ten właśnie pogląd.

Postawmy teraz sprawę jeszcze raz i z możliwie największą jasnością: walka o pluralizm - w przeciwieństwie do walki o demokrację - nie jest skoncentrowana na dążeniu do usunięcia samowładców z centralnych organów państwa, lecz na wyłączeniu spod tych samowładców kontroli jak najszerszych obszarów zbiorczej i indywidualnej aktywności. Każda inicjatywa wyrastająca z autentycznych, oddolnych potrzeb, a nie z odgórnej inspiracji; każda działalność napędzana własnymi, samodzielnyymi motorami, a nie poleceniami z centrali; każda twórcza myśl alternatywna wobec obowiązkowej doktryny - to są pola walki o pluralizm. I niczego nie należy lekceważyć: kółko samokształceniowe i kółko parafialne, klub miłośników przyrody i klub dyskusyjny, niezależny tygodnik o zasięgu ogólnokrajowym i gazetka osiedlowa, założona przez krąg koleżeńcki, mała spółdzielnia mieszkaniowa lub firma - każda z tych form może się przyczynić do wzbogacenia /i umocnienia w tym bogatszym kształcie/ społecznej struktury. Wzrost samoświadomości poszczególnych grup i grupek, pogłębione zrozumienie przez nią własnych interesów, ich wzajemna c sobie wiedza i tolerancja wobec odmienności, wykształcenie się niezależnych autorytetów - wszystko to są elementy, które prędzej czy później muszą rozsądzić totalitarny beton. Elementy, które z roku na rok zmniejszać będą liczbę tych, którzy bezwolnie dadzą się ustawić w marszowych kolumnach i prowadzić w rytm wybijany przez jeden wielki bęben. Bo walcząc o pluralizm nie zaprzętały sobie głowy wyżynami władzy, lecz wokół siebie czynimy wszystko, co może służyć budowaniu wewnętrznie różnorodnego, otwartego, elastycznego i tolerancyjnego, samodzielnego w działaniu, po prostu ciekawszego i zdrowszego społeczeństwa. Bo walka o pluralizm to walka o społeczeństwo. Zmudniejsza, dłuższa i mniej efektywna od walki o władzę, ale - w moim przynajmniej przekonaniu - znacznie prawdziwsza i ważniejsza.

Władza autokratyczna a społeczeństwo zmierzające ku pluralizmowi

Dotarliśmy do najniższego bodaj punktu w moim wywodzie. Tutaj da się najpoważniej zakwestionować całą moją konstrukcję. Bo przecież możecie Państwo powiedzieć: autokracja z totalitaryzmem komponują się w harmonijną całość i jeśli nawet hasło pluralizmu nie jest tak zapalne jak odezwy demokratyczne, to jakaż istnieje podstawa, by mniemać, że nie wywoła ono skutecznego przeciwdziałania? Dlaczego autokracji mieliby pozwolić na niszczenie swego naturalnego dopełnienia? Czy budowanie pluralizmu pod okiem autokracji nie jest wysiłkiem beznadziejnym i czy w związku z tym rewolucyjny wybuch i tak nie jest finałem nieuchronnym?

Zdaję sobie sprawę z wagi tych pytań i zapewniam Państwa, że nie próbowałem zamykać na nie oczu. Odpowiedź, jakiej się dopracowałem na charakter wielostopniowy. Przede wszystkim inaczej należy patrzeć na każdą z dwóch kluczowych faz systemu autokratyczno-totalitarnego: na fazę ekspansji i na fazę schyłku.

W fazie ekspansji system autokratyczno-totalitarny /a chyba nawet bardziej poprzedzający go często wariant demokratyczno-totalitarny/ cechuje się całkowitym brakiem tolerancji i bezwzględnie /choć nie zawsze drastycznymi metodami/ niszczy wszystkie konkurencyjne wobec siebie czy też tylko nie mieszczące się w jego sztywnych kanonach formy życia politycznego, społecznego,

kulturalnego i gospodarczego. Jednolitość w realizowaniu jedynego wzoru postaw i działań wymuszana jest przez skuteczną kontrolę i ofensywną propagandę. Przeciwdziałanie totalitaryzmowi skazane jest więc w tych warunkach na konspirację lub półkonspirację, skupienie się na wybranych, nielicznych polach i na ograniczony zasięg. Chodzi tu przede wszystkim o przetrwanie, o przeniesienie zarodników pluralizmu do bardziej sprzyjających czasów. Przykładem może być działanie grup polskich intelektualistów, które nie pozwoliły się rozbić totalitarnej ofensywie lat 1948/49 i w szeregu wypadków zachowały twórczą żywotność po dzień dzisiejszy.

Zgoda inaczej rysuje się sytuacja w warunkach schyłkowej fazy systemu autokratyczno-totalitarnego. Demagogia, która działała kiedyś /ktoś jednak robił i popierał to wszystko!/ przestaje przemawiać nawet do najsłabszych umysłów, słabnie dopływ świeżej krwi do mnogich ramion totalitarnego molocha, system nadzorczo-kontrolny działa w rosnącej izolacji społecznej, więc traci skuteczność, scentralizowane mechanizmy /w tym gospodarczy!/ odsłaniają swoją rażącą nieefektywność; nadchodzi czas wielkiej próżni, nad którą autokracja wciąż panuje, ale której nie może już wypełnić totalitarna masa, próżni, której autokracja w ogóle nie ma już czym wypełnić.

Otóż ta nowa, schyłkowa faza systemu autokratyczno-totalitarnego także wymaga rozpatrzenia wariantowego. Owa wariantowość wynika z istnienia co najmniej trzech wyobraźalnych strategii, jakie w tych warunkach może przyjąć władza.

Istotą pierwszą z nich jest zastąpienie totalitarnej ofensywy z okresu ekspansji systemu sztywną obroną zdobytych pozycji. Z konieczności podstawową /i ostatnią!/ bronią władzy staje się aparat represji, a sytuacja zmusza zwolenników pluralizmu do działania ograniczonego i konspiracji - podobnie jak w fazie ekspansji systemu.

Strategia druga równoznaczna jest z powstaniem układu optymalnego: wewnątrz aparatu władzy pojawiają się i zdobywają prowadzenie siły, które mają pełną świadomość anachroniczności i nieefektywności systemu, na którego szczytach stoją. Siły te podejmują działania mające na celu odśrodkowy, kontrolowany demontaż systemu i budowę nowego społeczeństwa. W warunkach tych może nastąpić pełne współdziałanie władzy i sił propluralistycznych poza władzą; może w tych warunkach dojść do najszybszego wejścia w wariant autokratyczno-pluralistyczny i do zbudowania najlepszych podstaw pod system demokratyczno-pluralistyczny. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, iż taki scenariusz jest dostatecznie rzadki, by uznać go za nieziszczalną w gruncie rzeczy utopię.

I wreszcie trzecia strategia władzy - w odróżnieniu od zaprezentowanej przed chwilą najbardziej realna, dająca przesłanki do nakreślenia najbliższego chyba rzeczywistości scenariusza. W wariantcie tym władza autokratyczna zdaje sobie sprawę z pękania totalitarnych struktur i obumierania totalitarnej ideologii, ale nie chce - lub też nie może - z nich zrezygnować. Równocześnie władza ta ma świadomość narastających napięć i pragnie je - przynajmniej ościwo, na najgroźniejszych odcinkach - rozładować. W tym celu podjęta zostaje polityka przyzwalania na pewne, dające się kontrolować działania poza ramami struktur totalitarnych: rejestruje się stowarzyszenia niezależne, ale poświęcone specyficznym tylko sferom życia lub związane z wąskimi środowiskami, rozluźnia się gorset cenzury prewencyjnej i przyznaje

debit nowym tytułom, toleruje się odmienności światopoglądowe w kulturze i pewnych typach szkolnictwa, wzbogaca się formy dopuszczalnych działań gospodarczych. Stwarza się w ten sposób dla znacznej części najbardziej świadomych i aktywnych jednostek swoisty pluralistyczny azyl, w którym mogą szukać one spełnienia, bo pozbawione takich możliwości działania gotowe bytyby przetworzyć swoją energię w skierowaną przeciw reżimowi agresję /a reżim o tym wie!/. Oczywiście taki pluralistyczny azyl leży jeszcze bardzo daleko od wejścia w pluralizm autentyczny. Tworząc go autokraci czynią równocześnie wszystko, by nie dopuścić do porozumienia niezależnych grup między sobą, by odizolować je od szerokiego, społecznego zaplecza, by zagłuszyć ich głos tubą własnej propagandy. Jest to więc ze strony władzy gra równoczesnego zmniejszania napięć i hamowania procesu głębszych przemian, tworzenia enklaw pluralizmu i niezależności i szostelnego ich oddzielenia od reszty społeczeństwa, pozcrowania pełnej otwartosci w niektórych sferach życia i jak najściślejszego ich kontrolowania. A jak winny się w tej sytuacji zachować propuralistyczne siły społeczeństwa?

Uważam, że błędem byłoby nie wykorzystać oferowanych przez władzę zezwoleń, nawet tych ograniczonych koncesji. Ale takim samym błędem byłoby dać się zamknąć w ich ramach, pogodzić się z pluralizmem na uwięzi i dla wybranych. Inaczej można wyrazić to tak: nie należy tworzyć podziemia tam, gdzie można się bez niego obejść, bo możliwa jest działalność jawna, ale równocześnie trzeba uzupełniać działaniem zakonspirowanym te części niektórych inicjatyw jawnych, na które zezwolenia uzyskać się nie da. Dla przykładu: nie ma powodu, by powstrzymywać się od rozpowszechniania swoich przemysleń w ocenzonej prasie, ale nie ma też powodu, by powstrzymywać się od rozpowszechniania innymi kanałami przemysleń, które cenzura wstrzymała.

Nie jest przypadkiem, że użyty przeze mnie przed chwilą przykład dotyczył obiegu myśli. W warunkach dogorywającego systemu autokratyczno-totalitarnego /a nie zapominajmy jednak, że agonia taka może ciągnąć się latami/ najważniejszą sprawą jest kształtowanie świadomości społeczeństwa, świadomości zdolnej do podjęcia zadań, jakie przyniesie przyszłość. A zaraz drugi krok, czyli budowanie międzyludzkich więzi, wytwarzanie i umacnianie obszarów pełnego zaufania, tworzenie społecznej tkanki - każda nawiązana w tym okresie przyjaźń, każda znajomość, każdy akt współpracy - mogą wydatnie ułatwić dokonanie znacznie bardziej ważkich wysiłków w przyszłości.

Zakończę moje rozważania jeszcze jednym nawiązaniem do Alexisa de Tocqueville'a. Uważał on, iż rewolucji dokonuje masa jednostek w gruncie rzeczy rozproszonych, a scalanych tylko przez nienawiść do tyranii - dlatego nawet zwycięska rewolucja wytwarza pustkę, w którą z łatwością wkracza nowy totalitaryzm i nowa autokracja. Jeśli natomiast pragniemy podjąć wysiłek autentycznego przebudowania rzeczywistości, musimy zabrać się do tego nie jako owe rozproszone jednostki, lecz jako możliwie najliczniejsza, mozaikowa, elastyczna, posiadająca wartki krwi-obieg, otwarta w wielu kierunkach struktura. Zresztą samo zbudowanie takiej struktury jest już wielką częścią ostatecznego zwycięstwa.

Aleksander Żinowiew

0 społecznym statusie marksizmu

Zagadnienie społecznego statusu marksizmu nabiera szczególnie ważnego znaczenia w związku z tym, że z całą oczywistością ujawniły się odrażające plagi społeczeństwa komunistycznego, które budowało się i buduje jakoby według marksistowskiego projektu. Aby zorientować się w tym zagadnieniu, trzeba uprzednio przeprowadzić przynajmniej następujące rozróżnienia: 1/ pomiędzy nauką, religią i ideologią; 2/ pomiędzy pretensjami marksizmu i jego rzeczywistymi sprawami, pomiędzy jego adaptacyjną formą i jego maskowaną istotą; 3/ pomiędzy rolą marksizmu w warunkach, gdy określona kategoria ludzi szuka rozwiązania problemów burżuazyjnego lub innego niesocjalistycznego /niekomunistycznego/ społeczeństwa i rwie się do władzy z zamiarem rozwiązania tych problemów /przynajmniej dla siebie/ i marksizmem w warunkach społeczeństwa, w którym stał się on panującą ideologią państwową, w którym ludzie określonego rodzaju zdobyli władzę i zaczęli budować bądź już zbudowali nowe, socjalistyczne /lub komunistyczne/ społeczeństwo. Oprócz tego trzeba rozróżnić trwałe jądro /istotę/ marksizmu i jego warianty zależne od miejsca i czasu.

Na początku zastrzegę się, że społeczeństwem komunistycznym nazywam społeczeństwo takiego typu socjalnego, jakie uformowało się w Związku Radzieckim i jest klasycznym wzorcem dla wszystkich innych krajów, kroczących tą samą drogą /z nieznacznymi odchyleniami, uwarunkowanymi historycznie osobliwościami tych krajów, ale bynajmniej nie przeróbkami w ich projektach marksistowskich/. Zresztą, jeśli ktoś takie użycie wyrazów nie podoba się, nie nalegam na nie, gdyż dalej mowa będzie o bardziej konkretnym zjawisku - o marksizmie.

Nauka, religia i ideologia nie istnieją w izolacji wzajemnej i w czystej postaci, czyli bez wzajemnych elementów i bez wzajemnego wpływu. Doktryny religijne pretendują do stworzenia obrazu świata i do wyjaśnienia rozmaitych zjawisk przyrodniczych i społecznych, organizacje religijne spełniają funkcje ideologiczne, nauka zawiera liczne elementy ideologii, dostarcza materiału dla tej ostatniej i jest wykorzystywana przez nią itd. Jednakże w naszych czasach można wyraźnie dostrzec różnice pomiędzy tymi zjawiskami. Powstały antyreligijne ideologie, niezwykle rozwój osiągnęła nauka, odbierając religii i ideologii funkcję poznania otaczającego człowieka świata i samego człowieka, straciły dawną rolę ideologiczną liczne doktryny religijne i zostały zepchnięte na dalszy plan historii itd. i można w sposób dostatecznie określony odnotowywać różniące funkcje rozpatrywanych zjawisk w życiu społecznym.

Zadaniem nauki jest dostarczanie społeczeństwu wiedzy, opracowywanie metod zdobywania i wykorzystywania wiedzy. Używane przez naukę pojęcia dążą do jasności, określności, jednoznaczności. Zaś formułowane przez naukę twierdzenia ze swej natury dopuszczają możliwość weryfikacji czyli potwierdzenia, udowodnienia, sprzeczowania. Religia z kolei ma do czynienia ze zjawiskami duszy, z uczuciami religijnymi ludzi, z wiarą. Ideologia w odróżnieniu od nauki konstruuje się z nieokreślonych, wisłoznacznych wyrażań językowych, zakładających pewną interpretację. Twierdzenia ideologiczne nie sposób udowodnić i potwierdzić eksperymentalnie i nie sposób obalić. Są one bezsensowne. W odróżnieniu od religii

ideologia wymaga nie wiary w jej postulaty, lecz formalnego uznania lub przyjęcia ich. Religia niemożliwa jest bez wiary w to, co głosi. Ideologia zaś może kwitnąć przy zupełnym braku wiary w jej hasła i programy. Trzeba to koniecznie rozróżnić. Często styszy się zdziwienie z powodu takiego oto faktu: w Związku Radzieckim nikt nie wierzy w oficjalną ideologię, a tymczasem tam ona kwitnie. Na czym rzecz polega? Właśnie na tym, że w ideologię się nie wierzy, ale się ją przyjmuje. Wiara jest stazem psychiki ludzkiej, duszy. Zaś uznanie /przyjęcie/ jest tylko określoną formą zachowania społecznego. Kiedy się wierzy w ideologię, następuje wówczas przesunięcie historyczne: ideologia przyswaja sobie, nie właściwe dla niej jako takiej, funkcje religii. Kiedy argumentami rozumu próbuje się udowodnić czy obalić zasady ideologii, wówczas miesza się ją z nauką. Zadaniem ideologii nie jest odkrywanie nowych prawd o przyrodzie, społeczeństwie lub człowieku, ale organizacja świadomości społecznej, kierowanie ludźmi drogą doprowadzenia ich świadomości do pewnego, ustalonego wzorca społecznego. Ideologia może rozpocząć się od pretensji do tego, aby być nauką. Ale, zostawszy ideologią, traci wszystkie podstawowe cechy nauki. Ideologia może zapożyczać od nauki jej pojęcia i twierdzenia. Będąc zaś elementami ideologii, te ostatnie tracą charakter elementów nauki, stają się nieokreślone i nieweryfikowalne. W ramach ideologii mogą być wypowiedzane idee naukowe, sądy i hipotezy. Ale nie one warunkują ogólną sytuację w ideologii. Osoby, które to wypowiadają, czynią to nie w charakterze ideologów, lecz w charakterze uczonych, których okoliczności wciągnęły do ideologii.

Ideologiczne teksty i mowy, rzecz jasna, oddziałują same w sobie na oddzielnych osobników. Ale nie na tym polega specyficzny sposób oddziaływania ideologii na ludzi. A tu potrzebny jest specjalny aparat do jej uznania. Przy czym uznaniu nie towarzyszy zwykle rozumienie, bowiem rozumienie w zasadzie nie jest możliwe albo nie warte zachodu. Taki aparat się formułuje. Jego zadaniem jest zmuszanie ludzi do uznania ideologii i karania tych, którzy się sprzeciwiają. Oczywiście, w tym jest także element dobrowolności, gdyż uznanie ideologii w warunkach jej panowania pozwala wielu ludziom ubiegać się o sukces w karierze i cieszyć się jakimś dostatkim. Dla wielu bez uznania ideologii nie jest możliwe w ogóle istnienie. Takim samym aparatem przymusu dysponował w swoim czasie, na przykład, i kościół chrześcijański. Ale kościół łączył w sobie nie tylko funkcje religijne, lecz także i ideologiczne. I czasem wykorzystywał pierwsze w interes drugich. Możliwość rozdziału i nawet przeciwstawienia tych funkcji ujawniła się stosunkowo niedawno, kiedy zaczęły się pojawiać ideologie antyreligijne /marksizm, narodowy socjalizm/.

Przejdźmy teraz do marksizmu. Historycznie powstał on jako pretensja do naukowego rozumienia wszystkiego na świecie. Wiadomo, że Marks się zajmował nawet matematyką. I chociaż nie potrafił zorientować się w zagadnieniach, które dziś rozumieją nawet niepojętni uczniowie, odpowiednio mądre wskazówki dla potomnych mimo to pozostawił. O Engelsie nawet mówić nie trzeba. Ten ogarnął wszystkie formy ruchu materii od mechanicznych przemieszczeń do myślenia. Wyjaśnił powstanie rodziny, własności prywatnej, państwa. I nagadał we wszystkim tyle wszelkich bzdur, że teraz wszystkie akademie nauk z całego świata trzeba by było skierować do poprawiania jego błędów i nonsensów. Lenin to samo: co słowo wkład do nauki. Nawet logikę potrafił jakoś rozwinąć, nie mając najmniejszego wyobrażenia o współczesnym mu stanie logiki, którą znał z gimnazjalnego podręcznika i z niedorzecznych idei Hegla.

Pretensję do naukowości marksizm ma i dziś. Ogłasza się nauką, przy czym nauką najwyższą, nauką najścisłą. Specjaliści od marksizmu kształcą się na uniwersytetach na pozór tak samo jak specjaliści od fizyki, chemii, biologii, matematyki... Często kształcą się oni razem ze specjalistami od nauki, w ich środowisku, tak że różnica pomiędzy nimi wychodzi na jaw dopiero później, gdy zaczynają oni grać rozmaite role /kiedy, na przykład, jeden fizyk zaczyna prowadzić badania w dziedzinie mikrofizyki, a drugi pisze książki o znaczeniu wypowiedzi Lenina i Engelsa dla rozwoju fizyki; kiedy jeden matematyk udowadnia twierdzenia, a drugi zajmuje się demagogią na temat genialnych idei klasyków marksizmu w matematyce i rozpatrują parę plus i minus według analogii i parę burżuazji i proletariatu/. Specjaliści od marksizmu otrzymują stopnie i tytuły naukowe, są wybierani do akademii nauk itd. I trzeba przyznać, że coś niecoś w ramach marksizmu robi się, co jest podobne do nauki i co można rozpatrywać z naukowego punktu widzenia. Jednakże w swej większości /przynajmniej w Związku Radzieckim/ marksizm dawno utracił właściwości nauki i przekształcił się w ideologię w najściślejszym sensie tego wyrazu. Być może, jest on teraz najbardziej klasycznym wzorcem ideologii. Taka jest ironia historii. Marksisci do tej pory obstają przy tym, że dzięki marksizmowi filozofia po raz pierwszy stała się nauką. Faktyczna zaś sytuacja jest całkowicie odwrotna: właśnie od marksizmu i w marksizmie filozofia po raz pierwszy w historii utraciła właściwości nauki i stała się jądrem i częścią składową ideologii. Kiedy wydawało się, że filozofia osiągnęła maksimum naukowości, w rzeczywistości oddaliła się ona od nauki na maksymalnie dużą odległość.

Dążenie marksizmu do tego, aby wyglądać jak nauka, ma szereg przyczyn tak historycznych jak i społeczno-strukturalnych/mamy na uwadze przyczyny działające obecnie/. Nauka zdobywała, a w naszych czasach - zdobyła, takie znaczenie w życiu społeczeństwa, że występować nie w imieniu nauki, byłoby po prostu czymś staroświeckim. Żywiono iluzję, jakoby raj na ziemi można uzasadnic naukowo. Marksizm powstał w walce z religią i rozmaitymi formami ideologii, związanymi z nią, przeciwstawiając im naukowy pogląd na wszystko, co się dzieje na świecie. Sama nauka w owym czasie miała taką postać, że przeprowadzenie wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy nią a ideologią była rzeczą niemożliwą. Również i teraz nie jest to jeszcze takie proste. W najbardziej nowoczesnych naukach i teraz pojawia się wszelkiego ideologicznego głupstwa nie mniej, niż w minionych stuleciach.

Ale najważniejsze, co określa naukopodobny wygląd marksistowskiej ideologii w ukształtowanym społeczeństwie komunistycznym, to jest jego rzeczywista rola w funkcjonowaniu tego społeczeństwa: rola środka kierowania masami ludzkimi, środka standaryzacji ich zachowania, środka eksploatowania niższych warstw ludności przez wyższe itd. Marksizm maskuje się, przybierając postać nauki, i dzięki temu łatwiej jest przedstawić uformowane społeczeństwo jako najwyższy i wynikający z natury rzeczy produkt obiektywnych praw historii, przedstawić działalność kierownictwa jako działalność prowadzoną w imieniu tych obiektywnych praw, przedstawić wszelką interesowność i idiotyzm kierownictwa jako genialną naukową dalekowzroczność itp. W pierwszych latach /a nawet dekadach/ istnienia społeczeństwa sowieckiego dla pswej części ludności /wielkiej i aktywnej/ marksizm odgrywał rolę podobną do religii. Istniała wiara w jego postulaty i hasła. rano- wał nad duszami tych ludzi. Ale stopniowo wiara ta wyparowała

/szczególnie po drugiej wojnie światowej/. I marksistowska ideologia, naturalnie, jeszcze bardziej zaczęła wciągać do współudziału naukę, udając przyjaciela i opiekuna nauki, rzecz jasna, nauki najwyższej. Samą przemocą nie sposób narzucić ideologii dostatecznie mocno. Wiary nie ma. A w naszym stuleciu naukowego szaleństwa było by niewybaczalną głupotą ze strony panującej ideologii państwowej nie dotrzymywać kroku czasowi.

Ale marksizm rozdził się nie tylko jako pretensja do naukowoego rozumienia wszystkiego na świecie, lecz także jako wyraz interesów i marzeń uciskanych i krzywdzonych klas społecznych, jako wyraz odwiedźnych marzeń ludzkości o raju na ziemi. A marzenia i życzenia ze swej natury nie mają nic wspólnego z nauką. Marzenia społeczne to utopia. Zaś przekształcenie utopii w naukę jest wykluczone: o tym mówi prawdziwa nauka i praktyczne doświadczenie ludzkości.

A to, że marksizm nie tylko w charakterze potężnej organizacji ludzi, ale i w swojej tekstualnej postaci nie jest nauką, można ustalić drogą analizy jakichkolwiek jego pojęć i twierdzeń, zaczynając od pojęcia materii i kończąc na pojęciu "komunizmu naukowego". Ani jedno pojęcie marksizmu /dostownie ani jedno! / nie odpowiada logicznym regułom budowy pojęć naukowych. Ani jedno twierdzenie marksizmu /nie licząc pustych banałów/ nie może być zweryfikowane zgodnie z regułami weryfikacji twierdzeń naukowych. Na przykład, gromiąc niewygodnych filozofów /a te pogromy inaczej myślących, urządzone przez założycieli marksizmu, są teoretycznym przygotowaniem przyszłych masowych represji/, i podając za swoje odkrycia skradzione u nich myśli /co też jest w duchu marksizmu/, Lenin formułuje "swoje" słynne "określenie" materii jako obiektywnej rzeczywistości, danej nam w wrażeniach. Przy tym nawiąże /czyli z powodu ignorancji/ przypuszcza, że "materia" jest najbardziej ogólnym pojęciem. Ale nawet początkujący studenci /a czasami i uczniowie/ wiedzą, że zgodnie z regułami definiowania pojęć wyrażenie "obiektywna rzeczywistość" będzie ogólniejsze od "materii", a oba wyrażenia "obiektywna rzeczywistość" i "dana nam we wrażeniach" są z punktu widzenia konstruowania pojęć bardziej "pierwotne" niż "materia". Już nie mówię o tym, że wyrażenie "obiektywna rzeczywistość" wcale nie jest jaśniejsze ze względu na znaczenie od "materii". Ale tego rodzaju głębokie na pozór /i puste w istocie/ wyrażenia robią wrażenie wysokiej nauki. I nierazko nawet na wybitnych uczonych. Zresztą, nie ma się czemu dziwić, gdyż wśród uczonych spotyka się nie mniej kretynów, niż wśród przedstawicieli innych profesji. Obmyślając swój komunistyczny raj na ziemi /i nazywając swoje wymysły, oczywiście, komunizmem naukowym/, założyciele marksizmu i ich kontynuatorzy ignorują najbardziej elementarny wymóg nauki doświadczalnej. Ale nawet jeśli rozpatrywać ich "komunizm naukowy" jako projekt przyszłego społeczeństwa, to i tu można dostrzec ignorowanie podstaw rzeczywistości naukowego podejścia do społeczeństwa. Na przykład, całkowicie ignorują oni fakt dyferencjacji społeczeństwa na grupy społeczne i hierarchię tych ostatnich, i nieuchronny podział społeczeństwa na warstwy z różnymi warunkami życiowymi, różnorodność typów działalności i pozycji społecznych ludzi, wskutek których słynne hasła "każdemu według pracy" i "każdemu według potrzeb" przeobrażają się w propagandowe puste frazesy /jeśli je rozumieć dosłownie/, albo realizują się w formie, nie mającej nic wspólnego z ich postacią tekstualną /a mianowicie - pracą naczelnika ocenia się wyżej od pracy podwładnych, a potrzeby kształtują się w zależności od społecznego położenia osobników/.

Ale najmocniejszym wskaźnikiem tego, że marksizm to ideologia, a nie nauka, jest stosunek marksizmu do doświadczenia realnych, komunistycznych /lub socjalistycznych/ społeczeństw, które się uważa za zbudowane według jego projektu. Marksizm nie jest zdolny do odzwierciedlenia tego doświadczenia nawet na tym poziomie intelektualnym, na którym krytykował on społeczeństwo kapitalistyczne. Ponad sześćdziesięcioletnie doświadczenie Związku Sowieckiego i doświadczenie wielu innych krajów Komunistycznych dostarczyło i dostarcza nadal bezspornych świadectw o naturze tego społeczeństwa. Masowe represje, niski poziom życia większości ludności, przywiązanie do miejsca zamieszkania i pracy, kolosalne różnice w poziomie życia wyższych i niższych warstw ludności, zdławienie wszelkiej niezależnej myśli, brak swobód obywatelskich, karierowiczostwo, śpownictwo, system przywilejów, niegospodarność, marnotrawstwo, militarystyka itd., itp. I jak na te fakty reaguje marksizm? Marksizm sowiecki /i marksizm innych krajów komunistycznych/ faktów tych po prostu nie uznaje, uważając wszelkie rozmowy o nich za oszczerstwa rzucane na sowiecki /czy inny komunistyczny/ sposób życia. Marksizm zachodni zapewnia, że komuniści zachodni zbudują społeczeństwo komunistyczne bez tych braków, zachowując zalety społeczeństw demokracji zachodniej. Trudno wymyśleć coś bardziej niedorzecznego właśnie z naukowego punktu widzenia. Właśnie analiza naukowa realnego /a nie wymyślonego, ideologicznego/ komunizmu mogła by bez szczególnego wysiłku ukazać, że fakty te nie są przypadkowe, że wyrastają one z samych podstaw komunistycznego układu życia, że są one nieuchronnymi zjawiskami towarzyszącymi realizacji właśnie pozytywnych ideałów marksizmu. Chociaż marksizm zaczynał swoją karierę historyczną od zamiaru naukowego wyjaśnienia drogi rozwoju społecznego, skończył ją na zupełnej rezygnacji z naukowego rozumienia społeczeństwa, w którym przechwycił rolę panującej państwowej ideologii.

Myślę, że nie ma potrzeby opowiadać o zachowaniu się marksizmu w charakterze dyktatora ideologicznego w minioniej historii Związku Sowieckiego. Ono jest wszystkim dobrze znane. To podłości, fałszerstwa, zbrodnie... Jeżeli by w szczegółach opisać wszystko to, co popełnił ideologiczny aparat marksizmu /w historii Sowietów/, to nawet wrogowie marksizmu nie uwierzyliby w prawdziwość tego obrazu. Mówi się, że marksiści kierowali się dobrymi zamiarami. Dobrymi zamiarami, jak wiadomo, wybrukowana jest droga do piekła. Ale twierdzenie o dobrych zamiarach jest tu fałszywe. Żadnych innych zamiarów, prócz zamiarów żywych ludzi - członków tej marksistowskiej armii ideologów - by zaspokoić swe egoistyczne potrzeby, tutaj nie było. I być nie może zgodnie ze społecznymi prawami historii. Mam na myśli normalne prawa społeczne, a nie tę bezsensowną marksistowską paplaninę o prawach społecznych, którymi zawrócili w głowie milionom mieszczan.

Marksizm okazał się w najwyższym stopniu wygodny dla zwycięskich reżimów komunistycznych w charakterze ideologii wcale nie dlatego, że jest on naukowy. Gdyby był nauką, w dodatku najwyższą, nie osiągnąłby takiego sukcesu. Do studiowania nauki potrzebne jest, jak wiadomo, specjalne wykształcenie. Potrzebne są całe lata. Okazał się on wygodny dlatego, że zrodził ogromny strumień tekstów ideologicznych, demagogicznych obietnic i hasła, podobnych do nauki, ale nie wymagających żadnego naukowego przygotowania. Jak kto chce, to może niezwykle szybko nauczyć się produkowania tekstów marksistowskich absolutnie dla każdej sytuacji. A dla władzy marksizm dostarcza cudownej metody i bogatej frazeologii dla usprawiedliwienia każdego ich świństwa. Każdy przywódca-kretyn może dokonać wkładu do "nauki", jeśli, oczywiście, pozwoli

mu /albo uznają to za potrzebne/ jego współbojownicy. Właśnie niekreśloność i amorficzność pojęć i bezsensowność twierdzeń marksizmu oraz konieczność nie dosłownego jego rozumienia, ale interpretowania, czyni go wygodnym dla panujących warstw społecznych, gdyż interpretowanie marksizmu staje się prerogatywą najwyższego kierownictwa partyjnego. W marksizmie napisano tyle różnorodnych frazesów, że na wszystkie życiowe okoliczności można wybrać odpowiednie frazesy i interpretować je w pożądanym duchu. Tę właśnie pracę wykonuje ogromny marksistowski aparat ideologiczny.

Wykład wygłoszony na Uniwersytecie w Alkali /Hiszpania/
w grudniu 1978 roku. Przekład wg: Aleksandr Zinow'jsw, Biez
illuzij, Lozanna 1979.

przeł. A.Cz.

**Delegacja pisarzy radzieckich
z wizytą w Trójmieście
Przyjacielska wymiana doświadczeń**

W dniach 14-16 bm. prze- | poeta i prozaiarz s. Kł...
skwy. W skład delegacji | Trójmiasto, 1979

Jan Pióro

Notatki

Możemy myśleć, ale nie możemy mówić. Pałka może przemówić,
lecz nie nauczy się myśleć.

x

Powietrze - zmilitaryzowane. Oddychanie - zmilitaryzowane.
Okrucieństwo - zmilitaryzowane. Bezbronność - cywilna.

x

Wyrotowa robota wilgotnego wiatru - odślanianie na murach
napisów sprzed grudniowych dni. Zaaresztować wiatr!

x

Godzina dwudziesta dziesięć. Ktoś brnie przez zaspy śniegu.
Człowiek szczyty godziną milicyjną.

grudzień 1981

Przed pomnikiem

Na nasze głowy
spada przeżarty
gazami śnieg
Topi się na wargach
zimna prawda - sen -
przypomniana modlitwa
Od bramy
podnosi się hymn
dla żywych
i na wytrwanie
- umarłym

17 XII 81

Na ulicy

Nie ucieknie sukinsyn! - usłyszałem
ze świstem uderzającej pałki
Człowiek przez moment
odstąpił swoją twarz

10 XII 81

Wybór

Gubisz się między "zastąłem"
a "wybrałem" - gdy w pamięci
odtworzysz swój początek:
daleką drogę ojca - przez łagry
i to samo wymuszone postuszeństwo
- przez strach

Tadeusz Żukowski

List do ojca aresztowanego w roku 1944

Gdy w roku 1944 ciemność i jasność pożerające
Swieciła; księżyc Wschodu i gwiazda ciemna
Zachodu - w pancernych językach płomieni
/I szły za nimi fałsz, przekupstwo, zdrada i zbrodnia/
Morderczymi manewrami miażdżyły dymiące kretowisko Europy -
Nizinny kraj, którego rzeki, gdy wzbiorą krwią
Zmieniają łożyska i płyną z zachodu na wschód
I ze wschodu na zachód, wymówił twoje imię, ojcze,
Jedno z milionów, jak wróżbę swego losu: Aresztowano cię
W imieniu prawdy, która spod ziemi jest i w niej bez wytchnienia
Liczy martwe ciała. W niebo zaś wbija złote wieże z ikonami. Tam
Szepczą jej stalowe usta: "Wyklęty! - wygnany i zabity jest, kto
Nie wspomaga Obiektywnych Procesów!" Wywieziono cię spod Lidy do
Komii.

Odtąd pożera nas, przykutych do Gwiazdy, czerwonego sierpa sęp.

3-27 marca 1982; 29 października 1983, Poznań

List do Stanisława Barańczaka z kraju sztucznego oddychania

Powietrze, którym sztucznie /Dekret o stanie wojennym/
Oddychamy: jak lód palące, jak mróz - czyste; nagłe
Jak przemówienie o świcie. Jak rozkaz i bagnet i pięść
Oczywiste. Oczyszczone i oczyszczające. Powietrze mundur
Ze szkła ekranów i pas - wokół szyi; kajdanki języka i
Płuc. Powietrze, którym dusiliśmy się wszyscy, aż ogień
Serc ogarnął wszystko - wymieniono nocą
Byśmy się udusili. Nieogarnione jak Syberia,
Powietrze ograniczone jak czołg.
W mim ukrzyżowany, jego włócznią przebity
I grudnia karabinem maszynowym rozstrzelany -
Ostatkiem sił wypluwam wszechobecne kule przez usta
Wiersza z płuc, oczu i krwi. Przeklinam to podstępne zbawienie;
Na twarzy knut, przy skroni stal, na gardle - generalskie buty.

5 kwietnia - 29 października 1983, Poznań

• List do przyjaciół oddychających w tym liście

Sergiuszowi i Zbyszkowi

Gorycz. Noc. Śołana zamordowanego płaczu. W gardle
Udużona rozpacz jak obręcz, jak pętla wzerająca się
W oddech: szubienica, którą wtłoczono we mnie.
I sznur samobójczy, od którego odcinam się codziennie.
Jak długo można tak żyć, ile razy umierać, by znów
Budzić się w martwym świecie. I sny płaskie jak
Bury tynek, w które wpełza wypalony horyzont.
Najbardziej pewny punkt nieba, słońce, jest
Ruchołym celem i celującym we mnie okiem zbrodni.

Gdzie uciec przed ciemnością, skoro zabija mnie światło;
Gdzie uciec przed Gwiazdą, jeśli jej domem ciemność.
Biegnę do przyjaciół i podaję im opadające ręce,
A oni pokazują swe rozpadające się serca. Pochylamy się
Ku sobie jak złamane drzewa. Budujemy śmiertelny dach świata.

7-8 lipca 1984, Poznań

Kroniki

Trzynastego - powiada pani Irena - to już coś było czuć. Nie, nic konkretnego, tylko mróz po kościach jak się popatrzyło na twarze ludzi w tramwaju. Przez człowieka przechodził wówczas taki prąd, pan wie, który jest nieomylnym barometrem. Coś się musiało wydarzyć i to było wiadome. Tu chodzi o przeczucie. Niektórzy mówią w takich sytuacjach - bruk będzie wolał o krew, albo - trzeba naoliwić maszynkę historii. Nie wiem, czy to jest dobrze powiedziane. Ostatecznie nikt z nas nie wiedział, że poleje się tyle krwi. Rzecz w tym, że to co ma nadejść rzuca swój cień, a kto ma intuicję - czuje to, jak ja wówczas czułam. Nie wierzę w żadne sny i znaki, żeby nie było niejasności. To o czym mówię, dotyczy bardziej atmosfery wśród ludzi. Jak ma być źle zaraz szukają się nawzajem, pytają, co o tym myślisz i co będzie, bo wiadomo, że nic dobrego. Żeby tylko nie gorzej.

Więc pański ojciec, bo to dla pana ważne, prawda?, zaszedł do nas wieczorem, była niedziela trzynastego grudnia. Siedli z moim mężem przy herbacie i jakoś nie kleiła im się rozmowa. Pamiętam bardzo dobrze. Oni najczęściej spotykali się w piwnicy, bo jak po drewno opytać węgiel w małym domu, takim jak nasz się schodziło nie trudno spotkać sąsiada. Nieraz byłam zła na męża, do pieca trzeba dorzucić, a jego nie ma jak na złość już kwadrans i wtedy zawsze wiedziałam, że z pańskim ojcem się spotkali na dole i gadają paląc papierosy. Pańska matka nie nosiła papierosów i jak się tam zeszli, to pan Zbigniew korzystał z okazji i palił od razu dwa, trzy pod rząd. A mąż to się zawsze cieszył, bo wie pan, jemu nawet trochę imponowało, że z kimś takim jak pański ojciec zwyczajnie zapali i pogada po sąsiedzku. Tego dnia wieczorem pan Zbigniew przyszedł do nas niby po klucz do pralni, ale właściwie to pogadać. Nie zdziwiłam się bardzo, zwyczajna rzecz w takiej sytuacji, zwłaszcza, że wyście byli już w Krakowie w nowym mieszkaniu. Więc rozmowa im się nie kleiła, to powiedziałam. Pana ojciec narzekał na tę przeprowadzkę przez całą Polskę, mówił, że wzięliście do tego aż dwie pożyczki i martwił się, co będzie ze spłatami w nowej sytuacji, jak wszystko podróżuje. Był jednak zadowolony, że już na stałe z rodziną wyjedzie z Gdańska, bo jak powiedział - nigdy tego miasta za bardzo nie lubił. Mąż zapytał dlaczego, nawet nie z ciekawości, tylko podtrzymując rozmowę i wtedy pana ojciec odparł, że tutaj nie czuł się dobrze ze względu na klimat. Nie wiem, co miał na myśli, bo przecież nigdy nie chorował poważnie. Dzisiaj myślę, że chodziło mu o ten ludzki galimatias, jaki zaraz po wojnie do nas zjechał. Pan wie, prawdziwych gdańszczan jak my zostało niewiele, a ci co przyszli, Boże mój, jaka zbieranina! Choćby w naszej kamienicy - na dole Lipsacy, kolejarze z Łdy, obok nich zamieszkał Weiser, żył ze Lwowa, potem wyżej ci z Powstania Warszawskiego co przyjechali bez jednego tobołka, dalej rodzina z Grudziądza, no i wy - państwo z Galicji, bo tak was nazywaliśmy na samym początku, jak jeszcze pana na świecie nie było w czterdziestym szóstym roku. Tak, pańskiemu ojcu zdaje się o to chodziło, kiedy powiedział, że klimat mu nie odpowiadał w Gdańsku. Kusiał być bardzo przyzwyczajony do tego co pozostawił za sobą, ale były takie czasy.

że nikogo się nie pytało skąd i po co przychodzi. Wtedy, wieczorem; mój mąż zagadnął, co z waszym mieszkaniem, to znaczy kto po was będzie je zajmował, a pan Zbigniew powiedział, że jeszcze nie wie. Przydzielił wygasa z końcem stycznia i on wróci tu jeszcze po Nowym Roku zatawić sprawy w administracji i zabrać ostatnie rzeczy, więc wtedy nie omieszka nas poinformować. Nie omieszka poinformować, powiedział, pamiętam to bardzo dobrze, bo wtedy właśnie podawałam im szarlotkę, a pański ojciec już chciał wychodzić jakbym go spłoszyła tym ciastem, więc dodałam, żeby został i posiedziało jeszcze, bo co będzie robić w niedzielę wieczór w pustym mieszkaniu. Dał się uprosić i przeszliśmy do pokoju, gdzie zapaliliśmy telewizor. Mąż miał "Sporty", a pański ojciec "Klubowe" więc częstowali się i wyszło na to, że mąż palił "Klubowe", a pan Zbigniew "Sporty". Tak śmiesznie. Rozmowa zeszała na temat naszej rodziny, a dokładniej na temat rodziny męża, pan wie, ta cała kamienica i sklep na rogu należały jeszcze z czasów Wolnego Miasta do nich i mówiło się - kupcy kolonialni. Jacy tam kupcy, dzisiaj to się nazywa sklepikarze, albo raczej prywatna inicjatywa. Więc mąż pokazywał fotografie - Hohe Danzig, Langfuhr, Lange Brücke, a pański ojciec wszystko rozumiał, bo świetnie znał niemiecki. I tak się tym zajęli i rozgadali, że zrobiła się prawie rodzinna atmosfera, tylko ja czułam to, o czym już mówiam, że nie rozejdzie się zwyczajnie po kościach. W telewizji zapowiedzieli ostatnie wydanie dziennika, panowie odłożyli fotografis i słuchaliśmy we trójkę, co powiedzą. Ale nie dali nic nowego, tylko to samo co wcześniej, to znaczy podwyżki. Zrobiło się nieprzyjemnie, bo jeśli wciąż powtarzają, że od jutra życie będzie droższe, to jakim cudem cieszyć się z tego? Pan Zbigniew zbierał się do wyjścia, oboje z mężem już na rencie oalkiem zapomnieliśmy, że jutro poniedziałek i trzeba mu do pracy wstawać całkiem rano.

Co było następnego dnia, pan pyta? Zaraz, następnego dnia był czternasty grudnia, żeby po kolei. Rano mąż wrócił z piekarni podekscytowany, bo już się mówiło na mieście, że coś się dzieje. Nikt nie wiedział dokładnie, ale podobno w stoczni strajk i zażądali rozmów z kimś odpowiedzialnym. To znaczy z kimś z partii. Tyle mówili ludzie w kolejce po chleb, pan wie, jak w takich razach - każdy kupował z miejsca po dwa i więcej bochenków, bo przecież nie wiadomo, co będzie. Mąż też przyniósł więcej niż trzeba. Dopiero koło pierwszej przyszała do nas Popiołkowa, cała roztrzęsiona, pan wie, ta z naprzeciwka spod czternastki, ich ośna wychodzą prosto na nasze i mówi że syn wrócił przed czasem z pracy, bo ojciec go wystąpił do domu, zakazując się ruszać na krok. U nich tak się złożyło wtedy, że stary Popiołek był na rok przed emeryturą, a syn właśnie zaczynał i obaj na tym samym wydziale stoczni pracowali. Więc Popiołkowa cała rozdygotana mówiła, że w stoczni nawet narzędzi do rąk nie wzięli, tylko stoją i domagają się rozmów. Spytałam jakich rozmów, ale Popiołkowej ani w głowie było pamiętać takie rzeczy, powtarzała tylko w kółko, co jej mąż synowi powiedział - ty idź do domu i siedź tam z matką, powiedział, bo tu może być całkiem gorąco i jeszcze niejedno się wydarzy. Heniek posłuchał i z matką siedział, chociaż korceło go coraz bardziej wrócić do stoczni, albo na miasto pójść, zobaczyć, co się będzie działo. Bo z naszej dzielnicy, sam pan wie, niewiele widać, jesteśmy jakby na uboczu. Wieczorem sama się wybrałam do nich dowiedzieć czegoś konkretnego, bo ludzie mówili, jak cały zresztą czaae później stworzone historie. A to, że w porcie ktoś powywieszał flagi ze sfastykami, a to że na starym mieście sklepy rabują i jeszcze dużo innych rzeczy. U nich w mieszkaniu

siedziało już kilku znajomych i wszyscy słuchali starego Popiołka, który dopiero co wrócił do domu. - To się zaczęło od W-3 - opowiadał bardzo spokojnie. Najpierw oni, a później z innych wydziałów zeszli się ludzie pod dyrekcję, tak wszyscy są wczorajszymi podwyżkami oburzeni, bo teraz nawet na chleb z masłem nie zarobimy, wiadomo. I taka się zrobiła jedność, bo wszyscy wotali, że chcemy rozmawiać z kimś z komitetu wojewódzkiego. Dyrekcja nic, tylko żeby podjąć pracę, ale to było na próżno. Staliśmy tak do dziewiątej, a ci najmłodsi wotali coraz głośniej - chleba! chleba! chleba! Ale nikt nie chciał z nami rozmawiać. Wreszcie ktoś, chyba z K-2 stanął na beczce i krzyknął - chłopa-ki, jeśli nie chcą z nami gadać, to my pójdziemy do nich. Pod KW! Pod KW! - zaraz podchwycili i ruszył pochód przez drugą bramę. Taka zawziętość się zrobiła, że wszyscy z zaciśniętymi pięćściami szli, a na czele zaczęli śpiewać: "Wyklęty powstań ludu ziemi, powstańcie których dręczy głód" i zaraz w tę parę tysięcy śpiewaliśmy głośno Międzynarodówkę. Okna się otwierały, ludzie z domów machali nam, a o ci z chodników przyłączali się do nas. Stanęliśmy pod komitetem i jeszcze raz, jeszcze głośniej tę Międzynarodówkę. To jest coś. Wyszedł urzędnik i pyta - co jest? Trząsał się cały ze strachu. Więc nasi mówią: Chcemy rozmawiać z towarzyszem Karkoszką. Kto? - pyta tanten, jakby nic nie rozumiał. Ktoś krzyknął - Idź i powiedz, że klasa robotnicza pragnie rozmawiać z pierwszym sekretarzem!!! Zahuczały oklaski, tak się spodobało. Tym razem nie musieliśmy czekać długo. Wyszedł jakiś sekretarz, ale nie Karkoszka i mówił, ale źle było słychać, więc zaraz przystali mu radiowóz. Przedstawił się jako Jundziłt i powiedział, że Karkoszka bawi na plenum w Warszawie. Przekonywał, że jedynym rozwiązaniem jest powrót do pracy i nic więcej nie miał do powiedzenia. Dosłownie nic więcej. Więc zabraliśmy ten radiowóz i ogłosili, że wtorek, to znaczy jutro, jest dniem strajku powszechnego i żeby załogi ustaliły swoje ekonomiczne żądania. Zabrakło organizacji sprawnej, bo po tym część z nas poszła do stoczni, a część do Wrzeszcza, żeby nadać komunikat ze studia radiowego i zwołać studentów. Ja byłem z grupą, która spod komitetu poszła do stoczni. Zaraz jakeśmy wrócili, okazało się, że kilku naszych zdążyli już przyaresztować, nie wiadomo właściwie w którym momencie. Więc znów wzięliśmy ten zdobyty radiowóz i nadawali po całym mieście, że naszych aresztowali i że jutro strajk powszechny, żeby wszyscy i z tych mniejszych zakładów też wiedzieli. Ale we Wrzeszczu w drodze na Politechnikę i do Radia już były, jak się okazało, trudności, milicja próbowała zagrozić drogę aż dwa razy - koło Błędnika i koło opary, nasi ich przegonili, tyle że pałki i kamienie były w robocie. Na udało się tej grupie ani komunikatu przez radio nadać, ani studentów przekonać. Krzyczeli co prawda - chodźcie z nami!, chodźcie z nami!, ale niewielu poszło. A kiedy my wychodziliśmy ze stoczni, to już na starym mieście hulała milicja; ganiają młodych chłopaków, a ci uciekając podpalają co się da. Więc pewnie będą mówić jutro, że to my, stoczniowcy. Teraz strach wychodzić, bo żaden tramwaj w stronę Oliwy nie jedzie, a oni urządzają zwy- czajne łapanki na przechodniów i każdego biorą. Z Gdańska szliśmy z Benkiem górkami aż tutaj. No, to właściwie tyle. Mary w każdym razie komitet nasz, stoczniowy i od jutra strajk - aż przysła kogoś od nich i podejną rozmowy. - Tyle dowiedziałam się tego wieczoru, powiem panu, że to najdokładniejsze sprawozdanie, jakie miałam z tych wszystkich dni, bo to, co się później działo, trudne było do uchwycenia dla kogoś takiego jak ja, a ludzie jak

to ludzie, do siebie wieczorami gadali jeden przez drugiego, każdy właściwie trochę inaczej. Tego wieczoru jak od nich wracałam, spotkałam na schodach pańskiego ojca, wyglądał na zmęczonego. Mówię mu - dobry wieczór panie Zbigniewie, a on trochę się speszył, że mnie nie zauważył i mówi - pani Ireno, przepraszam, ale coś mi się z oczami stało, niech pani będzie tak dobra i wyjmie mi klucze z teczek. - Jezus Maria, co takiego, niech pan powie - zdenerwowałam się, bo pan wie, ile kiedyś mój mąż miał kłopotów z oczami, a on nic, tylko się śmieje przez zęby i powiada, że jak wracał na piechotę z pracy, to łknął trochę gazu, co nim strzelali po ludziach. Znalazłam mu te klucze i weszłam z nim do waszego mieszkania, on cały czas tartł oczy i nawet nie zdjął palta, tylko usiadł w fotelu i jakby nie mógł się pozbierać. Chciałam wezwać lekarza, ale pan Zbigniew stanowczo zaprotestował - teraz są poważniejsze przypadki - powiedział i machnął ręką, jak to on. - Niech pani spróbuje zamówić rynowę do Krakowa - poprosił mnie tylko - bo muszę rozmówić się z żoną. Wzięłam notes, który mi wskazał i wykrepiłam numer międzymiastowej, ale paniąka stamtąd powiedziała, że mają awarię i żądnych zamówień nie przyjmują. Uwierzyłam, ale pana ojciec od razu powiedział - ach, więc mamy już i blokadę! - Jaką znów blokadę? - nie wiedziałam o co chodzi, no telekomunikacyjną - wytłumaczył - połączenia z resztą Polski są wstrzymane, bo nie chcą, żeby w kraju wiedzieli, co tutaj będzie się działo. - A co ma się dziać? - spytałam głupio. - To pani nie wie, co dzisiaj w stoczni było, a później w mieście? Oczywiście, wiedziałam. - Ale skąd pan wie, co będzie jutro? - Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - odpowiedział - nic dobrego z tego nie wyniknie pani Ireno, skoro już dzisiaj rozbijają sklepy. Nic dobrego dla nas. Zdenerwowałam się - kto niby te sklepy rozbija, może Feriołem z synem? Pan Zbigniew zirytował się trochę - czy pani nie rozumie o co chodzi? Wszystko jedno, kto rozbija tych parę wystaw i podpali samochód, albo kiosk "Ruchu", istotnie na kogo spadnie wina, komu ją przypiszą. Pokiwałam głową, bo zrozumiałam, o co mu chodzi. - No tak, ma pan rację, tylko co robić w takiej sytuacji? Rozłożył ramiona - a co może zrobić człowiek w historii? Jedni mówią, że bardzo wiele, inni twierdzą, że tyle co nic. W naszym biurze - dodał - też będzie strajk, zobaczymy jak rozwinie się sytuacja. Widziałam, że trze jeszcze oczy i ma popuchnięte spojówki, jak przy zapaleniu - To ja pana zabieram na kolację do nas bez dyskusji, co pan w takim stanie zrobi sobie do jedzenia bez żony? Pana ojciec nieoponował nawet, zabrał tylko butelkę wódki - jeśli tak, to wypijemy z pani mężem jednego na rozgrzewkę. I ja dopisro wtedy zauważyłam, powiem panu, że jest tak strasznie zimno, para sza z ust jak się mówiło. Pański ojciec, odkąd wyjechaliście z meblami do Krakowa, po prostu przestał palić w piecu i może przez to zrobiło się w waszym mieszkaniu ogołoconym już ze sprzętów tak ponuro i nieprzyjemnie. Kiedy wychodziliśmy, zauważyłam w kącie połowe kółko, widocznie na nim spisał pański ojciec. Rozumiem, że to mało interesujące szczegóły, ale ja pamiętam zazwyczaj takie drobne sprawy, drobiazgi, z których niewiele wynika dla obrazu tamtych dni.

Co było dalej? Jedliśmy we trójkę kolację. Usmażyłam jajecznicę, bo nie w domu specjalnego nie było, ale pan Zbigniew zjadł bardzo chętnie i nawet chleba sobie dokroił. Wypili z mężem po kieliszku, a potem po jeszcze jednym i zaraz zrobiło się przyjemnie. Ojciec pański najbardziej martwił się tą blokadą, ponieważ chciał zadzwonić do was, do Krakowa i powiedzieć, żeby się pańska matka nie martwiła, że wszystko jest w porządku. Powiedział nam

też, że już ma wykupiony bilet sypialny i jedzie do was w samą Wigilię, więc będzie w Krakowie na pierwszy dzień świąt. Dziwił się, czemu w Wigilię, ale wyjaśnił nam to trudnościami w pracy, szef zdaje się nie chciał mu dać dnia urlopu, czy coś takiego. Właśnie byliśmy przy herbacie, gdy zastukała Popiołkowska, przerażona cała, w płaszczu narzuconym na szlafrok. Była bez czapki i już w progu krzyczała - Jezus! Jezus Maria! Benka aresztowali przed kwadrans, zabrali jak stał w kaptach, co się tam teraz dzieje, wszyscy płaczą i nikt nie wie, co będzie dalej!! - Czy mieli nakaz aresztowania - zapytał rzeczowo pan Zbigniew - a czy ja wiem - zachnęła się Popiołkowska - przed chwilą była u mnie jego żona i płacze - przyszli, mówi, - i walą w drzwi jak gestapo, mówi, - otwierać, bo jak nie to wyważamy - i wpadło ich trzech mundurowi dwaj, jeden w cywilu, mówi, i pytają - który tu Bernard Wenzel - ja - mówi mój, - to chodź z nami - i nie pozwolili mu nawet ubrać się, mówi, tylko wpakowali do samochodu i pojechali. Popiołkowska tego nie powiedziała, ale widać było, że teraz to myśl tylko, kiedy na jej mężczyzn przyjdzie kolej. - Więc już działają - powiedziała wtedy pański ojciec, tak jakos smutno, bez gniewu, choć ani on, ani ja z mężem nie wiedzieliśmy jeszcze, że Wenzel jest w komitecie strajkowym, który się rano tego dnia utworzył w stoczni. Stary Popiołek i wspominał o tym, ohyba z ostrożności, zresztą jak się potem okazało, on sam też był w komitecie i może dlatego nie powiedział. Popiołkowska powiedziała i wyszła, a my siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, bo co można mówić, kiedy wydarzy się nieszczęście, choćby u Wenzłów, a nie we własnym domu? Więc jak pan widzi, przeczucie jakie miałam zaczęło sprawdzać się powoli, choć to jeszcze nie było to. Pyta pan, od którego momentu zaczęło się najgorsze? Coś panu powiem. Tak na prawdę, to całe życie jest najgorsze. Tylko nie zawsze to widać. Dopiero w takich momentach jak te, wyłazi cała prawda na wierzch. Dajmy na to, w każdej gazecie mógł pan przeczytać, że robotnicy są najważniejsi, wszystko dla nich i tak dalej. A jak chcieli z władzą rozmawiać, to były tylko pałki i kule. Czy nie tak? I wtedy prawda się pokazuje - to znaczy kto ma rządzić, a kto słuchać. Ale odbiegam od tematu. Więc siedzieliśmy w milczeniu na wiadomość o tym, co stało się u Wenzłów. Benek - bo tak wszyscy nazywali Bernarda Wenzla - został aresztowany już pierwszego dnia, zanim jeszcze padły strzały i pierwsze trupy. To nie była dobra wróżba. Wszyscy to chyba tak zrozumieli, przynajmniej tu w naszej dzielnicy. Bo pan wie jak to u nas - taka wieść zaraz obłeci wszystkie kamienice szybciej od poczty czy telefonu. Pański ojciec zasepił się tym wszystkim bardziej od mojego męża i nawet nie miał już ochoty na trzeci kiłiszek wódki. - Pójdę już, pani Ireneo - powiedział - bo jutro z tramwajami nie wiadomo co wyjdzie i może trzeba będzie na piechotę iść, a to kawał drogi. I poszedł. Mój mąż, jak leżałam w łóżku, chciał jeszcze złapać Wolną Europę, dowiedzieć się czegoś więcej, ale tak okropnie zagłuszali, że tylko z radia huk leciał jakby startującego samolotu.

Był czternasty grudnia wieczorem, jak już powiedziałam. A następnego dnia zaczęło się od awantury u Popiołków. Mąż zasnął, więc ja wstałam pierwsza i kiedy mijalam ich bramę idąc po pieczywo, usłyszałam krzyki jakies w środku, zwolniłam trochę, nie ukrywam, że z ciekawości. Na dwór wyleciał ich syn Heniek, a za nim po schodach biegła matka i krzyczy - jak ci ojciec powiedział, żebyś został w domu, to siedź i czekaj. Tylko ciebie tam brakowało! Na co on do niej - pójdę mamó, nie zatrzymuj mnie. Ona stanęła już w bramie i w płacz, a on jeszcze raz - pójdę i już! I po-

biegł znikając za rogiem. Domysliłam się, że skoro tylko stary Popiołek wyszedł z domu, Heniek pobiegł za nim do stoczni na nic nie zważając. Popiołkowa nie widziała mnie, albo nie chciała zauważyć, w każdym razie kiedy odwróciłam się po chwili raz jeszcze, brama była pusta. Wróciłam z chlebem i bułkami do domu - całe szczęście - myślałam sobie, że mamy tu pod bokiem piekarnię, bo jak się coś zaczyna dziać, to w państwowym od razu brakuje pieczywa, a tu jest zawsze. Przy Grunwaldzkiej ludzie tego dnia czekali przed sklepem ze trzy godziny i nie doczekali się, bo towaru nie dowieźli. Więc jedliśmy z mężem śniadanie i wie pan, żadne z nas słowem się nie odezwało do drugiego, jakbysmy na coś czekali. No i doczekaliśmy się. Nie wiem, ile to było po dwunastej, może kwadrans, a może godzinę, słyszemy jakiś dziwny szum od strony Gdańska. Podbiegliśmy do okien bo to słońce wyraźnie z góry i widzę - helikopter. - O - pokazał mąż palcem - widzisz -, drugi. Widziałam dobrze. Zataczały wielkie koła nad miastem i zniżały co pewien czas swój lot, tak że nie widzieliśmy ich spoza linii budynków. Słychać też było wyraźnie strzały, jedne to były cienkie trzaśnięcia jakby ktoś w pobliżu patyk łamał, drugie takie głębsze z echem, które nawet tu wyraźnie dobiegało. Ludzie na ulicy przystawali i nadstawiali uszu w tamtym kierunku, czasami stanęły dwie, trzy osoby, pogadały coś do siebie szybko i rozchodzili się każda w swoją stronę. Odwróciłam się od okna, patrzę, a tu mąż buty wkłada, szalik - gdzie idziesz - zapytałam go - papierosów kupiłam ci przecież, a on, że Górny Wrzeszczem spróbuję przejść bliżej śródmieścia, bo chce zobaczyć, co się dzieje. Czego ja mu nie powiedziałam wtedy, a raczej czego nie wykrzyczałam, wszystkie chyba żale moje na niego się wylały, obecne i te sprzed lat, ale nie pomogło. Zawiaź się jak Heniek Popiołków i tylko na odchodnym powiedziały, że jakby co, to zatrzymaj się u Schaferów, pan wie, to są nasi znajomi jeszcze sprzed wojny, tak samo jak my, gdańszczanie, i mieszkają bliżej śródmieścia choć jeszcze we Wrzeszczu, tyle że na wzgórzach, więc całe miasto widać od nich jak na dłoni. A tymczasem z tamtej strony jakby się zagaściło. Powiał wiatr od zatoki i wyraźnie można było dosłyszeć to, czego należało się obawiać. Strzały i huk zamiast rzędnych, zwiększyły swoje natężenie, a w pewnej chwili - bo ja cały czas oczywiście warczałam przy oknie - pojawiły się nad śródmieściem gęste chmury dymu. Sciemniało się, więc odeszłam od okna i zupełnie nie wiedziałam co robić, pan wie, w takich chwilach zanim człowiek się nie otrząśnie, żadna robota nie idzie. Wyszłam z mieszkania z zamiarem pójścia do Popiołków, bo może u nich coś wiedzą, ale na schodach spotkałam Lipskiego, a on od razu do mnie - pani Ireneo, pani Ireneo, w Gdańsku piekło prawdziwe, strzelają od kilku godzin, a teraz komitet się pali! Musiałam mieć dziwną minę, jakby nic nie rozumiejącą, bo Lipski dodał zaraz - no, milicja i wojsko strzelają, a nasi butelkami z benzyną i kamieniami, co komu pod ręką, pani wie. - To kolejarze też się biją? - zapytałam, ale on nawet się nie zdenerwował, tylko przytaknął - no też, ale głównie to stocznia - i wszak mówić dalej - czy pani słyszy pani Ireneo, Komitet Wojewódzki partii się pali, przez okna wyrzucili ludzie biurka, szafy, kartoteki, dywany, krzesła, nawet palmy, no mówię pani, wszystko poleciało na bruk, a teraz się pali, to znaczy te rzeczy też, ale głównie cały budynek się pali, więc teraz oni widzą, jak ich klasa robotnicza kocha, wie pani, do tego doszło, że jak użyli broni, to ludziom już było wszystko jedno... Lipski widział to z dworca, jak wracał ze swojej zmiany, ale nie mógł powiedzieć, co się przez cały dzień w mieście działo, bo pracował wtedy w Tczewie i przez

Gdańsk tylko do domu wracał. Bo myśmy wtedy nie wiedzieli jeszcze panie Jakubie, że przed południem stoczniowcy ruszyli pod komendę milicji, żeby zażądać uwolnienia swoich i od tego się zaczęło w tym dniu, nie wiedzieliśmy, że właśnie tam padły pierwsze strzały i że robotnicy wycofując się ze śródmieścia pod ogniem milicji i wojska, podpalili najpierw właśnie komendę, następnie gmach związków zawodowych i dopiero na końcu komitet partii. Nie wiedzieliśmy czy są zabici, ilu rannych. Wszyscy powtarzali tylko to jedno słowo, jedni z przestachem, inni z satysfakcją, ale wszyscy to samo - komitet, komitet. Bo to było najważniejsze. Nawet dzisiaj tak myślę. Jak Lipski mi to powiedział, szybko pobiegłam do Popiołów, ale tam nie było nikogo. Pewnie nie wrócili jeszcze - pomyślałam sobie, a ona poszła gdzieś, może do Wenzlów, żeby nie siedzieć samej w domu. Bo najokropniej w taki czas siedzieć w pustym domu i czekać na kogoś. Zastukałam jeszcze do was, bo pomyślałam sobie, że może pański ojciec już wrócił, ale było zamknięte na głucho. Czułam się wtedy w mieszkaniu jak zwierzę w klatce i wie pan, gdyby nie moje schorwane nogi to bym poszła do śródmieścia, albo przynajmniej do Schafierów, zobaczyć co się dzieje. A tak siedziałam i liczyłam minuty, bardzo długie. one były jak pan się domyśla. Dochodziła dziesiąta i męża nie było. Jeszcze raz zaszłam do was - też nikogo. A u Popiołków ciemno, to znaczy nigdzie światło się nie paliło. Zraz też przyszły najgorsze myśli, co się z moim mogło stać, wie pan, on nie z tych, co w pierwszej linii na barykadzie, ale zawsze laź tam, gdzie coś się dzieje. W czterdziestym piątym o mały włos byłiby go rozwalili, bo wyszedł z bramy, żeby popatrzeć, co za wrzaski po nocy ludziom spać nie dają, a to akurat Sowieci Niemkę gonili i jak jeden z nich zobaczył sylwetkę cywila, to puścił serię z pepeszy. Te dziury w murze to pan mógł jeszcze widzieć jako dziecko, prawda?, bo kamienicę takowali dopiero o ile dobrze pamiętam w sześćdziesiątym ósmym. No, więc siedziałam tak i zupełnie straciłam głowę, aż nagle usłyszałam jakiś hałas na klatce, a potem walenie we drzwi. Po chwili zorientowałam się, że to do was. Panie Jakubie, strach czułam wiele razy, w końcu przeżyliśmy tutaj ciężkie chwile nie raz, ale wtedy jak usłyszałam to łomotanie, po prostu sparaliżowała mnie. A jednak podeszłam do Judasza, żeby zobaczyć. Przed waszymi drzwiami stał mężczyzna, wyraźnie zdenerwowany, dzwonił i pukał, znów dzwonił i walił pięścią w drzwi. W końcu krzyknął - ludzie otwórzcie do jasnej cholery, ja nie z milicji! Co miałam robić? Wyglądałam i mówię, że sasiad-to znaczy pańskiego ojca nie ma w domu. Na co on dosłownie wrzasnął - kurwa - czy ja mówię, że o niego mi chodzi? Jego to ja mam w wozie na dole, daj pani kogoś z rodziny, bo facet do szpitala nie chce, a farby puścić z pół kilo, no więc co? - Jezus Maria - teraz to ja krzyczałam - tam nie ma nikogo, wszyscy wyjechali, ale o co się stało?! - To jadę do szpitala, na co mi, kurwa przyszło - wrzeszczał znów tamten, więc zbiegłam za nim po schodach, a za mną biegł już Lipski ze swoim szwagrem, bo oni zdaje się od początku słuchali tego hałasu ze swojego piętra i tak wpadliśmy do bramy, gdzie tamten zatrzymał samochód. To była taksówka, Warszawa, a na tylnym siedzeniu z zamkniętymi oczami siedział, a właśnie leżał pana ojciec. Panie Jakubie, do dzisiaj nie wiem, czy postąpiliśmy wtedy dobrze, może gdyby taksówkarz zawiózł go do szpitala, on dzisiaj rozmawiałby ze mną tak jak pan? Może wcale nie byłiby go przytknęli po operacji i wyleczeniu, w końcu po tym wszystkim nastąpiły trochę inne czasy. Gdyby można przewidywać przyszłość. Ale wtedy rejestrowali wszystkich rannych i traktowali jak bandytów, bo skoro ktos dostał ku-

lę, to znaczy że był w tłumie, a jeśli był w tłumie, to znaczy że rękę na władzę podnosił. Zresztą następne dni to potwierdziły. Jaką mogliśmy mieć pewność? Chcieliśmy dobrze. Kiedy pochylałam się nad panem Zbigniewem, otworzył oczy. Poznał mnie. Pani Ireno - powiedział bardzo spokojnie - dobrze że pani jest - lecz dalej nie mógł już nic mówić, bo nie miał siły. Zanieśliśmy go we czworkę do nas, a taksówkarz zapytał jeszcze, czy czegoś nie trzeba. Ponieważ Lipski zaraz pobiegł po jakiegoś znajomego lekarza, powiedziałam, że nie i chciałam tylko zwrócić za kurs, bo wie pan, jak trzeba coś robić, działać, zaraz odzyskuje zimną krew. Taksówkarz machnął ręką i poszedł do samochodu, jemu też spieszyło się do domu. Zanim wrócił Lipski z lekarzem, położyliśmy pańskiego ojca na tapczanie i zaraz zrobiłam mu prowizoryczny opatrunek tak jak w czasie wojny - ze starego prześcieradła. Szwagier Lipskiego nastawił dużo wody na wrzątek i czekaliśmy, aż przyjdą tamci dwaj. Trochę to jednak trwało. Pan Zbigniew znów się ocknął - wszystko dobrze - powiedziałam do niego, a on, doskonale to pamiętam, chwycił mnie za przegub i mówił jakby przedrzeźniając - dobrze, dobrze, dobrze, wszystko będzie dobrze - uzupełnisz jak dziecko. Zobaczyłam przez okno, że u Popiołków się świeci - pewnie wrócili już - pomyślałam, ale nie było czasu na dalsze domysły, bo właśnie wrócił Lipski z lekarzem. Jakby nie dość wszystkiego, panie Jakubie, poczułam, że ten doktor jest solidnie zalany, i niech pan pewis, co pan by zrobił w takiej sytuacji? To prawda, że nieszczęścia chodzą parami. Zanim jednak zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć on przystąpił do oględzin i robił wrażenie człowieka znającego się na rzeczy. Kula nie tkwiła głęboko, uderzając rykosztem w prawą pierś siedziąca pomiędzy żebrami nie naruszając płuć, stwierdził lekarz. Można było liczyć, że wyjmie się ją z łatwością. Powiedziała też zbadawszy tętno, że ranny nie utracił wiele krwi, a omdlenie jest sprawą szoku. Ale nie chciał podjąć decyzji, podobnie jak żadne z nas. Gdyby była pańska matka.. Zaplanowałabym milozenie. Pański ojciec ponownie ocknął się i kiedy zrozumiał, że jest przy nim lekarz, poprosił o wyjaśnienie sytuacji. Usłyszał to co my. - Nie ma na co czekać - powiedział - niech pan to zrobi na moją odpowiedzialność. - Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę - usłyszeliśmy odpowiedź - ale jeśli będą komplikacje, to mnie oskarżą o spowodowanie śmierci. - Jeśli nawet tak będzie - przeskonywał pana ojciec - to o morderstwo, skarżony przez moją rodzinę będzie na pewno nie pan. Tam - tu pokiwał głową z powątpiewaniem - czy pan wie, że jestem ginekologiem, nie chirurgiem? I czy pan wie, że miałem już dzisiaj dwa takie przypadki? - pytał głośno, tak żebyśmy słyszeli. Zrobiło mi się gorąco, choć zrozumiałam, dlaczego może zalany. - To niech pan robi swoje - powiedziałam wtrącając się, do dziś nie wiem panie Jakubie dlaczego - niech pan robi, co można, przecież nie pojedziemy do szpitala. Wyjął narzędzia. Jeszcze raz obejrzał postrzał. - Chwała Bogu, że to lekki przypadek - dodał. Proszę przygotować wrzątek, watę i jeśli jest - jodynę. Mówił zdecydowanie. Poprosił o mocną kawę, kiedy będzie wygotowywać narzędzia, które wyjął teraz z teczki, razem ze sterylizatorem. Dalej potoczyło się wszystko bardzo szybko. Pouczył co i jak mu podawać, gdyby zaszła potrzeba i w ciągu niespełna czterech minut wyjął kulę zaszywając i opatrując ranę. A teraz - zwrócił się do mnie - niech mi pani należe wódki. Nalałam całą szklanekę, a ręce to mi się trzęęły, że wstyd powiedzieć. Wypił duszkiem i nawet nie chciał usiąść - niech pani podaje coś na zabicie go-

rączki - dodał zakładając płaszcz, a gdyby nie ustąpiła, to zna-
czy, że jest infekcja i wtedy trzeba na pogotowie, albo lepiej
od razu do szpitala. Stanął w progu - i licze na catkowita dys-
krecje państwa. Lipski ze szwagrem wyszli odprowadzić go. Ja
usiadałam w drugim pokoju i dopiero teraz mogłam pozbiierać rzeczy.
Przypomniałam sobie o nieobecności męża. Wie pan, nie bałam się
specjalnie, bo to co się stało, na przekór - dodało mi siły, sta-
tylko byłam, że pewnie został na noc u Schaferów, jakby nie było
wrócić do domu. Przyszedł raz jeszcze Lipski i ustaliliśmy, że
tylko my troje plus mój mąż będziemy wiedzieć o całej sprawie.
Taka była konieczność nie tylko ze względu na pańskiego ojca,
ale też lekarza. Za coś takiego mogli w najlepszym wypadku po-
zbawić prawa do wykonywania zawodu, pan wie co to oznacza dla le-
karza. Włączyłam radio i akurat powtarzali popołudniowe przemó-
wienie, Jezus, czego w nim nie było, jakie określenia - cancyoi,
chuligani, przestępcy, i to dla kogo, dla stoczniowców, a wta-
ściwie dla nas wszystkich, a czy my byliśmy winni, no niech pan
sam powie panie Jakubie, co my mogliśmy zrobić? Jak ustyszałam
jeszcze, że to wszystko co się na mieście działo tego dnia i po-
przedniego to była robota odwetowców niemieckich, to mało że zło-
ści nie cisnęłam odbiornikiem o podłogę, bo beczelnych kłamstw
człowiek spokojnie słuchać nie może. Owszem, oni tak zawsze, ale
wie pan, w takim momencie, to dosłownie żółć się przelewa. Ła-
szczęście radio można wyłączyć. Zajrzałam do pańskiego ojca - był
przytomny i nie spał. Miałam straszną ochotę wypytać kiedy i
gdzie go postrzelili, ale głupio mi było, z babką ciekawością
wpychać się, kiedy krew jeszcze nie obeschła. Pan Zbigniew popro-
sił, żebym znalazła w jego płaszczu klucz do waszego mieszkania
i przyniosła stamtąd kartonową pudełko, które stało razem z ostat-
nimi rzeczami do zabrania w kącie pustego pokoju. Zrobiłam jak
prosił, tam były jakieś rodzinne drobiazgi, które później pańska
matka zabrała, ale jemu chodziło głównie o dużą szarą kopertę.
Pani Ireneo - powiedział do mnie - niech pani wyjmie z koperty
zdjęcia i wrzuci je do pudła, a pieniądze proszę przechować i w
razie czego przekazać żonie. - No wie pan, przecież sam je pan
zabierze - ale nie dał mi dokończyć - proszę bardzo - powtórzył
raz jeszcze. Jak wyjmowałam zdjęcia, to rozsypały się po podło-
dze więc zaczęłam zbierać do kupy, a pański ojciec ożywił się
na ich widok i zaczął mówić, chociaż prosiłam, żeby leżał spokoj-
nie. - O, widzi pani, to nasz stary dom pod Lwowem, a to mój oj-
ciec, a to widzi pani ja z narzeczoną na plantach, a to syn kiedy
miał siedem lat, a to my u mojej siostry w krakowskim mieszkaniu.
Bo ja wtedy nie wiedziałam panie Jakubie, że wy przeprowadzili-
ście się do jej mieszkania w Krakowie, kiedy ona zmarła, przez ca-
ły czas myślałam wtedy, że dostaliscie nowe na zamianę, ale w
końcu - czy to takie ważne? Spytałam pańskiego ojca, jak się czu-
je i czy pozwoli sobie zmierzyć temperaturę, opuścił głowę na po-
duszki, jakby przypomniał sobie, że musi leżeć spokojnie. Dałam
mu termometr, miał trzydzieści siedem i pięć, więc zaraz zrobiłam
herbaty i zażył aspirynę, powiedziałam też, że teraz powinien
spać, wyszłam z pokoju i zgasiałam światło, ale drzwi zostały uchy-
lone i kiedy spał, czuwałam przez cały czas zaglądając co chwila.

Świtało. To już był, panie Jakubie, szesnasty grudnia. Nie
spalałam ani minuty. Rano zmieniłam panu Zbigniewowi opatrunek. Nie
chciał jeść, ale wmusiłam w niego ryż na mleku. I wtedy przyszedł
mój mąż, który jak się domyślałam, noc spędził u Schaferów. Byłam
już bardzo zmęczona i nie miałam siły słuchać, co widział popřed-
niego dnia od nich z balkonu. Położyłam się w naszym pokoju, a w

drugim z pana ojcem został mąż. Spałam dość długo. Kiedy obudziłam się, było późne popołudnie, za oknami szarzało. Mąż robił w kuchni podwieszorek. Co się dzieje - zapytałam wskazując za ścianę. - W porządku, kłwnął głową. - A na mieście? - Znowu strzelali - odpowiedział. - Gdzie - spytałam. - Pod samą stooznią - mówił spokojnie, jakby to było już normalne - wychodził pochód, więc strzelali do nich, żeby z powrotem zagonić i nie dopuścić do miasta. Nie zapytałam nawet, czy byli zabici. - A u Popiołów - pytałam dalej. Wzruszył ramionami, bo przecież nie mógł wyjść z domu, kiedy ja spałam. Zjadłam coś naprędcę i pobiegłam do nich. A tam siedziały Popiołowa z Wenzłową, białe jak papier i modliły się - jedna za Bernarda, który siedział w areszcie, druga za męża i syna, bo obaj byli od rana w stoczni. Popiołkowa rozplakała się - pani Ireno, nie wiem nic, nie wiem, tyle tylko, że są otoczeni w stoczni i wywiesili czarny sztandar, znaczy że strajk głodowy, bo jak chcieli wyjść na miasto, milicja strzelała, tylko niech pani powie - płakała coraz bardziej - jak my mamy zanieść im jedzenie, jak pod bramą stoją czotgi, znaczy że do nas też będą strzelali? No, niech pani powie, co robić? I rozplakałyśmy się wszystkie trzy, bo Wenzłowa też nic nie wiedziała o swoim, a zresztą, niech pan powie, nawet gdyby im i pańskiemu ojcu nic się nie stało, to czy nie można było płakać nad tym wszystkim? Nieszczęście nie spada na wybranych, ono jak dotyka, to wszystkim razem. Może w tym jednym jest pociecha? Wróciłam do domu. Pan wie, jestem po matce protestantką, ale zaraz wzięłam katolicki mszałik męża i zaczęłam się modlić litaniami, gorąco, żarliwie, żeby już więcej nikogo nie zabili, żeby to się skończyło, żeby Bóg zesłał karę na morderców. I coś panu powiem, to była trochę pogańska modlitwa, bo nie prosiłam o wybaczenie złoczyńcom, ale nie mogłam inaczej. Nie wszystko można wybaczyć. Bóg potrafi, ja wtedy nie mogłam. Bo żeby jeszcze strzelali do Polaków Niemcy, albo Sowietci, ale tak? Mąż uspokajał mnie - może coś się przejaśni. Wieczorem w radio i w telewizji przemawiał Kociłek i powiedział, że jak ludzie pójda jutro do pracy, to będzie podstawowy warunek. Ja tego nie mogłam słuchać. Bo myślałam, że jesteście w najgorszym punkcie. Ale to nie był jeszcze ten punkt. Najgorsze dla nas zaczęło się tej nocy. Byliśmy z mężem w pokoju od strony ulicy, bo w tantym drugim leżał pana ojciec. Wyglądało, że mu się poprawia, choć nieznacznie. Normalnie to byśmy o tej porze spali, ale tak, siedzieliśmy jeszcze w piżamach i zastanawiali się, czy wystać do was, do Krakowa kartkę, czy dojdzie, a przede wszystkim - co napieść. Usłyszeliśmy nagle, że przed bramą zatrzymuje się samochód. Mąż: on razu zgasił światło, pan wie, to jeszcze nawyk z okupacji i patrzmy co się będzie działo. To były dwa samochody. Z pierwszego wyszli ludzie po cywilnemu i zniknęli pod trzynaetką. Z zaraz u Popiołkowej zapaliło się światło. Po chwili wyprowadzili ją, prowadząc pod ręce. Wsiadli i pojechali w stronę Gdańska. Milczeliśmy. Co mówić, kiedy aresztują kobiety? Bo pomyśleliśmy, że ją zabrali na komendę. Nie mogłam spać. Mąż też. Zajrzałam jeszcze do pana Zbigniewa ze dwa razy, czy miał zamknięte i oddychał równo. I kiedy chciałam już potożyć się, znowu usłyszeliśmy pisk opon i trzaśnięcie samochodowych drzwiczek. Nim podeszliśmy do okna, z ulicy dobiegł nas krzyk, wie pan, taki głośny i straszny, z głębi człowieka - mordercy!! mordercy!!!. Na dole była Popiołkowa, wypchnęli ją z tego samochodu i prowadzili do bramy, a ona krzyczała ciągle - mordercy!! mordercy!! i wrywała się. Szamotanina nie trwała długo, po

chwili tamci dwaj wybiegli z bramy, wsiedli do samochodu i odjechali, a Popiołkowa cała poszarpana, z włosami rozwichrzonymi wypadła za nimi z powrotem i krzycząc dalej ochrypłym i zapłakany głosem, wygrażała pięścią odjeżdżającym. Kiedy znikli, cpała się o drzewo i płakała dalej, choć panie Jakubie płacz to jest nieodpowiednie określenie, ona wyła jak zbity pies, uderzała głową o korę i waliła ręką w pień drzewa, powtarzając wciąż to samo słowo. Męża coś tknęło, szybko złożył spodnie i poleciał na dół, z naszej kamienicy wybiegł też Lipski, podszli do niej, ale była chyba w szoku, bo z początku nie poznawała ich i nie pozwalała do siebie podejść. Dopiero po dłuższej chwili całkiem bezwolną wzięli pod ręce i zaprowadzili ją na górę, do mieszkania. Widziałam jak tam zapalono się światło. Mąż wrócił niezadługo, ale tak był przejęty, że nie chciał nic mówić. Usiadł i milczał, jakby mu język odjeżdżał. Bo panie Jakubie, ci nocni konwojenci, to była ekipa pogrzebowa złożona z tajniaków i urzędnika. Oni zawieźli ją na cmentarz, nic nie wyjaśniając wprowadzili do kostnicy i pokazali trupa. To był Heniek, ich syn. Potem wrzucili ciało w plastikowy worek i w jej obecności zakopali. Musiała podpisać papiery jakies, grozili, że jeśli będzie za dużo mówić, to porachują jej kości. Taki był dziesięciominutowy pogrzeb w środku nocy. Bo Heniek zginął tego dnia przed stocznia, jak na miasto wychodzili. Podobno, o czym słyszeliśmy już później, nie cofnął się po pierwszej salwie, ani po drugiej, tylko szedł przed siebie nawołując innych. No i taki miał pogrzeb, widzi pan. Tej nocy do Popiołkowej przyszła Wenzłowa i czuwała z nią, żeby ta nie odeszła od zwłoków, bo stary Popiołek przez cały czas siedział jeszcze w stocznia. A my czuwaliliśmy nad pana ojcem. Nikt dzisiaj nie wie, ilu przez te wszystkie nocy było takich czuwających jak my, albo Wenzłowa. Ale wtedy wydawało się, że bardzo wielu. Nieszczęście rozlało się jak rzeka.

Pana ojciec od samego rana gorączkował wysoko. Myślałam, że ze zdenerwowania, bo jak dowiedział się o pogrzebie Henka w nocy, to zbladł strasznie i powiedział do siebie - niżej upasć nie sposób, - pamiętam dokładnie. Nie miałam wątpliwości o kim mówi. A już o jedenastej dowiedzieliśmy się przez ludzi, że w Gdyni idących do pracy powitano seriami karabinów i trwa tam walka na śmierć i życie. Na Świętojańskiej pochód niósł zabitego na drzwiach ze sztandarem, ale i do nich otworzono ogień. A ja musiałam iść do apteki, bo zabrakło asproclu, pan Zbigniew miał już trzydzieści dziewięć i dwie kreski. Może trzeba mu było nic nie mówić, ale niech pan sam powie, czy to się dało w tajemnicy przed nim utrzymać? Przez naszą ulicę przejeżdżały czółgi i wozy pancerne - raz w tą, raz w tamą, a nad miastem bez przerwy latały helikoptery. Szyby od tego latały i szkło w kredensie też. Pod wieczór sytuacja była krytyczna, nie wiedzieliśmy zupełnie co robić. Wprawdzie rana wyglądała dobrze, nie było ropy, ale gorączka nie spadała. Powiedziałam do męża - trzeba wezwać pogotowie, a on - jak w tym stanie będą go przesłuchiwać, to co? - Pan Zbigniew nie powie - zachnęłam się, - to wiem - powiedział mąż, - ale wiem też jak oni przesłuchują. No i co mieliśmy zrobić? Pani Ireno - mówił pański ojciec - to już koniec ze mną, niech pani powie mojej żonie, żeby została w Gdańsku, to ja chciałam do Krakowa, ona była przeciwna. Co miałam odpowiedzieć? Jeszcze łudziłam się, że to chwilowe pogorszenie, ale jak zwytygotował krwią zrozumiałam, że może być całkiem źle. Zażądał kategorycznie, żeby go przenieść do waszego mieszkania - Jezus Maria - przeleżałam się - w takie zimno, ale on powiedział, że

umierającemu nie wolno odmawiać. Nie, jeszcze nie wierzyłam, że umrze, ale pr... śliski go do pustego pokoju w waszym mieszkaniu i położyli na polowe łożko. Napaliłam w piecu i okryłam go jak najcieplej. Mąż poszedł po Lipskiego, żeby razem coś postanowić i wyszli do tamtego lekarza, który pańskiemu ojcu kulę wyjmował, lecz nie zastali go. Wrócili z pustymi rękami, nie wiedząc co dalej. G... w waszym mieszkaniu nie działał, okazało się, że nawet miejskie połączenia zostały już wyłączone. A iść po pogotowie, wie pan, bał się każdy. Była godzina milicyjna i jak się nie miało przepustki, to patrole nie słuchały żadnych tłumaczeń. Ja sama, gdyby nie moje nogi, może bym i od razu poszła, ale namawiać kogós, niech pan rozumie - było niepodobienstwem. Mąż i lipski siedzieli u nas w kuchni. Pański ojciec majaczył już, to znaczy mówił całkiem jasno i klarownie, ale mieszały mu się osoby, miejsca, wydarzenia. - Karol! Karol, jesteś tu? - pytał się, a potem zaraz mówił coś do pana i pańskiej matki. - Jaki to dworzec - wykrzykiwał - jaki to dworzec, dokąd oni nas wiozą - i głowa opadała mu na poduszkę. Wymieniał nazwy miejscowości, ale nie zapamiętałam jakich, ani polskie, ani rosyjskie, coś jakby po środku. Wreszcie nie wytrzymałam. Poszłam założyć buty i płaszcz - niech się dzieje co chce - powiedziałam - idę. Zaszłam jeszcze do pana Zbigniewa, a on - pani Ireno, pani Ireno, niech pani da mi jeszcze godzinę, tylko jedną godzinę - tak mówił i nie wiem, o co mu chodziło, czy żebym nie szła, czy jeszcze o godzinę życia dla siebie. Bo dalej to już pobiegło bardzo prędko. Na rogu, tam gdzie kończą się pruskie koszary, jechała karetka na sygnale. Wyszłam na środek ulicy i zamachałam. W ostateczności zdążyliby mnie ominąć, ruch był żaden. Ale kierowca zahamował. Powiedziałam, że sąsiad umiera niedaleko, tylko tyle. Kiedy weszliśmy do mieszkania, pański ojciec jeszcze oddychał, ale nie był przytomny. Obok polowego łożka, na skrzynce siedział Lipski. Lekarz, dopiero gdy zobaczył szwy, zażywał jak to było. Skłamałam mówiąc, że niczego nie wiem, powiedziałam, że pana ojciec mieszka teraz sam i zobaczyłam otwarte drzwi do mieszkania, więc weszłam sprawdzić, a on leżał tak jak teraz, więc poszłam po jakąś pomoc. Lipski milcząco przytaknął. Lekarz nie pytał o nic więcej, powiedział, że przyjadą za pół godziny, bo wie pan, ten kurs do nas to myśmy robili już z chorym w karetce i widać doktor uznał go za poważniejszy przypadek. Jak wychodził, dodał jeszcze na klatce - jeśli dla pana ma to jakieś znaczenie, można wołać księdza. Kiedy wróciłam do mieszkania, pan Zbigniew już nie żył. Teraz mogę o tym mówić panie Jakubie, ale wtedy płakałam i nie mogłam się powstrzymać od głośnego szlochania - bo dlaczego - pytałam samej siebie - to się stało - a raczej - czy to się musiało stać? Najbardziej, powiem panu szczerze, bałam się, że jak zabiorą pańskiego ojca, to pochowają niewiadomo gdzie w plastikowym worku, jak młodego Popiołka i nawet mogły nie znaleźćcie później. Życia nie wróci się, ale mogła, grób są ważne, prawdę? A pan wie ilu wtedy pochowano bezimiennie? Tego nikt nie wie. Myślałam o tym przez cały czas potem, jak już zabrali ciało. Tyle tylko, że na podstawie świadectwa zgonu można było wystać telegram do pańskiej matki, co uczyniłam następnego dnia, osiemnastego grudnia rano. A potem to już pan wie. Prokurator, milicja, wszyscy chcieli wiedzieć, kto operował, gdzie i dlaczego nie w szpitalu. Ale nie dowiedzieli się. I chyba tylko dlatego zezwolili na normalny pogrzeb, bo sprawa ciągnęła się aż do świąt, a to już było co innego. Nastął Gierek i obiecywał dużo rzeczy, także przebaczenie. Tylko kto komu ma

wybaczać? Pańska matka nie chciała jednak tu wracać, ja się nie dziwię. Ale dobrze że pan wrócił, choć tam, w Krakowie, uniwersytet pewnie lepszy. Ja rozumiem dlaczego pan tu chce studiować. Jeżeli pan chce mój drugi pokój mogę wynająć za symboliczną opłatę, parę groszy. Bo odkąd umarł mój mąż, jestem zupełnie sama. Pyta pan, co ze starym Popiołkiem. Jak wtedy zakończyli ten strajk głodowy, został aresztowany, ale na krótko, bo już na Górze musiało widocznie wiać inaczej. Teraz jest na emeryturze. Tylko Bernard Wenzel zmarł zaraz w siedemdziesiątym pierwszym - wie pan - jak się komus odbije nerki, to właściwie koniec.

Wszystko co nagrane na tę taśmę, można spokojnie opisać, niozego się już nie boję. A lekarz? To inna sprawa, podobno po tym co było rozpił się i odebrali mu praktykę. Teraz jest w Niemczech na stałe, nic mu nie zaszkodzi. Więc w te dni nic właściwie nie robiliśmy - tylko biegano się od jednych do drugich i słuchało, co ludzie mówią. Bieganie i gadanie, tak bym to nazwała. Co innego mogliśmy robić? Chce pan już iść, zaraz. Mam jeszcze jedną rzecz. Gdy siedzieliśmy z lipskim przy pańskim ojcu, kiedy już nie żył zrobiło się okropnie zimno. Nie dołożyłam do pieca i wygasło. Zauważyłam, że pan Zbigniew ma zacisniętą pięść, jakby w niej coś trzymał. Palce były tak mocno zwarste, że z trudem przyszło nam otworzyć dłoń. I tam było to. Kiech pan weźmie panie Jakubie, miałam jednak dobre przeczucie, że to po latach odnajdę. Tak. Długo czekałam na tę chwilę.

J.D.

Stanisław Notecki

Na skrzyżowaniu

N. wracał zmęczony. Klucząc podwórkami, próbował jeszcze rozejrzeć się w okolicy ostatniej siedziby Solidarności, gdzie według potajemnie kolportowanej instrukcji, dotrzeć miała manifestacja zwolenników związku. Przeszedł wiele kilometrów wzdłuż trasy oficjalnego pochodu, starając się zapamiętać jak najwięcej. Łomotał w głowie ogłuszający ryk marzów i tępy warkot wozów pancernych, które ruszyły, gdy w nagłą ciszę spowodowaną przecięciem męgafonicznego kabla, wdarło się niesione od strony Gdańska skandowanie: "So-li-dar-ność!, So-li-dar-ność! Lech Wa-łę-sa!...". Z tysięcy osób zdolało wedrzeć się w wytworzoną przerwę między karnymi oddziałami rządowego "konduktu" i przynieść przed trybuną szeroko rozwinięty transparent: "Uwolnić więźniów politycznych". Była to już podobno druga grupa Solidarności, której udało się zmanifestować swą obecność, lecz N. mógł obserwować tylko tę ostatnią, nie mogąc wcześniej wydostać się z wrzeszczańskich stacji elektrycznej kolejki, wszelkie dojście do centrum blokowała milicja, ustawiając się za wysokimi, żelaznymi płotami. Większość ludzi, tak jak i on, grupując się za grubym, konopnym sznurem oddzielającym trasę pochodu od reszty miasta, bała się przekroczyć tę wyrazistą granicę uwagi i lęku, jakby pocieszając się tym, że nie ma ich wśród wyznaczonych do popierania władzy. Ci ostatni, w szpalerze uzbrojonych

zomowcow, przecncażili obok trybuny, najczęściej odwracając twarze lub też zasłaniając je płachtami niesionych sztandarów. Wielu nerwowo przyspieszało kroku, by jak najszybciej mieć już to wszystko za sobą.

Teraz we Wrzeszozu ludzie, odszukawszy znajomych, gromadzili się w niewielkich grupach, komsntując to, w czym uczestniczyli. E. wraz z napotkanym kolegą postanowił wracać do domu, gdzie przy szklance herbaty będzie mógł dać odetchnienie umarzonym w nerwowym zmęczeniu zmysłom. Na skrzyżowaniu ulic Grunwaldzkiej i Konopnickiej wmiszali się w niewielkie skupisko mieszkańców, obserwujących z daleka przemieszczające się w pobliżu Hotelu Morskiego plutony milicji, kolumny więźniarek i polewaczek. Tylko nieliczni decydowali się przejść obok silnie strzeżonego budynku zdelegalizowanego związku. Tu jednak, na rogu ulicy, przybywało ludzi niepewnych, ale i zarazem ciekawych, co się stanie dalej. Spora odległość od miejsca milicyjnej koncentracji wydawała się gwarantować bezpieczeństwo. "Zaczynają" - wyrwało się komuś, gdy trzech zomowców podskoczyło do stojącego w grupie dwudziestolatka i odciawszy mu drogę ucieczki, poprowadziło w stronę ustawionej na środku skrzyżowania nysy. "Szybciej! Dać go tu!" - ponaglając zawyrokował stojący przy wozie sierżant, silnym szarpnięciem dłoni otwierając drzwi samochodu.

Chłopiec szedł nieco niepewnym krokiem, zmieszany, jakby zatrwożony nagłością zdarzenia, podczas gdy podtrzymująco go za ramię jeden z gorliwców wskazywał pałą jedynie możliwą drogę. "Ludzie! Nie dajmy go!" - zawołał ktoś po drugiej stronie jezdni. Zomowcy zatrzymali się i odwrócili w kierunku, z którego dopadł ich głos. Nikt się nie ruszył. Chłopiec pochylił się przed niskim wejściem do milicyjnej suki. W tym momencie z rosnącego tłumu wybiegła dziewczyna. Chwyciła za rękę zatraskującego drzwi sierżanta. "Ja też z nim byłam!" - krzyknęła i postawiła nogę na stopniu samochodu. Zomowiec pohnął ją do osiatkowanego wnętrza. Zapuśsowały sinoniebieskie światła, smagając E. po zmęczonych oczach. "Mówią, że miał w ręku kamień. Cholera wie: facet nerwowo nie wytrzymał albo prowokator..." - głośno rozważał kolega, obracając w palcach kupioną przed chwilą paczkę popularnych papierosów.

1-V-84

Stanisław Notecki

ZAPISY ZAPRZEN

Grzegorz Kurkiewicz Dlaczego Gdańsk?

Pierwszy zapis w świadomości: gram Króla Bałtyku, a Sotysikówna z czwartej jest Królową Wisielką. Z rymowanego tekstu wynika, że mieszkamy koło Gdańska.

- Dzieci, a kto wie gdzie to jest?
- w Polsce proszę pani!
- I tak, i nie. Było to kiedyś polskie miasto, ale je nam zabrali, a teraz jest takim miastem-państwem z granicą i innym pisniadzem niż nasz.

Kolejny zapis: w gimnazjum piłujemy rozbiór "Pana Tadeusza" i w Księdze IV, o dyplomatyce i łowach, mnie przypada wiadomy fragment:

"Niech żyje! krzyknął Sedzia, w górę wznosząc flaszkę.
Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znówu nasze!"

- oo autor miał na myśli?

Wywiam się jak piskorz, bo nie wiem. Wiem co Warszawa, Wilno i Lwów, bo byłem tam na wycieczkach szkolnych - ale Gdańsk to dla mnie abstrakcja. Kto tam mieszka? Po jakimu się tam naprawdę mówi? Nikt tam nie był, jeśli Imć Paska i Decymę pominąć, nawet wujek Jursk, o którym w rodzinie mówi się, że taki sportowiec i podróżnik.

Z zakamarków pamięci wyłania się zdumienie gestapowca, który w nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1941 roku przyszedł aresztować moją Matkę za kolportaż gazetek ZWZ /AK/ a przy okazji zwinął i mnie. W trakcie przeszukania, w komoście, znalazł trójkątny proporozyk z herbem Gdańska i swastyką na odwrocie:

- Woher hast Du das?

--- na wakacje jechaliśmy do Wielkiej Wsi - Hallerowa, bo tak się Władystawowo jeszcze nazywało i przed wyjazdem z dumą odebrałem w magistracie pierwszy w życiu urzędowy dokument - poświadczenie obywatelstwa. Był on wymagany przy przekraczaniu granicy Polski z Wolnym Miastem. Lipcowym rankiem stateczek z Gdyni dobił do sopockiego mola, gdzie czekała pani z "Orbisu" z zawodowym uśmiechem:

- Proszę nie mówić głośno po polsku, bo stosunki tu napięte i może dojść do prowokacji. Byłabym bezsilna.

Słuchałem najpisrw zadziwiony - bo obowiązywał pakt o nie-agresję i Goering przyjeżdżał polować w Białowieży - a potem z oburzeniem; na wszczępiamym mi w szkole i harcerstwie poczuciu mocarstwowości pojawiła się jakby rysa.

Obcy dla ucha zgiełk kurortu w pełnym sezonie, kasyno gry, obiad w Grand Hotelu, gdzie na przystawkę były szyjki rakowe i od razu powiało wielkim światem. Podróż kolejką, oczywiście parową i obce, gotykiem pisane nazwy przystanków. "Danzig Hbf." z czerwonej licówki, przestronny i obcy, inny zupełnie od słonecznie żółtych, ukwieconych stacyjek w Małopolsce. Obelisk ku czci

pruskich zwycięstw, Mariacki zadziwiający ogromem, przedproża, Dwór Artusa i modele okrętów powieszzone u sufitu, Neptun i Ratusz:

- Niemcy mówią na tę figurkę na wieży "goldener Kerl" a to przecież - tu głos przewodniczki przeszedł w szept - Nasz król Złomant August!

Zadzieram głowę. Jest.

- Macie państwo po siedem guldenów i pewnie chcecie coś kupić. Najlepiej na Langufer, tuż za bramą. Spotkamy się pod Neptunem za pół godziny, na spóźnialskich nie będziemy czekać.

Na Motławie statki, łódzie, holownik pod parą, a na drugi brzeg kursuje prom. Nad każdą wystawą sklepową płócienna markiza, za szybami słodycze, cygara, pocztówki, albumiki, bursztyn i pamiątki z Gdańska. Guldeny wprost palą mi kieszeń.

- Proszę taki proporczyk na rower z herbem Gdańska.

- Ich verstehe kein Polnisch!

Szukam słów. Chorągiew - die Fahne, a deminutiwa tworzy się dodając końcówkę "chen" lub "lein" i zmieniając rodzaj na nijaki.

Kupiec wolałby polską srebrną dwuzłotówkę, bo srebro - tak zrozumiałem - ma akurat dobry kurs w pobliskiej Szwecji. Mam ale nie dam, bo skoro ma nazwisko na "ski" widoczne na szyldzie, a nie umie albo nie chce mówić po naszymu - niech bierze gdański nikiel.

Od trzydziestu niemal lat mieszkam w Gdańsku nie dalej niż dwieście metrów w linii prostej od miejsca, w którym rozegrał się ten mało ważny incydent. Tu upłynęły mi najowoocześniejsze lata i tu dojrzewały, a potem dorosłały moje dzieci.

Jestem po prostu stąd. Jeśli odwiedzam rodzinny Kraków, to dla zostawionych tam rodzinnych grobów. A przecież w Krakowie moja rodzina mieszkała od blisko trzystu lat i jako chłopiec obiecywałem sobie, że nigdy go nie opuszczę.

Uwitem gniazdo nad Motławą - w przenośni i dosłownie. Jeśli przyjąć, że na los ludzki składają się miliardy zdarzeń wielkich i małych, wzajemnie zależbionych - to po to, bym się stał gdańszczaninem Niemcy musieli wpieryw przegrać okrutną wojnę, którą - w pewnym sensie - o Gdańsk zaczęli i w której zginęły miliony ludzi; z kolei my, w naród nomadów na kółkach przemienieni, musieliśmy w masowej skali przemieścić się na wschód i północ. Gdy mego Krzysia douczałem ojczyźnej geografii, pokazałem w przedwojennym Atlasie Romera Gdańsk:

- Tu teraz mieszkasz. A tu - powiodłem palcem - urodził się twój tata. Tam babcia, na południu. A tam - palec powędrował w prawo - leży w grobie dziadek, którego nie znależ i nie możemy nawet go odwiedzić.

- A dlaczego jak tu spuchnęliśmy, to tam nam ubyło?

Teraz o roli przypadku. W połowie lat pięćdziesiątych przybyłem tu okazjijnie z stolicy i dano mi zaproszenie na uroczyste wodowanie w Stoczni Gdańskiej. Mało ich było, nie spowzechniały. Czerwień kadłuba pięknie kontrastowała z grudniowym pejzażem industrialnym pogrążonym w śniegu, orkiestra dęta grała "Na sópkar! Mandżurii" a ja to wyjątkowo lubię, wreszcie kierownik wodowania pan Rekowski w nowym kombiniezonie i białych, muszkieterskich rękawicach aż po łokieć wspaniale dyrygował tą techniczno-produkcyjną ceremonią:

- Stopery mechaniczne zwolnić!

Byłem świeżym absolwentem warszawskiej SGPS, asystentem w katedrze jednej z licznych wówczas "ekonomik branżowych" - więc mocno postanowiłem, że rzucę ewentualne naukowe laury i oddam

się praktyce; jako asystent zarabiałem grosze, więc rzecz miała swój aspekt pieniężny. Nie minął rok, gdy mizerny dobytek zata-
dowałem do wagonu. Ktoś, z kim w Gdańsku zamieniłem się wówczas
na mieszkanie, chciał za wszelką cenę znaleźć się z powrotem w
centrum:

- Panie, lada chwila będzie wojna - i co wtedy?

Dostałem pracę w stoczni, szybko awansowałem aż nadszedł
pierwszy z "polskich miesięcy", które chwilami piszemy z dużej
litery: gomułkowski Październik.

To co działo się chłonałem żarliwie, pełen złudzeń. Z innymi
w hali sportowej na słynnym wiecu domagałem się zwolnienia
Prymasa Polski z internowania i - o sancta simplicitas - udziału
bezpартyjnych w rządach. Bodaż w Biurze Politycznym nawet...
Więc wytonił pierwszą w kraju autentyczną radę robotniczą.

Był wiec pod politechniką, na którym młody oficer wśród
huraganu braw domagał się, by Wojsko rolnskie było dowodzone
przez Polaków. Było spotkanie pod formułą "ludzi morza", na któ-
rym najpierw wyklaskano z trybuny kogoś, kto usiłował udowodnić
dotychczasową opłacalność eksportu statków - a było inaczej - a
potem, też oklaskami, dwóch zaskoczonych tym profesorów ekonomii
wytypowano na ministra i wiceministra żeglugi. Władza była jesz-
cze nieokrępła, miękka, toteż zaakceptowała demokratyczny wy-
bór. Ale naukowcy w roli dygnitarzy z woli ludu czuli się chyba
źle i rzędzili też nie najlepiej, toteż - gdy o Październiku na
polecenie z góry zapomniano - ustąpili.

Wtedy mi się naprawdę wydawało, że nad Gdańskiem wieje
wiatr historii, a dziś, po tylu rozczarowaniach, wiem iż to było
fizycznie objaśnialne przemieszczenie się mas powietrza wywołane
nie biciem braw przez tyle rąk.

Sprawia mi satysfakcję, że dojrzałe życie upływało mi tu
nad Motławą. Najpierw, jako gdańszczanin całkiem świeży, obser-
wowałem jak szybko i sprawnie miasto leczy rany, zadane mu przez
wojnę. Tu refleksja, że teraz chyba byłibyśmy niezdolni do pow-
tórzenia takiego wysiłku i to dla wielu przyczyn. Dumny byłem,
że domy na Głównym Mieście /bo nie "Starówce" - to wyrażenie
typowo warszawskie!/ odbudowuje się przynajmniej na zewnątrz
takimi, jakimi były, bez przekłamań. Lubię znajomym z zagranicy
a zwłaszcza Niemcom demonstrować wierność, z jaką po wojnie od-
tworzono polską ręką obce znaki heraldyczne, obce napisy. Jest
to okazja by wyjaśnić, iż ludzie rozumni polskość dawnego Gdań-
ska pojmują historycznie i bez szowinizmu, wydobywając z prze-
szłości wątki świadczące o silnych związkach miasta z osobą pol-
skiego króla, z Sejmem, z Rzeczypospolitą - obopólnie korzystne.

Nikt przy tym nie przeczy - a ściślej: prawie nikt - iż
był ów polski Gdańsk miastem uczonych, pisarzy, malarzy, rzeźbia-
rzy, żeglarzy, kupców i rzemieślników obcej najczęściej nacji,
przed wszystkim Niemców, ale także Holendrów, Anglików czy Szko-
tów, ale była to epoka, w której liczyła się wierność władcy, ko-
ronie, a nie to, po jakiemu miejski rajca z żoną mówi w domu.

Uważnie obserwowałem, jak w stosunkowo niedługim czasie napy-
wowa ludność stopiła się w gdańskim tyglu w jednolity amalgamat.
Oczywiście, że pozytywną rolę odegrały w tym przyspieszenia lat
1956, 1970 i 1980 - ale i elementy były przednie. Na cienką, po-
szarpaną warstwę starych gdańszczan, Polonii zahartowanej przed
wojną w dochodzeniu swoich praw, po wojnie zresztą też - należy-
li się ławą pomorzacy spod Torunia i Bydgoszczy, Kaszubi, którym
z początku trudno było pojąć nową rzeczywistość /a nam pojąć ich/
twardzi Kociewiacy, wielkopolanie na niemieckość wyczuleni jak
ogary - a do tego, jak przyprawa attyckiej soli, lwowiaczy, wil-
niacy, krakowiacy i górale. Warszawiacy oczywiście też, bo gdzie
ich - prawdziwych i mniemanych - w końcu nie ma? Ale tu nigdy nie

było ważne kto skąd i kto go rodzi, a co umie, a mowa na układy i kotarie przyszła później. Tak na przykład przez trzy lata w stoczni w jednym pokoju siedziałem twarzą w twarz z inżynierem S. - aż dogadalismy się, że obaj jesteśmy "galicyjskie bosa Antki..."

Marzec 1968 roku w Warszawie zaczął się niby z tytułu sporu z władzą o "Dziady" a wyszło z tego niemal przedwojenne "bij Żyda!" - przy czym, z braku Żydów, mógł to być Żyd umowny, byle jajogłowy, liberalizujący a ex-dogmatyczny inteligent. W Gdańsku rzecz spłaszczone jeszcze bardziej, tnąc z czyjegós polecenia gruby, wisiołowy kabel w gumowej izolacji i rozdając tę niby-bron ornowcom. Batalia na brukowie i na kable rozegrała się w Alei Zwycięstwa koło opary, gdzie akurat były pełniące rolę okopów uliczne wykopki, a w jej wyniku dużo młodych poszło siedzieć. Na szczęście na krótko.

Chyba w lecie 1970 roku tuż po dzienniku wieczornym wyszedłem na podwórze, zamknięte jak studnia. Okna były szeroko potwierane i zewsząd grzmiał na zakończenie agresywny sygnał. Po-maezerowałem z wiaderkiem do oddalonego śmietnika, a gdy wracałem po podkarmieniu bezpańskich kotów - zaskoczyła mnie panująca wszędzie cisza. Czyżby awaria w studio telewizyjnym? Ale okazało się, iż prezenter po prostu zapowiedział przemówienie tzw. przywódcy i wszyscy woleli je bezgłośnie przeczekać.

W Grudniu moja Beata, wraz z całą klasą obłożona prewencyjnym aresztem w liceum, błagała - gdy ją odebrałem - żebyśmy poszli tam, gdzie głucho stękały petardy a w otwiane niebo walił dym z podpalonych gmachów.

- Powstania nie widziałam, ani partyzantki!

Od Oruni szli kolumną młodzi ludzie w szaroniebieskich centkowanych panterkach i jak siewcy, do rytmu i z szerokim zamachem ciekali świece dymne w zdeterminowany tłum. Były przesłaniały oczy - z tych gazów, z poczucia bezsilności. Chrzęściły gąsienice, silniki wyły na wysokich obrotach, gdzieś krótkimi seriami zagdakał pistolet maszynowy.

- Do swoich?

Tłumaczyłem na gorąco, że to ideologie dzielą całe narody, aż się wzajemnie chwycą za gardła i nie popuszczą, ale tym razem wygląda mi to na spór o charakterze ekonomicznym, tyle że zastrzony aż do krwi.

Wkrótce się wszystko miało nadszpedziewanie szybko uspokoić i uładzić jak morze po sztormie. Postawny pan z Katowic, taki europejski na nasz gust i z sławą dobrego gospodarza wprost nas tu w Gdańsku zaczarował rozmową "bezpośrednią", bez ściągawki, i owym retorycznym "Pomożecie?". Cóż, pomogliśmy. Tak niedawny żar walki, ogień i krew, nocne pogrzeby i rozpacz matek poszły jakby w zapomnienie, a ohwyty z zakresu socjotechniki przemieniły rozbudzoną aktywność w konstruktywne poparcie. Czy tacyśmy niepamiętliwi, my Słowianie, co lubią sielanki - czy też była w tym dość uzasadniona obawa, że ze sporów ten trzeci skorzysta?

W styczniu 1971 roku, gdy echa Grudnia jeszcze były żywe, redakcja stocznego tygodnika wysłała mnie do obsługi obozu wypoczynkowego w Szklarskiej Porębie. Młodzi stoczniowcy, wyczerpani przeżyciami i usatysfakcjonowani tym, co /jak im się wydawało/ właśnie wywalczyli, cieszyli się na pobyt w górach. We Wrocławiu, już pod wieczór, zmżywszy drogę zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Stałiśmy tam bezradni, trochę otumanieni piłowaniem przez całą Polskę z północy na południe, już senni, aż tu koło pcjazdu z herbem stoczni i gdańską rejestracją zaczęli zbierać się przechodnie.

- Brawo Gdynia, brawo Trójmiasto!

- Wyjdźcie i opowiedzcie, jak tam naprawdę było!

- Stoczniovcy niech żyją!

Ktoś nas zaczął częstować. Wyłaziliśmy wygrzebując się spod pleców, rozczochrani, ledwie ogarnięci. Coś się mortowało na kształt "wymiany doświadczeń", młodzi z młodymi wymieniali adresy, a ja pomyślałem - widząc bratanie się - że za następnym razem będzie z Gdańskiem Wrocław, a kto wie, może cała Polska.

Nie chcę być kombatantem nie stocznych bitew i uchodzić za człowieka, który przejrzał blichtr i pustkę lat siedemdziesiątych, wydając tym zjawiskom walkę. Być przeciwnie. Lata zduńcej prosperity były dla mnie bardzo pomyślne i jak mogłem, tak upiększałem rzeczywistość na tak zwanych łamach. Pensja rosła, wierszówka też, a w sklepach przeciw początkowo półki gięły się pod towarem. Kolejnc realizowałem marzenia o rzeczach. Przechodziłem z redakcji do redakcji, zawsze na lepsze warunki, aż wyładowałem w "Czasie".

Wierzę, że rohiliśmy naprawdę dobrą gazetę - z marginesem tolerancji dla osobistych poglądów autorów, gazet dla czytelnika w miarę młodego, rozumującego, otartego o świat i po wyższych studiach. W "Czasie" udało mi się zahaczyć o możliwości wyjazdów za granicę, a jak dostatek paszport służbowy z stemplem "na wszystkie kraje świata" - to próbowałem traktować to dostownie i krajów zaliczyć jak najwięcej: od Kanady po Madagaskar. Wówczas z łaźnością przebiegałem snobów, gdy mowa była o podrózach jednym zdaniem, niby od niechcenia:

- A w Gary, w północno-zachodniej Indianie, jakieś 35 mil od Chicago, byłem honorowym gościem miejscowego Klubu Lwów...

W maju 1980 roku powróciłem po półrocznym pobycie w kilku krajach Afryki Wschodniej naładowany jak akumulator spestrzeżeniami i refleksjami na tuzin reportaży, kilka matych form, a może nawet książkę. Tymczasem w redakcji mniej chciano o tym słyszeć, co w Narodowym Parku Tsawo między Mombasą a Kairobi, a więcej o tym, co dzieje się właściwie w Polsce. W każdym zespole dziennikarskim jest "wierzchuszka", ci co mają ucho w Komitecie i zapewniony dostęp do różnych utajnionych informacji, ale i szaraczkowie, taka dziennikarska piechota, co czerpie informacje z kolejek po mięso lub od taksówkarzy; ciekawe, że tego lata oba strumienie wiadomości i nasłuch zagranicznych ech zlewały się w jedno i były co do tego zgodne, że już strajkują, że nie odprawiają pociągów z żywnością na eksport, i że domagają się podwyżki płac wraz z przyhamowaniem wzrostu cen. Tym rzem epigeum nadchodzącego trzęsienia miał być nie Gdańsk, a Lublin.

Przyznam, że do tych zapowiedzi odnosiłem się początkowo z wielką rezerwą, by nie napisać tutaj, że z niechęcią. Mnie osobście działo się nieźle i choć żona wciąż narzekała na puatki w sklepach i rosnące koszty utrzymania - nie chołałem ani o tym słuchać, ani tego dostrzegać. Byłem na swój sposób oddany ekipie rządzącej i uważałem, iż nawet znając jej pomyłki i słabe strony /jak budowanie przywódcy pomniku już za życia, jak panoszenie się promentów, jak dokuczliwość i tępotę cenzury, jak wrzescie złe wyniki gospodarowania i polityki inwestycyjnej/ - jestem jej winien wierność. Przecież byłem przez władzę lokalną zyczliwie dostrzegany, zapraszany, ba - nawet po trzydziestu latach orderowej posuchy sam F. przyszpilił mi do piersi ważne odznaczenie. Stąd sprzyjanie robotniczemu protestom miało dla mnie początkowo posmaczek zmiany sztandaru i przejścia na obcą stronę, chciaż gdy nagle dziać się to zaczęło właśnie tu, za dobrze znaną mi stoczną bramą - nie oparłem się uczuciu ciekawości. Właśnie tak, aby nie upiększać: ciekawości, a nie scildarności.

Najruchliwsi spośród zespołu i innych gazet już byli w środku. Pozostali zlecano zbieranie okruchów informacji po obrzędach, by potem - jeśli władza przyzwoli - sporządzić z nich sensowną mozaikę wydarzeń. Miałem dwa źródła. Udało mi się, mimo wyłączenia stoczniowych telefonów, odnaleźć znajomego pod numerem, który pominięto - i on to informował mnie stale, co się tam dzieje, a czasem przykładał słuchawkę do głośnika radiowęzła. Drugim rozmówcą był pan L., stoczniowiec, w 1956 roku działacz rady robotniczej, który tym razem wolał być zdaleka i przypadkowo-przymusowy urlop spędzał na działce. Znałem go jako myślącego samodzielnie:

- Panie, ja naprawdę nie wiem, o co tu chodzi...

Zrelacjonowałem to w redakcji i cytat wszedł do naszej pierwszej chyba w Polsce drukowanej informacji, za co młodszy kolega uznał mnie za mamuta i wsteczniaka, nie pojmującego ducha czasu. Ciekawe, jak tenże kolega miał w przyszłości zmienić front, ale w końcu nie takie przemiany u współczesnych się dziś widzi.

Moim nawykiem stało się w Sierpniu przychodzenie po południu pod bramę całą w kwiatkach, w świętych obrazach i wizerunkach Pa-pieża. W tłumie widziało się różne postawy, różne stopnie nasile-nia emocji, odmienne zachowania i gesty. Czasem spojrzanie skrzy-żowałem z kimś znanym. I on tu jest? Gdy już redagowano 21 punk-tów i tylko pierwszy wydawał się orzechem nie do zgryzienia, pod-drewnianym, prowizorycznym krzyżem-pomnikiem spotkałem koleżankę. To ona mnie kiedyś, wstąpiącego, próbowała upolitycznić. A teraz pierwsza nazwała Pierwszego "Ojcem chrzestnym", mając na myśli szefa mafii Don Corleone, czyli kreację Marlona Brando.

- I to pani tak akurat o nim?

- Już czas najwyższy, żeby ustąpił.

Za liberalnych raczej rządów lat siedemdziesiątych nosiłem nałożoną mi obrózkę; wprawdzie była z miękkiej, dobrze wyprawio-nej skóry i podbita aksamitem, aby nie uwierać, ale przecież dusiła, gdy człowiek chciał a nie mógł swobodnie się wypowie-dzieć. Tu ściśle: nie tyle mi ją nałożono ule ja sam - bo żona, bo dzieci... - ją sobie przy pieaniu nakładałem. Teraz dla od-miany miałem swobody słowa więcej niż pieniędzy i korzystałem z tego zgodnie z przekonaniem, a mimo to z umiarem; swoje przeży-łem, więc wyciągałem wnioski z poprzednich rozczarowań.

Nasze piątkowe dyskusje redakcyjne przypominały, z zachowa-niem proporcji, to co działo się w górze, w wielkiej rozgrywce. Mieliliśmy różne poglądy, rozmaicie ocenialiśmy ludzi i zdarzenia, a także w odmienny sposób układaliśmy prognozy na bliższą i dal-szą przyszłość. Naczelny początkowo zrobił wielkie oczy, gdy na jednym z posierpniowych spotkań padła propozycja napisania repor-tażu o Wałęsie /" - Nie będziemy na naszych łamach kreować nowych idoli ..."/ - ale potem tyłe się tych reportaży posypało w pra-sie centralnej, że nie mogliśmy dać się uhieć. W zasadzie tylko jeden kolega był - z powołaniem na marksistowskie dogmaty - od początku do końca przeciwny i on to miał w przyszłości zasilić ty-godnik "Rzeczywistość"; reszta była wyraźnie "za" - choć nie bez racji z zastrzeżeniami, a ich ilość i charakter nas różniły.

Jeszcze raz - w czerwcu 1981 roku - zdarzyło mi się na ty-dzień wyjechać na Zachód, do RFN, a była to doskonała okazja do konfrontacji tego, co się u nas o reakcjach Zachodu sądziło z zgrzebniejszą rzeczywistością. Sprawa polska, jeśli w ogóle to była dla Zachodu sprawą - funkcjonowała w społecznej świadomości jako drugorzędna, nieco egzotyczna, a powody kryzysu upatrywano już to w naszym rzekomo niespokojnym narodowym charakterze - już to w niskiej wydajności i złej organizacji pracy. Były też słowa

życiowej zachęty, ale mnie one brzmiały mniej więcej tak, jak owo "Durez!", trwajcie, rzucone Polakom w czasie Powstania Styczniowego przez Napoleona III.

Na późnych jesiennych czasach w Ustroniu namacalnie odczuwałem, jak tym razem podzieliliśmy się na związkowców branżowych i tych niebranżowych. Pierwsi byli w mniejszości, ale trzymali się twardo i razem. Niewidzialne choć nie do przebycia granice podziału przebiegały przez wspólne stoliki w sali jadalnej, poczekalnie różnych gabinetów zabiegowych, wspólne wycieczki po Beskidzie Śląskim i najwyraźniej przez salę TV, gdy nadawano dziennik.

Trzynastego grudnia chciałem teściowej umożliwić wysłuchanie Mszy świętej przez radio, ale radio na falach UAF milczało. Głuche były też rozgłośnie polskie na średnich falach. Włączyłem długie fale...

Oczywiście, że wielokrotnie i ja, i moi znajomi, braliśmy pod uwagę możliwość ogłoszenia stanu wyjątkowego - ale wyobraziłiśmy sobie to zgoła inaczej. Rzeczywistość była zaskakująca w podwójnym znaczeniu terminu, także dlatego, że ostrość represji była niebywała i nikt podobnych kroków nie mógł się spodziewać. Ja osobiście, choć przeżyłem wojnę, najdotkliwiej odczułem wyłączenie telefonów i zakaz opuszczania miejsca zamieszkania bez przepustki, bo w końcu ani legitymowanie przechodniów na ulicach, ani godzina milicyjna nie były dla mnie nowe.

W determinacji i rozpaczę napisałem w styczniu 1982 roku list do Rakowskiego, bo wydawał mi się on - sądząc po jego publicystyce i redagowaniu "Polityki" - kimś, kto sprawy ocenia podobnie jak ja, myśli na tej samej częstotliwości i jest chyba w stanie mnie rozumieć. W kilka miesięcy później przyszło telegraficzne zaproszenie na spotkanie z autorami takich właśnie listów do Warszawy. Pojechałem i mocno tego żałuję; moje wystąpienie, ociosane i w ten sposób pozbawione sensu, posłużyło TV i Polskiemu Radio jako element do montażu odpowiedniej składanki, a cę do znakomitego rozmówcy, to też się - oględnie mówiąc - rozczarowałem.

Teraz o tym, jak po tylu latach przestałem być dziennikarzem.

Ostatnią sprawą, jaką zająłem się w tym jeszcze charakterze była interwencja na rzecz czytelniczki, która usiłowała z mężem nabyć od Państwa, wyremontować i uruchomić na własny rachunek polniemiecką małą elektrownię wodną w województwie pilskim. Jedenaście tego grudnia wybraliśmy się do Piły, obejrzawszy ten obiekt po drodze, redakcyjną "Wotę" - owa pani, fotoreporter, kierowca i ja. Zaskoczyło mnie, że wojewoda mówił ze mną jak z łaski i z wyraźnym nastawieniem "na nie" - jak gdyby mi w ogóle było obojętne, co o nim i sprawie napiszę. Po drodze w Chojnicach późną nocą czatujący u wjazdu do miasta radiowóz natychmiast ruszył, gdy dyżurujący zobaczyli gdańską rejestrację i wylegitymowano nie tylko kierowcę, ale i nas, kazano otworzyć bagażnik i pytano skąd wracamy. Po trzynastym dopiero skojarzyłem oba fakty dość niezwykle: wicewojewoda i funkcjonariusze chyba już wiedzieli!

Pierwszym odruchem po ogłoszeniu stanu wojennego było rozłożenie notatek z Piły i zabranie się do pisania. Podobnie ludzie, których spotkał nagły cios - śmierć kogoś bliskiego na przykład - zajmują się sprawami mało istotnymi, drzbiazgami - i jest to chyba obronna reakcja mózgu przed szokiem nie do zniesienia. Właśnie naszkicowałem wstępny plan i dosyć efektowne wejście w temat, gdy żona realistka powiedziała:

- Po co to piszesz? Kto ci to teraz wydrukuje?

- Właściwie to masz rację.

Początkowo nas, pracowników zlikwidowanego "Czasu" w ogóle nie wpuszczano do gmachu wydawnictwa, a wypłatę pensji zorganizowano dla nas w klubie. Potem rygory łagodniały, aż wreszcie zapowiedziano odsiewanie ziarna od plewy, czyli weryfikację. Był to dla mnie w pewnym stopniu dobrowolny wybór, gdyż pisywałem umiarkowanie, zajmowałem się problematyką ekonomiczną i konkretnych zarzutów przeciw mnie nie było.

Wybrałem.

Zanurzyłem się już w rzece czasu niemal po usta, toteż najwyższa pora, by wypowiedzieć do końca to, co się nagromadziło w życiowym doświadczeniu. Słowo "doświadczać" ma w polszczyźnie podwójny sens i w ostatnich latach wiele było z doświadczenia mnie i osób mi bliskich. Pocięszam się, że nie jestem przecież wyjątkiem. Mój epizod mima w teatrze życia już odegrałem zresztą, a teraz jestem na etapie /by trzymać się terminologii/ ostatecznego zmywania szminki; nie udało mi się wykrzyknąć tego co bym chciał i prawdopodobnie potrafił. W stadium wegetacji, w które wszedłem - a może w które mnie wepchnięto? - liczą się jeszcze drobne radości, ale sukcesów już nie ma. Myślę jednak, że gdyby dane mi było cofnąć do tyłu koło moich osobistych dziejów - postępowalbym w taki sam sposób. Niczego nie żałuję. Dla jednych jestem chyba konsekwentny, za to dla innych niepoprawny.

W tamten pogrudniowy czas zbieraliśmy się skrzykując jak podróżni wśród zamieci i konstatując, że nie wszyscy jesteśmy znowu razem. Ale ci, co się odnaleźli, stali się dla mnie droższymi od tych utraconych. Gdyby mnie przepytano z osobistego rachunku strat i zysków, powiedziałbym iż zyskałem. Do strat wypadła bowiem zaliczyć dobrze płatną i ciekawą pracę, rangę społeczną, jaką do Grudnia to zajęcie chyba poideałać, wreszcie cenione przeze mnie możliwości dalekich wojaży - za to po stronie zysków zapisałbym nowe, o wiele intensywniejsze więzi z ludźmi, którzy w tej spółnocie losów stali mi się nieoczekiwanie bliscy, dalej spotkania z ludźmi interesującymi, głębokimi i mającymi naprawdę coś do przekazania, spotkanie z Ojcem Świętym /oczywiście na dystans, jak milionów innych wiernych/ przeżyte nieszychanie intensywnie podczas pielgrzymki, a nie tylko emocjonalnie, mój pełny powrót do Kościoła i moje prywatne spotkanie z Bogiem.

Miasto nam przybladło i poszarzało w te lata próby, przypnęło na manierę zajęcia - widząc życie codzienne bez sensacji i wystrzałowych efektów. Ludzie niestety są nadal mocno podzieleni i na to się nie zanosi, by wyorane bruzdy zasklepiły się bez śladu. Może po latach, może wskutek działania ponad nami, z zewnątrz? Skoro każdy jednak żyje w własnym-ciasnym kręgu, to żyje bardziej w głąb; gapienie się godzinami w mały ekran zastępuje mu lektura książek, zamiast hałaśliwych festiwali ma możliwość wieczornych rozmów z rodakami, a jest przecież o czym i z kim mówić - przy czym są to nierzadko dyskusje toczone na kościelnym zapleczu, zatroskane o wspólny dom i poważne. Sądzę zresztą z umiarkowanym optymizmem, że nawet poważnionych łączy w jakiś niedostrzegany jeszcze sposób troska o Polskę i w tym, jeśli to uczucie szczere, widzę szansę na odzyskanie kiedyś wspólnego języka. Dziś go nie ma, a mówiąc ściślej - tak samo brzmącym wielkim słowom różną nadajemy treść.

Oby to stało się jak najprędzej.

Papież polski i słowiański ani w pierwszej, ani w drugiej podróży do Ojczyzny nie mógł odwiedzić Gdańska - ale za to Gdańsk mógł przyjechać do Niego i w 1983 roku uczynił to w skali maowej.

Dla mnie obie wizyty miały różny charakter, a może tylko z osobistych względów tak mi się wydaje. Tę pierwszą zyczliwie śledziłem w telewizji i w radio, siedząc w wygodnym fotelu i dziwiąc się tak nawiasem, jak mało entuzjazmu tłumów widać i słychać w transmisjach. Potem byłem w kinie na filmie "Pielgrzym" i odebrałem go - dwukrotnie - z niesłychanym poruszeniem. Ale ani w głowie mi nie było narażać się na pątnicze trudy, łok, posuchę i byle jakie po stodołach mocowanie. Za to drugą bytność Ojca Świętego w Polsce sam już przeżyłem jako pielgrzym i ani chwili nie wahałem się, czy ruszyć do Warszawy z Gdańska z uczniami, studentami, stocznicowcami itd. dość niekonwencjonalnie, bo na rowerze. Warunki czasem były tułaczce, trasa ciężka i nużąca dla starszego pana jak ja, to fakt - ale przeżyłcie tak w płaszczyźnie religijnej, jak i emocjonalnej, gdy znów się zdało, żeśmy silni i połączeni, było wprost bezcenne.

Gdzie tylko w drodze na warszawski stadion, na samym stadionie albo Moście Poniatowskiego w powrotnej wędrówce kręć za krokami do centrum ukazał się napis "Gdańsk" z przekorną pisownią - tam wybuchnęło spontaniczne "Warszawa pozdrawia Gdańsk!" z tysięcy piersi. Odczuwałem z satysfakcją, ile moje miasto dla Polski znaczy, a z tym znaczeniem wiąże się oczekiwanie i zobowiązanie. W Gdańsku zdarzyły się po trzykroć rzeczy ważne, wielkie i był on bez przesady na oczach kraju, może nawet świata. I tu pojawia się pytanie, na które tyłu już i tyle razy usiłowało udzielić odpowiedzi: dlaczego Gdańsk?

A więc z pewnością dlatego, iż wewnętrzna, w tym szkicu już wspomniana migracja wielkich mas ludności pchnęła do Gdańska - z wyjątkiem oczywiście tych, co wędrować lub uchodzić musieli - osobników najaktywniejszych, w wieku pozwalającym jeszcze na podjęcie ryzyka i zaczącia od nowa, a zatem było to coś w rodzaju selekcji p o z y t y w n e j . Młodsza generacja, już tu urodzona, z pewnością odziedziczyła coś z tej przedsiębiorczości ojców.

A więc dlatego, że trzeba było z miejsca uruchomić - i zrobić to - wielki przemysł okrętowy i wielkie morskie porty, a są to właśnie dziedziny wymagające bardzo licznych załóg o wysokim poziomie świadomej dyscypliny, bez której nie ma współdziałania w takiej skali oraz o przygotowaniu ogólnym i zawodowym często na poziomie szkoły średniej. Technika i technologia, dzieła ludzkiego umysłu, w tych dziedzinach po prostu nie mogły zbyt opóźnić się w stosunku do techniki i technologii światowej, co implikowało, by ludzie - właśnie g d a ń s z c z a n i e - posługujący się nimi reprezentowali odpowiednio wysoki poziom kultury technicznej. Ta zaś, co nie jest tu odkryciem Ameryki, jest pochodną ogólnej kultury, od niej nieodłączną; ten, kto przecież potrafi samodzielnie obsługiwać aparaturę do cięcia blach sterowaną telenumerycznie, kto wie, jak spawać w otulinie gazowej albo jak układać suwnicą bramową jeden kontener na drugim z precyzją do milimetra - ani nie poprzestanie na lekturze popołudniówki, ani nie uwierzy bezkrytycznie w wszystko to, co mu od 19.30 pda do wierzenia pan Bartnicki w DTV. W tym eencie, choć to brzmi niemal z marksistowska tu właśnie powstać musiało zagłębienie klasy robotniczej nowego typu - świadomej i myślącej w kategoriach Narodu.

Byliśmy przy tym zawsze oknem na świat i nigdy, nawet w latach rodzimego stalinizmu, nie udało się go szczelnie przykryć. Do naszych obu portów zawsze w sezonie zawijały statki wycieczkowe. W dobrych latach odprężenia, wakacyjną porą, co trzeci-czwarty samochód osobowy miał tu zagraniczną rejestrację. Zawsze mogliśmy w Gdańsku konfrontować poziom ekonomiczny u nas i u obcych, postawy, mody w myśleniu czy pisaniu i mody "sensu stricto", te zewnętrzne, osiągnięcia innych w plastyce, w muzyce, w żywej dramaturgii w porównaniu z naszymi - a wiadomo, iż z takich porównań musi rodzić się niedosyt i świadomość, że świat nas przegania i ochota, by uciec się w pościg. Nigdy też w oderwaniu od europejskich inspiracji nie rozwijały się tu nauka i gdańskie życie intelektualne, a z kontaktu z resztą Planety Ludzi, traktowanej jako całość, rodziły się poszukiwania, idee, nowe pomysły i pożyteczny niczym drożdże ferment.

Sądzę, że w małym już znanym ogółowi, zapomnianym Październiku '56 i roku swobody regulowanej, jaki po nim nastąpił, Gdańsk poszedł w wielu punktach dalej niż Stolica - ale śródki komunikacji społecznej były wówczas technicznie mniej doskonałe i gotowało się to tylko w gdańskim garnku. Lata 1970 i 1980 były pod tym względem owocniejsze...

Uznanie dla trudu matek

Przypadająca w br. 40 rocznicy powstania PRL oraz powołania organów MO i SB stały się okazją do uroczystego spotkania szefa WUSW w Gdańsku gen. bryg. Jerzego Andrzejewskiego z matkami, których co najmniej dwoje dzieci służy w resorcie spraw wewnętrznych. Gen. J. Andrzejewski w ciepłych, serdecznych słowach podziękował matkom za trud wychowania dzieci na prawych obywateli socjalistycznej Ojczyzny i wzorowych funkcjonariuszy MO i SB oraz z okazji minionego Święta Matki. Każda z matek obdarowana została kwiatami i otrzymała z rąk generała list gratula-

Andrzej Żarębski

xxx

wszystkich nas

sobie bliskich dotknęło to kulawe, co dawniej napawało lękiem, a teraz jest udziałem.

dzień sto dwudziesty szósty

lekarka: tak, skazani i żołnierze mają lepiej. Oni odejmują dni, wy dodajecie.

co widzę

trzy czwarte nieba, watę chmur /niewielu/, czubek latarni, drugą całą, dwa, trzy, osiem, tak, chyba osiem ptaków /już przeleciały/, ostrożnie z tą siekierką, Eugeniuszu /słyszę Pink Floyd/, pawilon drugi siedem metrów od, takie same okna, kraty, antenę telewizyjną, daleko po lewej Dom Klawiszowych Rodzin, dwa wysokie drzewa i trzecie przy wychyle do samych krat, trawę, kawałek urwany rynnny. To widzę. A gdy rozpatrzę pozytywnie, to jeszcze rodzinę dwa razy w miesiącu.

garderoba Matki Boskiej JasnoGórskiej

to złote i srebrne sukienki. Ubierają ją w nie na wielkie uroczystości. Ubierają ją w nie mówione ziemskie podkości.

Jot. do K.

jak z K. ogarnęła nas o swicie fala śmiechu. Jot. obudził się. kłknął na nas z góry i tak do niego: jak by cię mieli brać do domu, proszę, nie stawaj oporu. I serdecznie zasnął, a my śmialiśmy się dalej.

dzisiaj urodziny O.

według starych planów miała dzisiaj przyjechać. Ale to bardzo stare plany. Życzę jej więc na odległość - zmniejszenia tej /odległości.

siedzimy

w oknie, bo niedziela. Co jakiś czas oddziaływały tubalnym głosem na korytarzu: Kowalski, patrzonko! Ci spodziewający się w ruchach nerwów. Przez okno widać wchodzących: dziewczyny! dziewczyny! Siedzimy. W oknie. Ci dzisiaj nie spodziewający i też sobie robimy patrzonko, takie dalekie.

Chrystus na chlebie ukrzyżowany

z przekłutego szpilką boku popłynęła kropelka śliny skazanego na pięć lat, który w ten sposób zdobywa papierosy. Czy Chrystus też jest Zbawicielem? Skazany, jak ma dzień, to i trzy takie może jeden po drugim ulepić, ukrzyżować.

bokser

w telewizorze mówi: starałem się w ogóle nie myśleć. Bo jak myślę, to zawsze źle jakoś wychodzi. - A jaki ma pan cios najlepszy? - Bo ja wiem? Różne.

strategia korytarza

potęguje dźwięki, wali żelaznymi drzwiami w ściany, świeci
długą jarzeniówką, kończy się z obu stron skrzypiącymi, po-
na szaro kratami. Daje się spacerować, nie daje się oswoić.
Przeraza. Ogranicza. Nocą podstuchuje.

piosenka dla Grażyny

Czarny punkcik, mała pchła,
po mnie sobie skakała:
raz po nodze, raz po ręce,
tak to bywa już w piosence.

W życiu jednak jest inaczej -
tam skakała, tu nie skacze,
tylko szybko ucieka,
bo się boi człowieka.

Tak to bowiem jest na świecie:
złapie człowiek pchłę i zgniecie;
bo nie lubi człowiek pchły
i jest na nią bardzo zły.

Ta piosenka jest o pchle,
a nie o tym jak mi źle.
Czarny punkcik, mała - ty,
błyszczysz w oku zamiast ży.

historia o Polakach

wędrujące odłamki.

Demarczyk i ja

siedziałem, śpiewała.
Taki pejzaż.

rozmyślania o więzieniu

próba zamknięcia nieskończonego w skończonym.

mama podczas widzenia

wiesz, tak się wahałam: przywieźć ci czapkę, czy nie przywieźć.
I nie przywoziłam. Przecież nie możesz tu siedzieć jaszczke
i jeszcze: przez drugą zimę.

ocalały z zagłady

pantofelek wrzusa rzeskami i przystępuje od nowa
do ewolucji. Pomny jednak wszystkich nieszczęść historii, obie-
sobie scelennie, że nie pczwoli, by choć jedna mała /cuje
zlaża z drzewa.

dzień dwieście dwudziesty pierwszy -

jak różnie można o tym opowiadać: ponad pół roku, ponad
siedem miesięcy, trzydzieści jeden tygodni, prawie osiem
miesięcy, dwieście dwadzieścia jeden dni, pięć tysięcy trzysta

cztery godziny, trzysta osiemnaście tysięcy dwieście czterdzieści minut. I to jest raz dużo, a raz mało - zależy jak się siedzi i patrzy.

ja do R.

wymyśliłem słowo na świat: orbikacja.

usłyszane

/na kocu obok/: ja z żoną, proszę pana, byliśmy długo państwem niezaangażowane.

jeszcze o ścisłniczych przestrzeniach

rozmawiamy, Ro. sobie przypomina: drzwi od celi /zaraz na początku, w pierwszej zimie/ się otwierają, wchodzi starszy, /noblivv,

siwy pan. Dzień dobry, mówi. Uczony, speszony. A z klopa głosu dyżurnego: dobra, tylko od razu się umawiamy, ze nie lejemy do umywalki, w porządku?

druga w nocy

a niebo zaczyna jaśnieć. Czy to możliwe, żeby już switało? ktoś: e tam, po prostu jeszcze dobrze nie zaszło.

dzień trzysta trzydziestu ósmu

to jutro. O którym już dziś można powiedzieć prawie wszystko i z tego się bierze prawie całe nieszczęście.

oddałem wreszcie zegarek

do domu. Naprawcie, mówię. Niech się czas znów zacznie liczyć.

ja też kiedyś -

mówi M. - miałem taki sen, że spadałem z wieżowca. Paskudne /uczucie.

A ja tam nigdy nie spadam - odzywa się Ro. - jak tylko coś, to rozkładam ręce i fruвам. Ile ja się już w życiu narzuwałem! Jak tylko mnie jacyś gonią /a często mnie gonią - Krzyżacy, Indianie, bandyci, milicja/, to ja w ostatniej chwili fr /do góry i już

jestem bezpieczny.

gdymby mnie ktoś jutro odwiedził

oddam siatkę a w niej: dwie paczki kakao, pojemnik na jajka i krzyżyk z chleba z Panem Jezusem z chleba. Taki krzyżyk robi się tak: żuje się długo chleb, potem lepi co tam ma być, potem maluje, potem to schnie, a wtedy trzeba pociągnąć bezbarwnym lakierem.

koniec spaceru! -

krzyczy klawisz. Orły do pudła! - pomaga mu jeden z naszych.

Strzebielinek, grudzień 81 - grudzień 82

Adam Dorycki

Niewypał

1. 29. 10. 1980 r. /drugi dzień pobytu w wojsku/

Więc to już - tak nieodwołalnie wszedłem w nowy okres, zatrzasnęła się za mną koszarowa brama. Co mnie czeka? Przed oczami mgła i to przedziwne wrażenie z pociągu, którym dojeżdżałem do koszar, że jestem coraz bardziej obcy tym ludziom, co siedzieli naprzeciwko, że coraz dalszy, coraz bardziej odległy staje się pejzaż - piękny, als i obcy.

Jaki z tych pierwszych chwil moment najważniejszy?

Na pewno kąpiel. Prowadzą przybysza mimo woli do mundurowni, tam ściąga się wszystko - te rzeczy w specjalnych workach zostaną przesłane do domów; dają ręcznik i mydło, i pierwszym etapem jest kąpiel. Woda cieknie po ciele a z tą wodą spływa reszta tego co swoje. Potem już wszystko leci mechanicznie buty, mundur, dokumenty, "do organizacji należycie - nie - no to dziekuję" i ten pioruński fryzjer, któremu płacą od ilości ostrzyżonych głów, więc się nie rozczula i jedzie po najkrótszej linii oporu, czyli przy samej skorze. No, prawie. Na kompanii czeka szef, z wąsami i w stopniu sierżanta.

2. /chyba osiemnasty dzień pobytu w wojsku/

Nie ma czasu na zapisywanie. Biegania przez cały dzień. Udało mi się wyrwać na chwilę z zajęciowego kieratu. Sposób dość prosty: zapisałem się do lekarza, jemu nagadałem o rozstroju żołądkowym, zaś potem nie było, gdzie wracać, gdyż pluton wyszedł na zajęcia w terenie. Swoją drogą dziwny ten lekarz, w ogóle się mną nie interesował, ani patrzył, ani słuchał. Jego pomocnik dał jakieś tabletki - podobno wszyscy niezależnie od choroby otrzymywali podobne, gdyż ich duży zapas niedługo miał zostać przezterminowany.

Trochę niesporo idzie mi to pisanie, chyba głównie skutkiem przerwy jak i dlatego, że piszę po faktach. Zaczyna być raźniej w plutonie - wszyscy się cieszą, że zarejestrowano "Solidarność". Coraz więcej mówimy - tamci wywijają się, jak mogą. Sprawy koszarowe i polityka. W chwili wystukiwania kolejnej godziny nauki krowku defiladowego kolega odzywa się do porucznika z sugestią: "może przerwa". On: "jak się zwracacie do przełożonego".

- Obywatelu poruczniku, szeregowy Kaleta z zapytaniem - próbuje zająć regulaminowo.

- Nie udzieliłem wam głosu - porucznik.

Kaleta podnosi rękę. Teraz może, więc mówi: "obywatelu poruczniku czy można by zarządzić przerwę - cisza, więc po chwili kontynuuje - przecież mamy jakieś prawa".

- Wy mi tu z prawami nie wyjeżdżajcie - błyskawicznie zareagował na to słowo porucznik - my tu mamy regulamin, i wy się Kaleta będziecie musieli go dobrze nauczyć. - Na przerwę jednak się zgadza. I już nasze gadanie, coraz dalsze, coraz głębsze. On próbuje się włączyć, potem nagle: "Powstań, baźność, w dwuszeregową zbiórkę".

Chodzimy więc jak te barany po asfaltowym placu - nie tylko my, kilka w sumie plutonów z różnych kompanii podobnie wali buciorami w asfalt. Porucznik co chwila krzywozy, poprawia, pokazuje. Gdy demonstruje prawidłowe wykonanie zwrotu przez lewe ramię w kroku marszowym, nagle przerywa:

- Czego się śmiejecie?

Cisza z naszej strony.

- Dlaczego czterech obok nie staje na baczność?

Rozglądamy się po sobie.

- To wy, wy - wskazuje palcem na jednego, - czy wy nie wiecie, że podciąganie kącików ust do góry znaczy, że się śmiejecie?

3. /dwudziesty czwarty dzień pobytu w wojsku/

Pierwszy alarm. Stoimy. Przed nami kilku znużonych oficerów. Tasują się, widać, nie mają sobie wiele do powiedzenia - a może coś przed sobą ukrywają? Mija kolejna godzina naszego stania. Na głowach chętny, do pasów, paseczków poprzyipinane, popychane rozliczne detale jak łopatka, maska, magazynki, chlebak, plecak, manierka, no i broń na ramieniu. Wreszcie odwołanie alarmu. Wracamy przemarznięci do budynku.

- Kurwa, jak barany na łące - wzdycha Piotr.

- Obywatelu poruczniku - pyta Marek dowódcę plutonu - komu było potrzebne to nasze stanie?

- Nie komu, tylko - ot, żeby w was wyrobić samoświadomość - odpowiada zadowolony ze swego konceptu. Można i tak.

4. /trzydziesty dzień pobytu w wojsku/

Rano Piotr Kaleta został wezwany przez dowódcę plutonu, od niego do dowódcy kompanii, reszta plutonu wychodzi na zajęcia. Okazało się, że został zaatakowany za "krytykowanie postaw kadry, i za dyskutowanie poszczególnych zdań tekstu przysięgi". Grozili mu rozmową z politycznym pułku, wystaniem do jednostki karnej. W końcu nie zrobili nic, dlaczego tak? Piotr wyjaśnia po swojemu: "kurwa, pic na wodę. Mówię wam, sami się boją, żeby ich ci z góry nie opierdoliłi za to, że z takimi głupstwami do nich lecą". Swoją drogą paskudns to metoda. Dają sygnał, żeby dsna osobę wytrącić z równowagi, żeby zasiać niepokój dla samero niepokoju, chcą sprokować, aby wymusić stan zdenerwowania, aby żyć w lęku i ciągłej samokontroli, pod presją strachu. Ciekawe, kto będzie następnym? Kaletę trudno im będzie złamać, czy wytrącić z równowagi.

5. /trzydziesty siódmy dzień pobytu w wojsku - za trzy dni przysięga, za dwa dni próba generalna/

Za trzy dni będziemy mogli przekraczać bramy koszar - dla niektórych dzień pierwszej przepustki. To głównie trzyma, bo tak, to jest głównie znój i zaciętość. Patrze po szeregach w chwilach apeli i ona ujawnia się w oczach. Zmęczenie i kryzysy psychiczne - chore żołądki, poobcierane stopy, przeziębienia. Powtarzanie dziesiątki razy ustawiania palców, wzrostu, przemarszu z myślą o paru minutach przysięgi napełnia pustką. Kiczym więcej. Jeszcze nie zmienili od początku drelichów, mój kołnierzyk jest czarny, przemoczony deszczem, czórganie się po mokrym śniegu; noo; też odpooczywają, czyli parują, stąd taki zaduch w salach. To w tej chwili sprawa najważniejsza. Lecą bezsilne przekleństwa i ta wystukiwana butami ostepiałość. Wielu ma gorączkę, lub trwa w stanie podgorączkowym. Wielu kaszle i ma katar - lekarz dalej wydaje te same pigułki, tak zwane "przeciwciężowe". Obroną są też słowa. Czasami już jedynie one. "Kurwy" i "chuje" zastępują całą leksykę. Słowa i właściwa intonacja. Są prawdziwi artyści. Czasami taka więzanieczka rzeczywiście pomaga. Nas - nowych, czyli według slangu wojskowego "młodych, albo kotów" rozgranienie między ładnym językiem - tym cywilnym, a używanym tu, w koszarach przestaje drażnić. Ucho przywyka. Żeby tylko ucho.

Zajęcia za kapitanem - zajęcia polityczne. Jeszcze przed paroma dniami mówił: "wiecie, że mną można porozmawiać na każdy temat". Dzisiaj przyszedł wyraźnie podekscytowany i rozpoczyna zajęcia w te słowa: "wiecie, że mną można porozmawiać na każdy temat, jednak w najbliższym czasie spodziewam się wizytacji ze stolicy. No, wiecie..., trzymajcie się wtedy ściśle wyznaczonego tematu. No, wiecie..., - rumieni się przy tym i próbuje się uśmiechać.

Następna bomba wybuchła wśród ludzi z plutonu, kiedy wrócił z zebrania partyjnego jedyn z plutonu. Podczas zebrania zastępca batalionu od spraw politycznych wziął go na stronę i polecił mu przekonać kolegów o słuszności roty przysięgi, gdyż ponoć w plutonie niektórzy mają jakieś wątpliwości.

Mamy panie kapitanie, mamy. I niech pan kapitan z łaski swojej nie zamyka nam ust na kłódkę. Niech też pan kapitan nie obawia się efektów pracy ideologicznej swojej skipy na froncie ideologicznym. Chyba każdy podpisze, a to powinno pana najbardziej interesować. Ważny dla pana, panie kapitanie powinien być finał w systemie, który jedyny wybór ustanawia między życiem na powierzchni, a skazaniem siebie na życie w zakratowanej piwnicy. Na tę myśl panie kapitanie twarz mi się ściąga w kształt ryja. Podpisz i ja panie majorze, bo wierzę w naród - mój i obywatela naszego - wierzę, że wymusi on jedyne - konieczne rozwiązania. Na obywatelu pułkowniku też i mniej będą się liczyły deklaracje wobec racji eerc i zbiorowej rozumności. Czy obywatel generał mnie zrozumiał? Cholera, w cywilu ludzie zaczynają wreszcie żyć jak normalni ludzie, a tu ozujesz się jak niewolnik na pańskim polu.

List do przyjaciela - dzień przysięgi.

Drogi Marku P.

Muszę rozpocząć dzisiejsze pisanie do Ciebie od kilku wyjaśnień. Jednak nie wywiązałem się z umowy i nie wystąpiłem po przyjeździe tutaj choćby adresu. Chociaż nieraz nachodziła mnie ochota, nie uoczyłem tego. Chciałem przeżyć ten pisrwszy okres mojej służby w oderwaniu od sygnałów, spraw, które opuściłem na dwa lata.

Dzisiaj wiem, że próba to tak ciężka, jak i trochę bezsensowna. Żebyś widział oczy, ruchy moich kolegów w chwili nadchodzenia poczty, to oczekiwanie, gdy szef kompanii po apelu południowym wyczytuje kolejnych szczęśliwców. To rytuał, a jego dalszy ciąg rozgrywa się już po otrzymaniu, kiedy to uradowano obdarowani szukają intymnego miejsca, aby rozpocząć lekturę. W ich oczach pojawia się duma i jakby wywyższenie. Często zdarza się, że nie od razu otwierają koperty. Już mają, to najważniejsze, te-raz mogą snuć przypuszczenia, jaką możliwą treść zawierają zapisane kartki. Wiesz, najczęściej tym intymnym miejscem staje się kabina w ubikacji, gdyż wszędzie indziej albo pełno ludzi, albo od razu gonią do prac porządkowych.

Należy pisać do nas by... utrzymywać nas na powierzchni, by normalny sposób reagowania nie został całkowicie wyparty przez reguły panujące tutaj.

Piszę Marku w chwili szczególnej. Dzisiaj mieliśmy przysięgę przed chwilą wrócić z przepustki. Chciałem ten list zapisać poza koszarami, jednak nie wziąłem niczego do pisania. Piszę siedząc w koszarach - dostałem klucz od sali czyszczenia broni, więc mam trochę spokoju. Koledzy z plutonu leżą najczęściej zalani w salach, główna ich część spotkała się z rodzicami na terenie koszar. Pijana jest też rezerwa, która doczepia się do nas. lub pobiera haracz drogą przeglądania wnoszonych przez "młodych" siatek i toreb. Rodzice już poszli, umówiłem się z Piotrem Kaletą,

że wypijemy pół litra dobrego samogonu wtedy, gdy będzie już po capstrzyku. Butelkę wniósł w nogawce spodni, teraz leży w schowku pod podłogą - wyciąga się klepki z parkietu.

Teraz sprawa trzecia - dlaczego nie zaprosiłem Ciebie na przysięgę?

Bo nie chciałem, nie chciałem, aby był ktokolwiek. Śmiałem się w duchu z zabiegania innych w celu wysłania zaproszeń, wyjaśniania trudności dojazdowych. Wydawało mi się, że sprawa nie jest warta zachodu, czyli inaczej, że w tym teatrze będzie grana słaba sztuka. Poczuć to utwierdziło się przez uczestnictwo w koszmaru przygotowań. Chciałem być sam też dlatego, aby sprawdzić po sobie, jakie będą reakcje w chwili wyjścia z koszar - przecież to po raz pierwszy od ponad czterdziestu dni. Przed sobą mam śmieszny pocztówkę /zaproszeniową/ z widokiem ismiechniętego żołnierzyka na tle czołgu, zaadresowaną do Ciebie. I... żałuję bardzo, że nie wysłałem, żałuję, że nie jesteś tutaj, że nie możemy wspólnie pochodzić, pogadać, spełnić jakąś butelkę serdeczną. Bo powyższe założenia okazały się błędne. Prawda jest, że zdarzają się tu sytuacje obłądne, prawda jest, że trzeba z siebie krzesać ostatnie pokłady energii, co przy marnym jeczeniu /wiesz jaki mam ostatnio apetyt na stódcze, kucharze dają swidocukier, więc nic nie jest właściwie dosłodzone/ dochodzi do granic wytrzymałości, prawda jest, że rodzą się stany frustracji, negacji, bezmyślnej apatii, tak, to prawda. Z tym przesuwadzeniem szedłem w kolumnie na plac defiladowo-apelowy. Tam już trumek ludzie, oficerowie poobwieszani medalami. Znowu te moje /znasz je dobrze/ odruchy prześmiewcze.

Pierwsze komendy, idzie poczet sztandarowy, płynię w górę flaga narodowa, grają hymn, mówimy rotę przysięgi.

Nie potrafię oddać tego skurczu, tego wzruszenia.

Niezależnie od banalnych gadek, jakimi raczono nas z trybuny już po momencie zaprzysiężenia.

Prawdy tego momentu nie mogę pominąć w relacji z mojego obecnego świata. Ten moment jakby nagradzał za wysiłek włożony w trakcie poznawania elementarnych zasad szkolenia wojskowego, za to naginanie i naukę pokory wobec feudalnych stosunków, jakie często panują jeszcze w wojsku. Nie myślę tu o całej sferze nadbudowy ideologicznej. To inna sprawa, szkoda, że u nas wpychana na siłę w całość.

Wiesz Marku, po zejściu z placu, przy zdawaniu broni rozla-
wiałem z kolegami na ten temat, i mówili podobnie o wrażeniach z tej chwili. "Kurwa, tak mnie skurczyło, że nie mogłem szcęk rozewrzeć. Najbardziej podobał mi się Piotr Kąleta, który ma taki indywidualny sposób rozumowania, który powiedział "wiesz, jak grał Rązurka Dąbrowskiego, to tak sobie pomyślałem, że nichby tylko ktoś wlaźł do nas, to rozgonimy jak zające. Spierdalać będą, aż im się będą kity trzęsły. Powaga. Popatrz, niby dwustu chłopca, a ty wiesz, jaka to jest siła? Duch w narodzie to jest to. Jak go nie ma - klapa, jak jest, nawet kije do walki wystarczy. Wszystko na ten temat". Przytaczam ci w miarę wiernie to, co jeszcze dźwięczy mi w uszach, żeby nie być gołosłownym. O nadbudowie ideologicznej pisać dzisiaj nie chcę - może innym razem. Aoha, żeby skończyć jakoś ten przysięgowy wątek. Schodzą z placu zdarzył się przyjemny i dużo mówiący moment. Otóż podbiegły dziewczyna /bardzo ładna/ do kolegi z pierwszego szeregu i wsunęła mu kwiatek w łufę karabinu.

Ale o co chodzi?

O dwie sprawy. Prawdą jest, że często w naszych rozmowach pojawia się wątek dotyczący ewentualności użycia wojska w rozgrywkach wewnętrznych. Tak być może. Wiem, że wiesz o tym, ale zupełnie inaczej wygląda to z perspektywy koszar, w tym zbiorowisku ludzi z różnych stron Polski, prezentujących najrozmaitsze

poglądy. Podległość rozkazowi nie może równać się skazaniu. Wojsko jest prezentantem całego narodu i rozkazów całego narodu musi być wykonawcą - nie zaś częścią, nie zaś garstką walczącej o utrzymanie lub zdobycie wpływów - władzy. Stąd wnioski nasuwa się jeden - wojsko musi być apolityczne w tym sensie, że nie miesza się do rozgrywek wewnętrznych. Ani jako straszak, ani tym bardziej czynnie. Co innego jednak nasze przekonania, co innego zaś stan faktyczny, stąd to poczucie skazania, fatalizmu wojska, stąd nasze lęki w obliczu niespokojnych wydarzeń w kraju, stąd też waga owego kwiatka w lufie - urody tego dziewczęcia również.

A druga sprawa. Zrozumiałem dzisiaj, że ów teatr jest nieodzowną stroną wojska. Tak chyba być musi. Popatrz Marku, my jesteśmy utrzymywani przez Was. Duża część Waszej pracy nie płynie do Waszej kieszeni - my ją zjadamy. Więc co? Zlikwidować tego darmozjada? Mimo mojej pacyfistycznej natury widzę, że obecnie nie można. I ts przysięgi, parady, sztandary, różne fety są czynione mniej dla lepszego samopoczucia wojska, zaś^w głównie mierze dla Was. Taka forma podziękii i pokazania, że coś tu robimy i umiemy.

Wiesz, kiedy to zrozumiałem? Kiedy przechodziliśmy koło szpaleru ludzi i biliśmy bucioremami o ośnieżony asfalt, a całe to towarzystwo cywilne biło nam brawo. Klaskając przyznawali nam rację bytu no i dawali nam kredyt zaufania. I stanąć nagle naprzeciw nich, skoro jesteśmy na ich faktycznym utrzymaniu? Tej całości.

Znowu wracam do tego samego, tsn robił mnie drażny, ta nie-
pewność.

A moje wyjście za bramę?

Przechodzę między tłumkiem rozradowanych ludzi, to witają się koledzy z rodzinami. Poczuję się nieswojo i szybko poszedłem ku bramie. "Wolny" ohodnik, ziemia cywilna - dokąd iść, gdzie skierować swoje kroki? Dylematy. Idę za tłumem. Też zaczynam się czuć nieswojo - ja i ten tłum to nie to samo. Wreszcie widzę drogę biegnącą w bok. Skręcam. Już mniej ludzi, jeszcze mnie, kieruję się na widniejący w oddali pas drzew. Jestem sam. Oddycham ciężko, wchodzi głębiej, jeszcze raz rozglądam się na boki. Siadam. Nade mną niebo. Niebieskie...

Marku, niebieskie jest niebo, a nie oglądałem go od chwili przybycia tutaj, bo głowy nie podnosiłem, czujnie patrząc, aby kroku w marszu nie zgubić. Jak długo siedziałem - nie wiem. Taki stan neutralny, inaczej go nazwać nie potrafiałem, bo to ani sen, ani myślenie. Chyba podobnie czujs się zając, ponoć śpiący z otwartymi oczami. Oczy nie widzą, uszy nie słyszą, czasu nie ma jak i poczucia ciężaru. Wreszcie ocknąłem się - okropnie przemartłem. Poszedłem do restauracji, zjadłem obiad, piwem popilem i po raz drugi wyszedłem na spacer - teraz już dłuższy. Mijali mnie ludzie - chociaż mi się porozmawiać, lecz nie wiedziałem, jak się odezwać.

To pisanie do Ciebie Marek, jest taką zastępczą rozmową. Zresztą jaka to rozmowa, kiedy sam monologuję. To wpływ wojska, gdzie dialogu nie uswiadczysz. "Powstań, bacność, w dwuszeregu zbiórka, w czwórki w prawo zwrot, kierunek na wprost - marsz". Ten marsz, stukot i głów pochylsnie miarowe, to moje pisanie, próbujące oddać atmosferę tego miejsca też skazane na cząstko-
wość, na prawdę niepełną. Dzisiejszy list jest tego próbka.

Bądź zdrow i do zobaczenia.

7. /42 dzień pobytu w wojsku - pierwszy po przysiędze/

Jesteśmy już pełnoprawnymi żołnierzami. Dzień to ciężki, gdzie mogłem, spałem w najprzeróżniejszych miejscach i pozycjach ze stojącą włącznie. Teraz jest późny wieczór, zaczynam dochodzić do siebie. Sam popiłem wieczorem po capstrzyku, główna część kompanii osiągała swój pijacki błogostan w sali odwiedzin. Ot, efekty chaustów rozluźnienia, jakimi się zatykalismy. Podobnie poraża oczy słońce po wyjściu z ciemności, podobnie zatyka świeże powietrze po wyjściu z zaduchu.

Kano ktoś mnie szarpie. Trudno mi otworzyć oczy, spuszcza machinalnie nogi na podłogę, spozieram przez wąskie szparki. Mundur - niedobrze, zwolna dochodzi do mnie, lecz dlaczego nie mogę się ruszyć?

- Dlaczego wy nie na gimnastyce? - rozpoznaję wśród szumów wewnętrznych głos kompanii.

- Obywatelu sierżancie, nie mogę, wstać nie mogę - bełkoce sztywnym językiem i wreszcie mówię z determinacją - za bardzo popiłem - siedzę dalej.

- Ja też - pochyla się nade mną - ale widzisz, jednak wstałem i na służbie jestem - odpowiada ku mojemu zaskoczeniu.

- Długo ostatnio nie trenowałem to i głowa słabsza - ja porozumiewawczo. Uśmiecha się i odchodzi, gimnastykę poranną prześpałem w pozycji siedzącej.

8. /43 dni w wojsku/

Zajęcia z politycznym batalionu. Temat: "bieżąca informacja polityczna". Dopiero na parę minut przed końcem dopuścił nas do głosu. Zaraz zaczyna dalej: "należy być szczerym i otwartym, że wojsko to nie zabawa". Wreszcie Robert Stok przerywa: "ale ja wciąż nie wiem o co obywatelowi kapitanowi chodzi". Bo rzeczywiście kluczył strasznie. Zmieszał się kapitan i dalej kilka wątków jednocześnie, że tutaj jest zbiorowisko różnych ludzi i że im różne prywatne rozmowy nie są potrzebne, że są przetożeni, którzy są zawodowo uprawnieni do składania wyjaśnień, których nikt inny udzielić nie może, bo nie jest w stanie naświetlić złożoności problemów. Potem wywód o tym, że trudny jest pierwszy aklimatyzacyjny okres, że on radzi /bo ma doświadczenie/ aby mniej myśleć, zaś bardziej skupiać się na wykonywanych czynnościach żeby sobie głowy nie zawracać niepotrzebnymi myślami. Ledwo skończył, już posypały się następne pytania. Kapitan krótko komentuje i wreszcie kończy z przekąsem: "możecie pójść do zastępcy pułku do spraw politycznych, jak macie specjalne problemy czy skargi, przyjedzie także generał na wizytację."

- O, to chyba duża przyjemność porozmawiać z generałem - odpowiada Robert.

- Generał nie ma czasu dla takich jak wy, może wam powiedzieć tylko kilka zdań - kapitan, i - ja skończyłem, proszę przejść do następnych zajęć.

9. /48 dni w wojsku/

Ma przyjechać inspekcja, czyli osławiona wizytacja ze stolicy. Wszyscy już o tym trąbią od kilku dni, że przyjadą - to pewnie, nie wiadomo tylko - kiedy dokładnie. W koszarach panika. Wszyscy biegną, krzyczą na siebie, każą sprzątać, zmiatać ze śniegu plac apelowy, co trzeba czynić co godzinę, gdyż śnieg wciąż przuszy. I te oczy osób z kadry, obserwujące bramę wjazdową. Został też wyznaczony młody ambitny porucznik, który miał poprowadzić pokazowe zajęcia akurat z naszym plutonem. Już wczoraj udzielił nam wstępnego instruktażu do tematu, przedstawił

poszczególne elementy i fazy zajęcia. Gwinczymy je, on w końcu mówi: "jak wiecie, na początku zajęć muszę zadać pytania kontrolne, otóż treść ich jest następująca. /.../ Kto z was chce jutro odpowiadać?" Ochotnicy są, mają jeszcze dodatkowy instruktaż, ich nazwiska porucznik nanosi ołówkiem do swojego dziennika. "Tylko bez śmiechów jutro, to dla mnie ważna sprawa" - kończy.

Ps. Tym razem alarm był uzasadniony, komisja rzeczywiście przyjechała. Pluton stoi spięty, przy pytaniach kontrolnych miny mamy poważne, gdy porucznik wodzi palcem po dzienniku i... bezbłędnie trafia wyznaczonych wcześniej, którzy oczywiście świetnie odpowiadają. Scenariusz i reżyseria, no i my - aktorzy, wypadamy na piątkę. Ci z komisji jacyś niesubordynowani - wiercą się, spozierają na boki. Pewnie znają reguły gry. Tu w ogóle wszelkie wizytacje, kontrole zna się wcześniej, poufne informacje płyną z zadziwiająco szybkością, łamiąc różne tabu, chociaż być może jest z tym obu stronami wygodniej?

I komentarz Pictra Kalety po wizytacji: "to mi przypomina sytuację ze szkoły średniej, kiedy to historyk zawarł z nami taką umowę, aby było widać aktywność całej klasy podczas różnych kontroli. Przy jego pytaniach ręce mieli podnosić wszyscy uczniowie /tzw. las rak/, tylko że ci, którzy znali prawidłową odpowiedź podnosili prawą, zaś ci co nie wiedzieli, podnosili lewą. On oczywiście pytał tylko "praworęcznych".

10. /51 dni pobytu w wojsku/

Wrażenia z pierwszej warty, które spisuję w dzień po jej odbyciu. Chciałem sprządzić je na wartowni, lecz za dużo było tam skupionych na małej przestrzeni ludzi, za głośny był jazgot radiowej muzyki, wreszcie za duże nastąpiło zmęczenie po kilku pierwszych w miarę swobodnych godzinach. Pod koniec warty umilkły głosy, ludzie drzemali przewieszeni przez krzesła, siedząc w kącie sali czuwającej. Niemordowane było tylko radio - w nim zaś musiała być tylko muzyka, wszelkie dzienniki, felietony - wszelkie słowo mówione było natychmiastowem bodźcem do przekręcenia skali w kierunku innych stacji. Przed wartą dużo przygotowań, wkuwania regulaminów i... ciekawość. Jak wiele innych miejsc, tak i warta ma swoje mity, które najczęściej rozpowiadają starzy żołnierze - tzw. rezerwa lub Dziadki. Gdzieś na jednej warcie Cyganie wyróżnili oaty posterunek. Na pewno? Na pewno! Gdzieś żołnierze zszedł z posterunku i w łaźni dokonał rzezi na kąpiących się rezerwistach, którzy się nad nim znęcali. Krew z wodą wypłynęła aż na korytarz kompanii, on zaś ostatnią kulę przeznaczył dla siebie. Na pewno? Na pewno! Pierwsza warta - nowość, żarty w pierwszych chwilach, oglądanie pomieszczeń. Stoi się cztery razy po dwie godziny na posterunku o wyznaczonej trasie chodzenia. Pierwsze dwie zmiany upływają stosunkowo szybko, lecz coś czynić podczas dwóch następnych, kiedy zmęczenie jest coraz większe. Kudzi się, a zejść z posterunku nie można, wszystko cięży, stać spokojnie nie daje. Pozostają chodzenia, przystawania, skupianie się na detalach, błogosławiona krowia gapowatość. Liczę kroki trasy obchodu - 573, patrzę na zegarek, minęło 8 minut, liczę raz jeszcze - 569 w ciągu 9 minut, liczę raz jeszcze - 561 w ciągu 8 minut. Wyniki nogą zapisuję na śniegu. Potem liczę słupki w płocie, pionową ilość oczek w siatce, wreszcie idzie następna zmiana. Podczas następnej zmiany postanawiam zmienić metodę zadając sobie tematy do rozmyślań.

Czas, którego się nie przeskoczy, nie oszuka. Dany zostaje chcąc nie chcąc - czas na skupienie się, na refleksję przy różnej pogodzie, nam akurat pod gwiazdzistym niebem. Ślicznym, tylko gdzie to prawo moralne. A dom gdzie, a bliscy? Ka warcie zostaje się po raz chyba jedyny w wojsku sam na dłużej z zatadowana bronią. Nawet kusi, by użyć, by stracić gymz dalekiego dachu, by przycelować do sroki, gibającej się na gałęzi. A w siebie. Też takie są. Jak bardzo małym zdaje się być życie, jak bardzo moim i jak mocno balansującym na krawędzi. Tylko co za tą krawędzią. Płyną myśli, płyną i tam, gdzie chyba nas nie ma. A może jednak, blisoy zmarli, dalecy...

- Wartownik! - ktoś krzyczy, wyrwam się z oknie. Idzie już nowa zmiana.-

11 /66 dzień pobytu w wojsku/

Minęły Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok - zaczął się 1981. Te dni upłynęły bez echa, cały czas jako najmłodszy staję na kompanii obejmowaliśmy służby, goniliśmy na warty, nawet nie było specjalnie czasu, aby o tych dniach myśleć. Dobrze, że przysłano mi opłatek i coś z jedzenia świątecznego z domu, część trzeba było oddać rezerwie, ale i tak sytuacja utrzymywała się w normie. Płyną kolejne dni...

12. /73 dzień w wojsku/

Próba zapisu rozmowy, jaką przeprowadził kolega Roman Borycki z kapitanem podczas zajęć politycznych - mamy obowiązkowo po cztery godziny w tygodniu - we wtorek i piątek.

- W kraju panuje rozprężenie i anarchia, brak jest jakiegokolwiek dyscypliny, nikt nie podporządkowuje się władzy - mówi kapitan.

- Zaraz, zaraz obywatelu kapitanie, przecież ta diagnoza jest uproszczeniem, nie ujmuje ości - wtrąca Romek borycki.

- Jakim uproszczeniem, ludzie są zagubieni w chaosie, nie mają się czego trzymać - kapitan.

- Siebie niech się trzymają.

- Jak to siebie? - kapitan.

- Przez całe lata utrzymywany był mit nieomyślności władzy, jednomyślnego kroku społeczeństwa i teraz wreszcie to się kruszy, ludzie chcą być wolni, sami decydować o sobie i o swoich sprawach.

- Ale wolność to uświadomiona konieczność - przerywa kapitan.

- Czego - Romek.

- Granic, które przekroczyć nie można - kapitan.

- Człowiek wtedy je uzna, przyjmie za swoje, jeśli będą się zgadzały z jego osobistą moralnością.

- A czy wście się zastanowili, w jakim położeniu jest nasza młodzież, dzieci. Ona jest zagubiona. Nie chodzi o to, żeby konieczne była podporządkowana ideologii komunistycznej, ale jedna musi być wybrana, żeby młodzież nie była taka zagubiona i smutna - kapitan.

- I co, mają powstawać nowe szkoły janczarów? - Borycki

- Jakich janczarów?

- Powiem inaczej. To co proponuje obywatel kapitan napawa strachem, bo jak można wybrać dziecku jeden określony ściśle sposób myślenia. Nikt nie ma do tego prawa, trzeba...

- Czy wy szeregowy jesteście katolikiem - przerwał kapitan.

- Wolę się zdeklarować, że nigdy nie chciałbym zostać fanatykiem.

- Ale jesteście? A kiedy was chrzcili? Widzicie, za was wybrali inni, kiedy jeszcze byliście niemowlakiem. - kapitan.

- Nigdy tego momentu nie traktowałem jako aktu zaprzędnienia swojej duszy na wieki, a odejście od wiary jako zdradę - nie wierzę, więc odrzucam warunek podstawowy i kropka - szukam sobie innej religii.

- Ale za daleko odeszliśmy od tematu, czy są jeszcze jakieś pytania związane z zagadnieniem podstawowym - zakończył zajęcia kapitan.

13. /98 dzień w wojsku/

Już prawie sto dni mija od przyjazdu w to miejsce. Przypatrzyć się swoim kolegom z plutonu. Różni, aczkolwiek z cechami, które tu ulegają upodobnieniu. Jedni pokazują zdjęcia swoich narzeczonych, swoich dziewczyn, dwóch już się ożeniło. Tym najspieszniej do domu, kombinują z urlopami. przepustkami jak mcga, załatwiają jakieś śmiertelne, chorobowe i bóg wie jakie jeszcze telegramy, aby tylko wyrwać się z kcszar. Egoiści i samoluby - jest kilku takich, ale im dają inni w skórę, więc próbują naprawić swoją pozycję przez czekoladkę, papierosik - wracają ku wspólnocie, bo w niej raźniej. Są cwaniaki, pijaki /amatorzy wiewniennego "czaju", który gotują w najprzeróżniejszych miejscach/, kobiciearze, są próby lewych /tzn. przez płoty/ wyjść poza teren kcszar. Są dyskutanci i malkontenci, improwizatorzy i inspiratorzy, są mali i odważni, rodzą się bliższe zażyłości, jakby na przekór modnemu w wojsku powiedzeniu, że "w domu psa nawet nie miałeś, a w wojsku kumpla szukasz?" Dni nam wolno przeciekają, coraz mniej rzeczy interesuje, kiedy "Coś" się wydarzy, wiadomości błąskawicznie obiega cały blok. Jest temat do relacji, śmiechu, drwin. Tych rozmów coraz mniej, jeżeli już, to wypływają teraz zdolni opowiadacze, kawalarze i oratorzy, którzy zmieniają grona słuchaczy, aby powtarzać te same kawały, zdarzenia i historie. Z tej i z tamtej ziemi. Też dobrze.

14. /114 dzień w wojsku/

Na zewnątrz i we mnie pustka i monotonia. Prawie nic nie dociera, nie interesują wydarzenia polityczne, na transmisje sportowe też już nie chce mi się chodzić. Monotonia zrodzona z tego, że tu się wszystko powtarza - od porannej pobudki do wieczornego capstrzyku człowiek już z góry wie, co będzie robił, zaś pustka - chyba pojawia się z poczucia fikcji. Stąd i notatki rwą się, nie ma co zapisywać, brak jest nowych impulsów. I te ciężkie sny bez snów. Ten bezruch ujawnia się szczególnie w czas sobotnic-niśdzielny. I nagle spada na batalion wizytacja dowódcy pułku. Wchodzi nagle do sali żołnierskiej, jeden siedzący wstaje i milczy, bo go zamurowało na widok pułkownika, drugi wstaje z łózka w gaciach /akurat był po praniu/, trzeci śpi - milczą, pułkownik zaś do asystującego mu porucznika: "powiedźcie im, jak się mają zachować, gdy pułkownik wchodzi" i wyszedł. Wchodzi do ubikacji. Opowiada kolega "siedziałem kłamkę i słyszę głos zza drzwi: czy wy wchodzi. Przytrzymałem kłamkę i słyszę głos zza drzwi: czy wy myślicie poruczniku, że dowódca będzie wam papier do kibla ciął?". Po chwili słyszę, że ktoś leje. Szybko wyknąłem się. Widzę w przejściu, że pułkownik szcza, stojąc w otwartej kabinie, a w drzwiach stoi porucznik i sierżant z kompanii na baczność".

15. /148 dzień w wojsku/

Na zajęciach politycznych dwa momenty, które doprowadziły do bardziej ożywionej atmosfery, chodzi o moment wyboru gen. W. Jeruzelskiego na premiera, oraz drugi, związany z pobicie radnych i członków "Solidarności" w Bydgoszczy. Wszędzie rozlepiają

program najbliższych poczynań rządu, oraz jakieś propartyjne humoreski, atakujące KPN, KSS KOR, niektórych działaczy "Solidarności". Poziom żenujący - śmiejemy się, ale z autora tych rysunkowych bredni. Natrudził się też mocno pan Banaszczak, autor książeczki pt. "Grzecność w mundurze", /w ogóle sporo jest takich książek instruktażowych na wszystkie okoliczności w wojsku/. Oto przepis tego pana na produkcję listu. Bohaterem pozytywną tej książeczki jest Łukasz.

Chcesz Łukaszu napisać list. Nic prostszego Łukaszu, jeżeli tylko masz pod ręką tę książeczkę. Teraz otwórz ją na podrozdziale "O pisaniu listów" i wypełniaj skrupulatnie jej przykazania. Najlepiej zasiądź do pisania w świetlicy. Pamiętaj "różnie bywa, tymczasem nasze listy świadczą o nas". Teraz wybierz odpowiedni papier listowy, który musi być czysty i nie pomięty, najlepiej nie liniowany, jednakże Łukaszu, "jeżeli pisanie na papierze nielinowanym sprawia ci trudności, i linijki pisma układają się nierówno, możesz użyć papieru kratkowanego" i jeszcze jedno, nie używaj papieru kolorowego, gdyż prawdziwy mężczyzna nie używa takich barw w korespondencji". Teraz Łukaszu przechodzimy do treści. "Siadając do pisania musisz najpierw przeczytać jego treść. Rozpoczynamy od nagłówka - "Droży Rodzice, Droga Mamo, co możemy niekiedy zastąpić słowami Kochani. Najdroższa. Do osób bliższych zwracamy się zwykle serdecznie i ciepło, zaś przy adresach pamiętaj, że niektórzy uważają, że lepiej jest przy adresowaniu nie używać skrótów i pisać słowo "obywatel" w całości. Nie używamy już skrótów typu: Szanowny Pan, Wielmożna Pani itd. Wyszytne z użycia i nawet nieco śmieszają."

Tak, wiemy Łukaszu, że możesz mieć problemy z ortografią, układaniem słów w zdania, dlatego otwórz teraz twój przewodnik na rozdziale: "Usuwajmy chwasty językowe". Przecież wiesz Łukaszu, że niekiedy pojawiają się "ponure indywidua, które tak bardzo lubują się w wulgarnych określeniach, że kraszą nimi co drugie zdanie. Niektórzy młodzi ludzie w mundurach także uważają że tak zwane mocne słowo dodaje im męskości". Prawda Łukaszu? A przecież wiesz, że jest to "oznaka kompleksu niższości, jak to wyjaśniłby psycholog". Pamiętaj: "jeżeli ktoś pragnie wyróżnić się spośród innych, niech to czyni przez wzorową pracę, dobrą służbę, czy też przez działalność społeczną. Taki rozgłos zdobywa się na podobnej zasadzie, na jakiej zdobywa rozgłos opryszczk wyróżniający się bandyckimi wozynami. Używanie wulgarnych określeń jest przez zdrowy i kulturalny kolektyw żołnierski zdecydowanie potępiane". "Każdy człowiek przestrzega zasad higieny osobistej, bo inaczej zarośnie brudem, będzie wydzielał nieprzyjemny woń. Do brudasa i niechlujka ludzie odczuwają wstręt, odsuwają się od niego czym prędzej. Jak higiena osobista, tak i higiena języka musi być usuwana z wszelkich brudów i niechlujstw. Kto tego nie czyni, postępuje źle." Rozumiesz to Łukaszu! Nad tym trzeba pracować, "gdy rozmawiasz z sympatią, na pewno nie rzucasz mięsem". Językowi "Chuligani" dobrze się orientują, gdzie i co można powiedzieć.

I pamiętaj Łukaszu, gdy "rynsztokowe wyrazy zepsują twój język, to gdy się znajdziesz w kulturalnym towarzystwie któregoś dnia, będziesz musiał zachować milczenie".

Zastanawiam się, jak może po takim instruktażu zachować się przeciętny Łukasz. Ja swoją odpowiedź mam, ale nie chcę jej narzucać.

16. /154 dni w wojsku/

Robert do mnie podczas pobytu w palarni: "wiesz, jestem co-

raz bardziej zdenerwowany, Kurwa, diabli mnie biorą i nie mogą się opanować. Pamiętasz to nasze operdalanie się przy rozładowaniu wagonów? Chciałbym wreszcie normalnie popracować i normalnie się zmęczyć".

Komentarz kolegi stojącego z boku: "wojsko trzeba przejść jak ząbkowanie".

17. /172 dni w wojsku/

Za nami już Święta Wielkanocne. System upokrzeń daje c sobie. Znać co pewien czas. Ustaliliśmy z dowództwem kompanii, że część z nas wyjdzie podczas Świąt na miasto - chodziło głównie o uczestnictwo w nabożeństwach. Tymczasem, kiedy rano zgłaszamy się po przepustki garnizonowe okazuje się, że przed południem zostały zaplanowane przez dowództwo batalionu zajęcia. Gnają nas na plac apelowy, mamy ćwiczenia z musztry /ze śpiewem/, pogadankę, zaś na trzeciej godzinie wyświetlono film szkoleniowy. W szeregach złość i przekleństwa. Następnego dnia mamy zajęcia polityczne z majorem, który pracuje w sztabie pułku. Podczas zajęć Marek Kaleta pyta o przyczyny wczorajszego manewru. Polityczny major robi zdziwioną minę /trudno wyczuć, czy nie pali głupa/ i mówi, że się dowie. Już po przerwie docskakują koledzy do Kalety z pretensjami: "Zwariowałeś, po co się odczywałeś, mogą nam wstrzymać przepustki i urlopy do domu, pc chclerę to poruszałeś - było, minęto."

Co się okazało dalej? Kajcr pswnie przedzwonił na batalion, nasza kadra pewnie coś wytłumaczyła, złość za krnąbrność i wolnomyślicielstwo, za "awanturnictwo" wyładowując na nas. Nie, nie bezpośrednio, na to są za cwani. Po obiedzie wyskakują nam jakieś nieprzewidziane w planie zajęcia z musztry, potem porządkowanie skwerków, potem obieranie ziemniaków, szorowanie podłóg kompanii /inne plutony miały czas wolny/. Do sprawy powraca najniższy szczebel - kapraśki wyjaśniając nam przed capstrzykiem "warte było dyskutować? Na najbliższe przepustki jadą żołnierze z innych plutonów. Pamiętam słowa, jakie pod adresem Marka Kalety skierowali inni z plutonu: "jeżeli będziesz Kaleta jeszcze raz zabierał głos w takich sprawach, to stracisz naszą sympatię i odsuniemy się od ciebie".

Jak łatwo tu nami manipulować, wprowadzać rozłamy między nami. Prosta zasada "kneblowania ust" nawet bezpośrednio nie swoimi rękami. Zabiera się wszystko, zaś potem dozuje się wolniutko to temu, to tamtemu. Nawet nie trzeba pałek ani odgórnego terroru.

18. /196 dni w wojsku, pozostało jeszcze niewiele ponad 500 - niewiele.../

Jedną z osób kadry, był facet niedużego wzrostu o łagodnej twarzy, i ogromnie nerwowy, przy tym tego popijający. Mimo, że powinien już awansować, nadal przestawał w stopniu podporucznika. Oto przebieg rozmowy, jaką przeprowadził podporucznik Mareczek /nazwisko też przystające do postaci/ podczas swojego dyżuru na kompanii.

Chodzi sam pc pokoju kadry stukając obcasami, na korytarzu słychać głośne hałasy. On mówi głośno do siebie:

- Znowu hałasy, znowu burdel na kompanii, pcruczniku Mareczek, musisz ich uspokoić. Kurwa, jeszcze głośnieją, musisz ich uspokoić, pcruczniku Mareczek, musisz ich uspokoić, muiaz - mówi cczas głośnieją i pc chwili - nie bój się tej hołoty, nie bój się tego wojska.

Słychać otwieranie klamki.

- Podoficer do mnie - wrzeszczy.
Słychać kroki podoficera.

- Kapralu, dlaczego tam jest tak głośno, dlaczego cni tak tupią?

- Melduję...

- Musicie ich uspokoić, musicie im dać w dupę, żeby popamiętali, kto ma dyżur na kompanii. Jeżeli się nie uspokoją, powiedz im, że sam im pokażę.

Podoficer odchodzi, porucznik Mareczek dalej chodzi po pokojach, zaś na korytarzu wrzask panuje nadal. Słychać jak wykręca numer telefoniczny i rozmowę:

- Proszę poprosić chętnego Kułaka - i po chwili przerwy - to ty Rysiek? słuchaj, załatwiłeś, to co miałeś? - co? - No jak to co. Przecież wiesz - tak, tak, przyjdź z tym do mnie, bo mnie głowa boli przez to cholerna wojsko. Gmniej ich i gonię. Co, już idziesz, dobra, przychodź.

- Kiedy wychodziłem /przepisywałem w drugim pokoju rozkazy/, kazał mi umyć szklanki w łazience. Na kolejnym swoim samodzielnym dyżurze nie pokazał się przed frontem żołnierzy.

19. /226 dzień w wojsku/

Jest wolna sobota, na dworze silnie świeci czerwcowe słońce. Kadre wywiało z koszar, jesteśmy plutonem dyżurnym. Coś tam wyknujemy, wszyscy ruszają się bardzo wolno. Podchodzi do mnie Robert Stok.

- Wiesz, wkurwia mnie tutaj to wszystko - zaczyna, a w międzyczasie zalegliśmy na trawie - kiedyś byłem obowiązkowy, teraz tu mi wszystko jedno, a jeszcze, jak to może być, aby jeden rozkazywał tyłoma.

- Zaraz, zaraz, mieszasz różne sprawy - przerywam, a słońce grzeje pięknie, mówiłeś najpierw - sobie przerywam i macham ręką - co tam będę się wysilał, jest jak jest - dodaje sentencjonalnie.

Kładę się inni, ktoś się odzywa:

- Wiecie, poprzedni pluton przy obieraniu ziemniaków zapierdolił dwa metry kielbasy.

- Ee, nie - przerywa inny - nie dwa a jeden.

- Może i jeden - zgodliwie przystaje pierwszy.

- Ale to czysta kradzież - włącza się trzeci.

- Coś ty chłopie, na liczniku masz już ponad dwieście dni a dotąd nie wiesz, że w wojsku nie ma kradzieży - to w ramach szkolenia z samoorganizacji.

Cisza... po chwili Robert jęknął: "O Jezu!" Przerwa, po chwili dalej: "chciałbym, aby dali mi zwolnienie choćby na dwa dni, tak bym sobie zaległ na trawie i leżał". Przerwa, po chwili znów wzdycha: "O Jezu".

Cisza...

20. /284 dni w wojsku/

Od dłuższego czasu zapisuję niewiele. Bez sensu wydaje się zapisywanie kolejnych kroków, gromadzenie cząsteczek, skorek ruchu, działania jako takiego prawie nie ma. Krok nie mój, myśli jakby nie moje. I trwa ta korytarzowa błąkanina, śmiechy z niczego, gapienie się w okna. Wyjściem staje się jakaś bezgraniczna senność, która ogarnia tu wszystkich. Co wolna chwila. to hyc na pryczę, głowa do ściany i drzemanie. To nie sen dający wypoczynek. Jak się komuś przyśni coś ciekawego, to opowiada w palarni, gdzie

najpełniej w chwilach wolnych rozwija się życie towarzyskie tym bardziej, że prace porządkowe wykonują już głównie ci, co przyszedli do kozzar wiosną. Oto kilka przykładów opowiedzianych snów:

- Śni mi się, że chodzę po korytarzach. Budynkiem jest stary blok, gdzie urządzaliśmy sobie dziecinne zabawy. Były tam olbrzymie atrachy, które kryły najprzeróżniejsze zakamarki. Cholernie się bałem, że zbłądzę, ale szedłem a wokół mnie takie niejasne obrysy skądś znajomych twarzy. Chciałem odejść, zobaczyć, ale nie mogłem. Szedłem dalej taki wyizolowany po jakichś krawędziach, aż wreszcie dotarłem do drzwi, za którymi stała moja dziewczyna. Mówiłem do niej, a ona nie reagowała, jakby nie rozumiała słów, które do niej kierowałem.

- I co - my, słuchacze.

- Zamknąłem te drzwi z powrotem. Stałem tak przed nimi i stałem nie wiedząc co mam dalej zrobić. Wrócić się bałem, bo dopiero teraz zauważyłem, po jakich krawędziach tu doszedłem, tam zaś za drzwiami stała ona i też nie miałem siły, aby tam wejść. No mówię wam, taką kurwa przeżywałem męczarnię, że kiedy się obudziłem, byłem spokojny że niech to diabli.
- Śni mi się, że stoję w łazience i myję ręce. Cholera mnie bierze, bo co odstawiam ręcznik, to znowu czuję, że mam je mokre. Wiem, że muszę wyjść, bo na mnie czekają, a ja nie mogę wyjść przez te cholerne ręce. Odkręciłem wreszcie maszynkę gazową i zaczynam je grzać. Odstawiam i znowu mokre. Więc je zacząłem normalnie przypiekać. I tak bez końca. No mówię wam, kurwa, co za męczarnia.
 - Śniła mi się wielka klepsydra, w której zamiast piasku były wielkie kamienie. Jak spadały, to huczało tak, że głowa chciała pęknąć. Myślałem, że oszaleję. Czekałem, aż skończy się to spadać nie. I skończyło, ale to jeszcze nic, bo coś mi kazano, żebym tę klepsydrę odwrócił do góry nogami i nie mogłem ani uciec, ani się sprzeciwić. Mówię wam, normalny obłąd.
 - Opowiada dyżurny: było koło północy, kiedy nagle usłyszał, że ktoś jęczy. Kiedy się dobrze wsłuchał, okazało się, że to w jednej z sal żołnierskich. W pewnej chwili otworzyły się drzwi od niej, i na progu stanął kolega w piżamie jęcząc "o Jezu, alarm, a mnie nikt nie obudził". Zaskoczony dyżurny zaczął uspokajać zaspanego. Ten dalej: "oo ja teraz zrobię, oni pojechali, a mnie zostawili". Wreszcie zasnął.
 - Robert Stok w świąch jawał wciąż leżał na łakach.

21. /325 dni w wojsku/

Wśród nowych żołnierzy /tzn. z poboru, który przyszedł pół roku później, tj. w kwietniu 1981 roku/ znalazł się bardzo koleżeński i dobry chłopak, który skierowany został do tej jednostki z drugiego końca Polski. Pochodził ze wsi, pracował z rodzicami - starszankami na gospodarstwie, prócz tego pracował zawodowo. Probował uzyskać zgodę na przeniesienie do jednostki, stacjonującej bliżej. Miał przy tym konkretne powody. Jego matka była chora, ojciec - kombatant, sam był jedynakiem. Sprawa była praktycznie załatwiona, ba...., w ostatniej chwili okazało się, że o to samo miejsce zaczął ubiegać się inny, którego wuj w randze pułkownika pracował w Warszawie. Oto przebieg rozmowy, którą przeprowadził dowódca kompanii:

- /.../ - mówi tamta strona /telefonu/, zaś nasz kapitan ro-

coraz bardziej stęzoną minę.

- Rozumiem... Ale będzie trudno... Tak jest... Oczywiście...

Musi się znaleźć - odpowiada nasz kapitan.

- /.../

- Tak, rozumiem... Będę w Warszawie w październiku.

- /.../

- Tak, już notuję.. dwa, cztery, sześć, tak... zapiszę numer telefonu.-

Kiedy kapitan odłożył słuchawkę ciężko oddychał, ale minę miał zadowoloną.

Wkrótce potem krewny pułkownika z Warszawy opuścił koszary, sprawa Janka Florczaka została załatwiona odmownie.

22. /356 dni w wojsku, za parę dni minie rok, zaś po nim do cywila już czas będzie płynął w dół/

Z książeczek instruktażowych dotyczących kultury codziennej - musieliśmy je czytać głośno, kiedy dla przykładu prowadzący zacytował wybrał się do kantyny na śniadanie. Oto jego fragmenty:

"Przymiotnik "ładny" wywodzi się ze staropolskiego wyrazu "ład". Nasi przodkowie dobrze rozumieli, iż tam tylko może być ładnie, gdzie jest ład i porządek.

Są ludzie, którzy znajdują szczególne upodobanie w pluciu i to bez względu w jakim miejscu się znajdują. Ten wysoce obrzydliwy przejaw niechlujstwa po prostu jest wynikiem braku elementarnej kultury i znajomości zasad higieny. Ekscesy takie należy stanowczo osmieszać i zwalczać.

W czasie spotkań towarzyskich należy przede wszystkim unikać wszelkich zadrażeń, szukać tematów pogodnych, wesołych, miłych dla każdego ucha. Wódka, wino i piwo - proszę bardzo. Przecież to "dla ludzi" - jak się to mówi. Ale w miarę. Alkohol może rozwelelić, dodać odwagi, lekkości, pewności siebie, ale kieliszek, dwa a nie od razu ćwiartka, pół litra, na umór, ile wlezie... i z człowieka robi się zwierzaczek, niesympatyczny dla otoczenia.

Pijamy nie wygląda miło, nie paćmie ładnie.

Dyscyplina wojskowa armii przedwrześniowej była oparta na tzw. pruskim drylu, czyli na metodzie wymuszania posłuszeństwa za pomocą pozbawiania człowieka wszelkiej indywidualności, doprowadzania go do stanu bezwzględnej, automatycznej posłuszeństwa, czyli posłuszeństwa ślepego - osiąganego drogą zastraszania. W naszym wojsku dyscyplina jest oparta na obywatelskiej, socjalistycznej świadomości, na patriotycznym umiłowaniu własnego kraju.

Różnorodność specjalizacji i wysokie wymagania szkoleniowe powodują, że podwładny zdając sobie sprawę, że przełożony osiągnął wyższy stopień wiedzy, wyższe umiejętności, szanuje go.

W dyskusji obowiązuje zasada używania siły argumentu, a nie argumentu siły, należy operować sprawdzalnymi faktami, unikać ogólników.

Najważniejsze zasady dyskusji to:

- daj się wypowiedzieć,
- słuchaj uważnie,
- odpowiadaj spokojnie i rzeczowo,
- nie obrażaj przeciwnika i nie myśl o nim, że jest ostatnim "bęcwalem",

Ps. /po 13 XII 1981 r./ - SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA.

/list do rodziny/

Kochani

Ten list piszę na parę dni przed moim wyjazdem na urlop, pi-szę już dzisiaj, aby Was uprzedzić. Wyjadę stąd 18 wieczorem, tak więc w domu będę nad ranem. Przez to, że nie wyjeżdżałem na przepustki, ani na urlopy trzydniowe, bo mi się nie opłacało ze wzglę-

du na odległość, dowódca kompanii dołożył mi trzy dni, więc spędzę z Wami całe Święta Bożego Narodzenia. Tyle o tym piszę, ale już sama myśl o jakiegokolwiek zmianie, jakimkolwiek ruchu staje się dla mnie nadzieją.

Ile tu wypalitem papierosów, ile godzin bezmyślnie przepałem?... Nie mogę już patrzeć z dystansu, wypaliła się energia. Nerwy...

Najgorsze jest to, że nic nie mogę zdziałać, nic zmienić, aby nie czuć się ubezwłasnowolnionym. Nerwy i bezsilność. Miec dwadzieścia lat, mieć poczucie, że się uczyło, dokładało wysiłku, aby być człowiekiem mądrym, przestrzegającym zasad prawdomówności i honoru...

I co?

Ja mam być lisem... pieprzyć wyświechtane formułki, szczyrzyć kty, żeby ktoś spojrział łaskawie, zaakceptował, wystawił pozytywną opinię.

Rozpaczliwe to wszystko. Szukałem tu ludzi, z którymi mógłbym otwarcie porozmawiać, których oczy nie lecał gdzieś w bok pełne chaw, czy ktoś nie słyży, nie nadchodzi. Nie spotkałem. Przekraczając bramy koszar ci ludzie zostawiają siebie, stają się trybikiem maszyny, która wymusza z góry określone nastawienia i poglądy. To świat ludzi przestraszonych. Czy tam, w domach są inni - nie wiem. Wejście w ten system wyklucza bycie sobą i ta niesamowita drożność w sensie bszrefleksyjnego przepływu informacji, poleceń z góry w dół. Jak do tego doszło?

Pamiętasz Tomaszu nasze rozmowy w chwili, kiedy zakończyły się strajki sierpniowe? I słowa innych, każdy coś mówił, coś swojego, cieszył się ze swego głosu, ze słuchania innych. Była radość. I było sprawą naszej odpowiedzialności mówić prawdziwie, mądrze.

Tu...

Gazety wojskowe. Przychodzą w dużych ilościach. Przecież nikt ich nie czyta - kolejny dyżurny kompanijny tnie je równo na kawałki i zanosí do kibla jako papier toaletowy. Przynajmniej jakiś pożytek z papieru. O ironio.

Słowa. Słowa wytarte ze znaczeń, słowa pozbawione sensu, wciąż te same tylko w kilku różnych układach - odczłowieczone, zbanalizowane, puata kalki.

Czy tego stanu nie można zmienić? Żeby każdy mógł być człowiekiem, nie trybikiem, nie kukłą. Widać jednak, że w pojęciu "bycie człowiekiem" jest coś zagrażającego funkcjonowaniu tego mechanizmu. Nie można by stosować sieci drobnych upokorzeń, terroru psychicznego, trzeba by swój autorytet budować poza układem wyznaczonym przez gwiazdki, szlify i ordery.

Poszedłem do wojska jako jeden z masy, jeden z członków całego narodu i tu, ponad rocznym pobycie zaczynam mieć poczucie, że zostaje odrywany od pulsu wyznaczonego przez Wasze cywilne bicie serc, że z perspektywy koszar nie ma współbieżności. Jest częste poczucie istnienia muru. Ja go nie stawiałem i nie chcę go ustawić, robi się to poza moją wolą i poglądami. Stąd mój lęk, stąd moje obawy, oby pisane nastrojem chwili i na wyróst.

Wybaczcie Kochani końcówkę tego listu, na pewno mi przejdzie. Do zobaczenia:

PS. Nie chciałem być Kassandrą.

Ten list napisałem podczas pełnienia nocnej służby na kompanii po rozmowie, jaką przeprowadziłem z nie mogącym spać re-

zerwistą. Mieli planowo wyjść z wojska do cywila po odbyciu dwuletniej służby w październiku, tymczasem ani nie powołano nowego poboru, ich zaś przstrzymywano bez wyjaśnień, stąd też powody do najprzeróżniejszych spekulacji. Była to noc z 11 na 12 grudnia 1981 roku.

I. 13.12.1981 r. - pierwszy dzień stanu wojennego

Zbudził mnie hałas na korytarzu, nienaturalny, powtarzany krzyk dyżurnego kompanii: "Alarm... alarm...". W pierwszych chwilach nie zwracałem na to uwagi, dopiero przekleństwa, stuk i jęki sprężyn łózkowych uświadomiło mi, że też muszę wstawać. Machinalnie wykonywałem poszczególne czynności - spodnie, buty, potem ocieplama kurtka i już za innymi ustawikiem się w kolejce do magazynu broni. Panowała cisza. Niektórzy pytali, co się dzieje - alarm w niedzielę? Wszystko szło wolno, jakby w letargu. Na zegarkach czwarta po północy. Pojawiają się pierwsze osoby z kadry kompanii, też zasnani, też z niewiedzącymi oczami. Wyszedłem na dwór i uderzyła natychmiast fala zimna, proszącego śniegu. Tak staliśmy w mocy, dobudzani topniejącymi na policzkach płatkami śniegu. W szeregach szepty, roztrząsanie znaków zapytania. Upływały kolejne minuty naszego stania.

Wreszcie naczyna coś się dziać, wracają dowódcy z narady. Mój pluton zostaje załadowany do ciężarówki, by po chwili opuścić koszar. Połowa, do której należałem, wysiadła z ciężarówki - po jakim czasie - straciłem rachubę. Towarzyszyło tej drodze jedno polecenie i zachować ciszę. Kiedy wysiedliśmy, niebo wciąż było ciemne. Staliśmy przed wjazdem na most, słychać było szmer płynącej wody. Po chwili przyjechał gazik, z którego wysiadł młody oficer. Przekazał nam zadania. Od tej pory stanowiliśmy ochronę mostu, który został zablokowany dla przejazdów cywilnych samochodów.

Dlaczego?

W odpowiedzi usłyszeliśmy, że taki jest rozkaz.

Dlaczego?

Sam nie potrafił udzielić odpowiedzi. Ustawiliśmy przegrodę poprzeczną z biało - czerwonych desek. Już niedługo trzeba je było rozsunąć, przejechało kilka wojskowych samochodów i transporterów opancerzonych typu "SKOT" nie z naszej jednostki. Gdy po jakimś czasie powrócił gazik, okazało się, że posterunek ma być zredukowany o cztery osoby. Wybór padł między innymi na mnie. Wróciliśmy do koszar. Wciąż było ciemno, tylko śnieg przestawał padać.

Kiedy oddałem broń na kompanii, dochodziła godzina szósta. Wszedłem do sali telewizyjnej, gdzie siedziała już grupa kolegów z kompanii. Spytałem się, czy wiedzą już coś konkretnego, okazało się, że przez te dwie godziny nikt nic nie wiedział, ci z kadry też rozkładali ręce. Kolega zaczął mi szeptać, że to chyba coś poważniejszego. Ale co, "czy myślisz, że wojna - pytałem dalej - to przecież niemożliwe. Nie, wojna to chyba nie - zaprzeczył Piotr - ale pewnie wojska z Układu Warszawskiego do nas weszły - usłyszałem w odpowiedzi. Tak, ten wariant wydawał się najbardziej prawdopodobny. No tak, lecz co będzie dalej, przecież jeżeli już, to z nami nie będzie tak proste jak z Czechami - co najmniej drugie Węgry. Piotr Borycki jeszcze raz zabrał po cichu głos: "widzicie, wojsko nie poddało się, jest po stronie "Solidarności", patrzcie, nawet mosty żeśmy obstawili, kurwa, ale będą działały się jeszcze hece, aż strach myśleć". Wśród tych szep-tów jeden z kadry włączył telewizor. Szmer, szmer i obraz, grają hymn, pojawia się twarz Wojciecha Jaruzelskiego. Na sali zapa-

mowała przeraźliwa cisza, popatrzyłem na koleżę z mojego poboru, mrugał nerwowo oczami, już w tym pierwszym momencie stało się jasne, że nie jest to jeden z kolejnych alarmów ćwiczebnych, że zamosi się na coś więcej.

Hasła z tablic i plakatów:
"Narodowi służymy i w gotowości do jego obrony trwać będziemy".

II. 28.12.1981 r. - 15 dzień stanu wojennego

Te pytania, które zadawaliśmy sobie po wysłuchaniu przemówienia. Co będzie? jaka będzie sytuacja w kraju, jaka będzie reakcja ludzi na ten manewr wojskowych, co będzie z nami? I każdy na swój sposób rozważał wariant - czy będzie postawiony naprzeciw ludzi z ulicy, z zakładow pracy, czy padnie rozkaz, aby strzelać... Chodziliśmy z tymi pytaniami po korytarzach, na posterunkach wartowniczych, zasypialiśmy i budziliśmy się z jękiem po nocach. Co będzie? Nie pozwolono nam słuchać radia, jedynym środkiem informacji był telewizor, który wzbudzał naszą nieufność już choćby za sprawą umundurowanych spikerów, którzy wygłaszali dawki informacji. I płynęły ciche informacje zasłyszane przez wartowników na moście, przez żołnierzy, którzy w celach zaopatrzeniowych wyjeżdżali do miasta, przez osoby, które wychodziły w teren. O sytuacji na zewnątrz padają najprzeróżniejsze informacje, każdy mówi coś innego, że stoi cały kraj, że we wszystkich miastach toczą się walki uliczne, potem, że walki toczą się już tylko na Wybrzeżu, że w tym rejonie desantu morskiego dokonają oddziały państw sprzymierzonych, że całe pułki odmawiają wykonania rozkazów, popełniają samobójstwa niektórzy dowódcy, a żołnierze przechodzą na stronę ludności cywilnej. Tak, te wiadomości o różnych postawach kadry oficerskiej i żołnierzy były dla nas najważniejsze.

"Spokój panuje w kraju".

"Spokój panuje na Wybrzeżu, jeszcze tylko w dwóch kopalniach kontynuowany jest strajk".

Takie informacje podaje telewizja - my nie wierzyliśmy, takie wiadomości przynosi "Żołnierz Wolności" - my nie wierzyliśmy, takie informacje przekazują nam oficerowie polityczni - my nie wierzyliśmy, taką informację przynosi kolega z mostu, który rozmawiał z kierowcą poobijanego wozu strażackiego, który wracał po skończeniu działań na Wybrzeżu, czyli wracał stamtąd. Dookoła panowała cisza, cisza i oczekiwanie na coś, co się jeszcze wydarzy, że gdzieś nas jeszcze wywożą.

W te dni często padał śnieg. Ten biały śnieg był dla mnie symbolem wolności. Ten biały śnieg i zbliżające się Święta Bożego Narodzenia. Po planach spędzenia Wigilii przy stole rodzinnym pozostały tylko kartki i niewysłany list, jako martwe symbole tamtego czasu. Nikomu nie chciało się ich wysyłać. I przyszła do nas "gwiazdka z nieba". Przetęmatem się chlebem z kolegami, gdyż zabrakło opłatka /cenzorzy wyciągali go z listów, do których wkładały go matki - każdy list w tym czasie był otwierany/. Nikt nawet nie wspominał byłych Wigilii, jakos nie wypadało. Odczuwałem coraz większą niechęć do rozmów, nie było też powodów choćby do głupich kawałów i śmiechu.

Hasła z tablic i plakatów:

"Kadry decydują o obliczu i sile Ludowego Wojska Polskiego"

III. 6.01.1982 rok - 24 dzień stanu wojennego

Z godziny na godzinę rósł mur między nami - żołnierzami, a

kadram zawodową. Patrzyłem na ich nagłą zmianę. Jeszcze przed dwoma, trzema tygodniami próbowali być takimi równymi, partnerskimi ludźmi, którzy mogą bez obaw o następstwa rozmawiać z nami na każdy temat, którzy chcą też mieszkać w demokratycznym, samorządnym państwie, w którym nie rządzi bat a rozum, gdzie wszyscy są równi i ta zmiana, ich wygnęta zacięta twarze, twarze niektórych z nich tryskające energią, poczuciem własnej siły i ważności, możliwości dowolnego karania i nagradzania. Wojna, wojna... Dla nich to radosne poczucie pionu, mechanizm działa, już nie ma bierności, wyborów między różnymi możliwościami, ściśle zostało oddzielone dobro od zła, ściśle określony zakres kompetencji. Precz z nieczekawatością i zastanowieniami. Tacy oni szli w nas, po ciągłych apelach, oddzielnych instruktażach, jakie sobie udzielali. Wrócili z tych różnych odpraw i narad z wypiekami na twarzach, robili zbiórki, przekazywali, ostrzegali. Ktoś coś powiedział - kto? kto? gdzie?, nazwisko. Szpicle i donosiciele, prokratorzy i sądziowie. Tego wam nie wolno - grzmieli na apelach, tego nie wolno i jeszcze tego. A tego? Oczywiście że nie. Wojna, wojna... Precz z warcholstwem i anarchią. Tak krzyczy telewizyjny spiker, wtóruje mu "kibłówka", czyli "Żołnierz Wolności" wtóruje im obywatel major, pan kapitan, na podoficerach skończywszy. Nie ma pytań. Pytań być nie może, nie ma wątpliwości - jak mogą być wątpliwości kiedy tak nieomylnie promienie emituje nieczynna centrala: sztab, ze sztabu... Przedtem istniał wśród nas podział na jajorogłówców, czyli betoniarzy, na -trzcinki, czyli lisy-chytrusy i liberalno-umiarkowanych i sam też w to wierzyłem, że oni są tacy różni, więc i w różnych sytuacjach będą reagowali różnie. Wojna, wojna...

"Zespoleni jedną ideą, wierni swojej ukochanej ojczyźnie socjalistycznej". "Kraj chylił się ku upadkowi, postępował demonsttalz systemu, szykowano się do krwawej rozprawy, płynęły do Polski dolary i instrukcje z wrogich nam imperialistycznych ośrodków, najczęściej agend administracji waszyngtońskiej. Ojczyzna zagrożona, ojczyzna w potrzebie - tej destrukcji nasze żołnierskie - NIE!"

Stałem na tych zbiórkach, siedłem w szeregu w grudniu, styczniu i dalej. Bez słów, w milczeniu. Jak inni. W milczeniu podobnym do tego, jakie towarzyszyło pojawianiu się patroli na ulicach miast. Chyba dlatego zrezygnowano z obecności w takim patrolu osoby z mikrofonem, aby dodatkowo nie zadrażniać. Ile papieru zużyto na tę mienormalną propagandę w sytuacji, kiedy następnym bubek kolaborant pokroju pisarzy występujących w telewizji/Przymowski, Żukrowski/ na posiedzeniu sejmku rozczuła się na brak papieru na książkę, ha, na zeszyty do szkół, sam zaś drukuje swoje pioski w pisemku dla żołnierzy. Codziennie idą tego grube paki, codziennie się to prawie nie czytając niszczy. To nic, jutro przyjdzie następna partia paczek i tzw. materiałów szkoleniowo-propagandowych, jutro przyjdzie w "Żołnierzu Wolności" kolejny irrupujący odcinek o żydowskim pochodzeniu doradcy "Solidarności" doc. Geremku, o ciemnej przeszłości Rulewskiego, o grupie "jastrzębi" pod wodzą A.Gwiazdy, w następnych numerach ujawnione zostaną defraudacje finansowe regionu Mazowsze. Jak się wyraził jeden z oficerów, dobrze się czyta ostatnio "Żołnierza Wolności", gdyż wreszcie ujawnia nie gołosłownie a po nazwiskach, konkrety i fakty. Kiedy się spytałem, gdzie znajdują się ci, o których pisze gazeta, odpowiedział bez namysłu: "no jak to gdzie, są internowani, albo siedzą we więzieniach za swoją przestępczą działalność".

Żeby nie ciągnąć tej rozmowy" zamknąłem kwestię słowami: "jednak najlepiej jest pisać o zmarłych, ma się przynajmniej pewność, że już się nie odezwą i nie zechcą odeprzeć zarzutów". O honorze i godności nie wspominałem - to są bardzo trudne wytłumaczalne pojęcia, jak i to, że nie bije się leżącego.

Z hasła i plakatów:

"Bądź szujny i odporny na dywersję ideologiczną imperializmu"

IV. 21.02.1982 r. - 70 dni stanu wojennego.

W lutym rozpoczęły się pojedyncze wyjazdy do domów i stało się rytuałem, że po powrocie długo w noc powracający opowiadał o tym, co widział, co zastąpił będąc na zewnątrz koazar.

"Wiecie, jeden Reiff - ten szef PAX-u głosował w Radzie Państwa przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. I co? I nic! Zmienili go na nowego, który nazywa się Komender."

"Wiecie, Bratkowski - ten Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich ogłosił z ukrycia list do narodu. Podawali jego treść przez radio z Zachodu. I co? I nic! Rozwiązali SDP - wystarczył podpis prezydenta Warszawy."

"Wiecie, kurwa, przez cały czas urlopu piłem. No, kurwa, nie mogłem inaczej. Gdybym nie był podпиты, na trzeźwo bym tutaj nie wrócił".

To co najczęściej pojawiało się w formie żalu, to rsakcja ludności cywilnej na mundur. - odwracali się, nastawało milczenie, wtedy gdy wśród rozmawiających w kolejkach, na przystankach, na dworcach, w autobusach i pociągach pojawiał się człowiek w mundurze. Mas to dotyczyło w mniejszym stopniu, gdyż wiadomo, że nie idziemy do wojska z miłości czy powołania, jednak i nas te przejawy niechęci, ba, wrogości nie omijały. Najczęstszym policzkiem był wrzask za plecami, naśladowający skrzek wrony, związany ze skrótem Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego - WRON-y, innym były gwizdy dochodzące z różnych stron, pamiętam naszego kapitana, który przyszedł zżizajany do koszar i klnąc wyjaśnił: "że bezskutecznie gonil za matym skurwysynem, który tak rzucił śnieżną kulą, że mu czapka spadła".

Od pierwszych dni, wszystkie osoby z kadry musiały apać na kompanii. Miało to swoje dobre i złe strony. Dobre, że wreszcie można było bliżej przyjrzeć się temu, co rzeczywiście sobą reprezentują, złe, gdyż swcje różne kaprysy wyładowywali na nas. Było zaś co oglądać, narastanie agresji, brak jakichkolwiek zainteresowań, brak tematów do rozmów, ubóstwo językowe, zazdrość i szczeniackie nieopanowanie. Zauważyć było można podziały między podoficerami a chorążymi, chorążymi a młodszymi oficerami itd, zjawiała się ogromnie zmateralizowany punkt widzenia, a co za tym się kryje łatwą możliwością sterowania nimi przez pieniądze - ile to godzin poświęcili na analizę tego, kto jakie dostał nagrody, jaki z tym związane były nieuczciwości, dlaczego na innym batalionie dostawali niższe, a na następnym wyższe dodatki funkcyjne. Mały obłąd a raczej cyrk, kiedy obrażali się na siebie o nic, kiedy starali się siebie nie zauważać, budować zbicrowe fronty przeciw drugiemu przez obnowę i przywoływanie spraw prywatnych. Sytuacje wynikały z tego żenujące. Co pewien czas robiono w salach żołnierzy przeglądy z przewalaniem pościeli - szukaniem schowków w pośkich dołdze, sprawdzaniem zawartości szafek i plecaków, co pewien czas robiono śledztwa o słowa, które ktoś komus powiedział, o nastroje jakie wśród nas panowały - przeprowadzano indywidualne rozmowy ostrzegawcze - kiedy kilku atakowało wybranego żołnierza drwiną,

groźbą aresztu, wystaniem do jednostek karnych o sprawy, które były wymysłem fikcji, nudy, które korzenie swe miały w czasie sprzed stanu wojennego. Szczególnie dotyczyło to tych spośród nas, którzy wówczas nie milczeli, mówili - bo pozwalano na to. Teraz nastał dobry czas do rozrachunków.

Hasła z tablic i plakatów:

"Na każdym posterunku kadra LWP wzorowo spełnia swoje obowiązki".

V. 14.03.1982 r. - 91 dzień stanu wojennego

W tym czasie ogromnie dużo było przeróżnych służb, wart na kompanii, w pułku tym bardziej, że część jednostki była wyrzucnięta w działania związane bezpośrednio ze stanem wojennym nie piszę konkretnie, aby nie naruszać zasady, jaką przyjąłem w tym pisaniu, że aby być w zgodzie ze sobą i literą tajemnicy wojrowej mogę cpisywać i próbować ujawniać mechanizmy spraw, które wiążą się ze sferą ideologii i psychologii, pozostawiając nie-
tkniętymi obszary organizacyjno-militarne wojska/. Właściwie służby trzeba było przejmować co do bę, gdyż doszły dodatkowo wzmożenia posturków, patrole do miasta i dookoła koszar - czy nie ma wrogich napisów itd. Przy wyjątkowo niesprzyjającej pogodzie - śnieg i mróz, fatalnym wyżywieniu i odwitaminizowaniu organizmów przypadłości chorobowych było co niemiara. Lekarz pułkowy znów dawał popisy arogancji i łamania podstawowych zasad lekarskich, uznając za zdrowych żołnierzy z odmozozeniami nóg, z gorączką, którzy później mdleli na służbie /najboleśniejszym był przypadek, kiedy żołnierz zemdlął podczas mroźnej nocy na posterunku i leżał nieprzytomny do nadejścia następnej zmiany/. Nie było zabezpieczenia od mrozów, zmiennej odzieży, pakowaliśmy w spodnie i buty idąc na posterunki co się da, szczególnie ważną rolę odegrały gazety, także nie wszystkie, to, co się krytykuje. Ostawiany lekarz i jego chamski /inaczej tego nazwać nie można/ pomocnik w stopniu chorążego ponoć mieli rozkaz od dowódcy pułku, że nie mogą kierować chorych żołnierzy do izby chorych, gdyż musi być zachowana odpowiednia ilość sprawnych żołnierzy w koszarach...

W tym tygłu, największą rozrywką były karty /największym problemem było zdobycie nowej talii, gdyż nie było ich w sprzedaży/. Grała kadra skoczarska na terenie kompanii, graliśmy my. Głównie poker /fortuny na pulach były często bardzo poważne, więc i emocji przy tym sporo/, ale i inne na popularnym "oczku" skończywszy. Innym, jeszcze większym bogiem stawał się alkohol, on organizował nasze myśli i działania, on wyparł prawie zupełnie drugi podstawowy dla tego miejsca temat - temat kobiecy. My najczęściej w myślach, kadra czyniła z niego użytek codziennie, i zaczęło to przyjmować zastraszające rozmiary, kiedy patrzyło się na chrzątkę, zmęczone kaczem twarze, które rano przystępowały do codziennych czynności. Dla nas takim miejscem kontaktowym była sala odwiedzin, która spełniała przeróżne role - informacje polityczne, o sytuacji w kraju, dokarmiające, intymne, kiedy spotykali się koleżdy z dziewczynami, a także między innymi alkoholizujące. Udawało się rodzinom wnosić wódkę w termosach, w puszkach konserwowych po sokach /robi się dziurkę, wyciąga strzykawką napój, wprowadza się za pomocą igły alkohol, zakleja i oczekiwany prezencik bez przeszkód trafia, gdzie trzeba/, często zaś i w butelkach, gdyż kontrolowane wybiórczo i spracudycznie/. Mimo kłopotów związanych z otrzymywaniem przepustek na wyjazdy ze swich wódzstw od pierwszych dni przyjeżdżały matki, ojcowie, całe rodziny, pełne niepokoju o los - nasz los. Przyjeżdżali z całej Polski,

jeździli dalej, gdy okazywało się, że syn został przeniesiony ostatecznie w inne miejsce. Wynikały te nieporozumienia głównie z żółtego tempa pracy urzędów pocztowych - kiedy to zwykłe kartki pocztowe - więc nie jakaś specjalna gratka dla czujnego cenzora dochodziły do adresata po dwóch tygodniach/.

Będąc na sali odwiedzin - przyjechał krewniak, mimowolnie miałem okazję przysłuchać się rozmowie, jaką prowadził żołnierz siedzący przy sąsiednim stoliku z dwoma młodszymi przybyszami. Widać było, że popijali, zresztą nikt się tutaj specjalnie nie krył, jeden zawsze stał na korytarzu, i obserwował, czy nie idzie któryś z oficerów, dyżurnych. Z rozmowy wynikało, że najbardziej wygadany jest na przepustce, tyle, że nie ma służby w wojsku, a w milicji /jest możliwość zamiany/. Oto fragment dialogu:

- Widzisz Stefan, ty dostajesz 170 zł żołdu, my zaś 2100, służba lekka, nie ma takiego zapierdołu jak u was, kantyna zawsze pełna, możesz właściwie kupić co chcesz - mówi młodociany milicjant, dzisiaj pewnie ZOMO - wiec.

- Ale ja przynajmniej nie muszę walić ludzi po głowach - odpowiada żołnierz.

- Co, jak dostaniesz kamieniem w głowę od robola, to zobaczysz, jak będziesz w nich napierdalał - zamyka kwestię milicjant.

Dusžno, albo uciec stąd, albo się napić. Ta myśl, żeby się zalać, urznąć w trupa jakże często nas nachodziła. Takie picie nie samobójca. Polak pije, pije coraz bardziej, ale dlaczego, dlaczego... W tym tygłu, jak zauważyłem, alkohol stawał się normą, on rozgrzeszał, otwierał różne furtki. Podobnego sposobu nie spotkałem w życiu cywilnym, gdzie miejsce picia jest nieważna, zakąska - niepotrzebna, skoro jest papieros, rozmowy, toasty też niepotrzebne, skoro każdy o swoim myśli i jeszcze o tym, czy staroży wódki, aby chociaż na chwilę wyłączyć się - nie myśleć, zasnąć.

Z hasła na tablicach:

"Naszą ambicją jest trafić pierwszym pociskiem w środek celu".

VI. 10.05.1982 r. - 148 dzień stanu wojennego

Przyszła wreszcie kolej mojego wyjazdu. Otrzymałem trzydniowy urlop. Wyjazd był do końca niepewny, był to przełom kwietnia i maja, obawiano się kolejnych zająć ulicznych. Jednak udało się. Na odjeźdnym szef kompanii instruuje, abym nie wdawał się w rozmowy z osobami cywilnymi w pociągach, na ulicach, abym nie reagował na słowne zaczepki - "bo wiecie, mundur ostatecznie jest niepopularny", abym podczas urlopu głównie siedział w domu. Jechałem w pociągu wśród milczących ludzi - jakże innych od tych, z którymi prowadziłem rozmowy jeszcze podczas poprzednich wyjazdów. Wreszcie dojechałem do Wąrzawy i trudno mi oddać wrażenie, jakiego doznałem stojąc w okolicy Pomnika Powstańców Warszawskich, zaś z boku pełno było samochodów i mundurów milicyjnych. Nie do wiary, oni tam, na tym historycznym placu, mieszkali w hotelu. Kiedy po południu chciałem wyjść z domu, wystraszona matka zatrzymywała i ostrzegała - nie wychodź, będzie gorąco, na Starym Mieście szykuje się kocioł, pełno uzbrojonych po zęby ZOMO - wołów. Wyszedłem, oglądałem rozpadanie tłumów, słuchałem staruszka w okolicy Kościoła Sw. Anny, który trzymając mnie kurczowo za rękaw krzyczał do ucha - Panie, to Belfast, nie idź pan na Starówkę, tam walą ludzi wychodzących z kościoła, panie, ja już nie mogę, to za wiele dla mnie, wie pan, gdybym miał karabin, nie zawahałbym się ani chwili.

Stułałem go wciągając, że musi zrzucić z siebie ten balast myśli związanych z obserwowaną sytuacją. Szedłem dalej, już coraz mniej kontrolując siebie. Moje miasto, moje nadzieje. W okolicach przystanku tramwajowego akurat rozganiiali tłum, wyciągając do "bud" ludzi, najczęściej w młodym wieku. Bili ich po głowach na oczach innych. I ten obraz zomowca, który w klasycznym przykłęku strzela oburącz z rakiety do uciekającego torowiskiem młodego człowieka z teczką. Wówczas nie wytrzymałem, krzyżąc z daleka - nie strzelaj. Krzyk utonął w zgłębku, huku wystrzelanych rakiet, pe-tard, ślepych pocisków, okrzyków "gestapo, gestapo..." Stałem oniemiały, gdzie później byłem, co widziałem przed przejściem nocą do domu? Nic nie pamiętam, prócz widoku przepływającej wody w Wiśle, więc i tam musiałem zająć.

Rano następnego dnia, kiedy zostałem sam w mieszkaniu, wyszedłem ponownie, aby jeszcze raz odwiedzić wczorajsze trasy "spaceru", aby przeanalizować i usystematyzować rozproszone obrazy. Po wydarzeniach ani śladu - ponoć jest tradycją, że po każdym rozruchach pozostawia się po starciach są nocą natychmiast sprzątane przez specjalne grupy. Kim są ci sprzątajacy - chyba więźniami, ale to informacje pośrednie. W trakcie obchodu wszedłem do Katedry św. Jana, w której akurat rozpoczęła się cicha msza. Sprawy religii, czynnego uczestnictwa w nabożeństwach często wracały w rozmowach, dążeniach do wyjść na miasto. Szczególnie walczyli o możliwość uczestnictwa w niedzielnych nabożeństwach koledzy pochodzący ze wsi, tam tradycje religijne były bardziej zakorzenione. Przed stanem wojennym trudności w zdobywaniu przepustek sprawiały, że najczęściej nie było specjalnej potrzeby, ona zamierała na rzecz chęci odespania zaległości tygodniowych, wynudzania się. Dopiero w stanie wojennym, chyba głównie przez poczucie zamknięcia jak i przez brak jakichkolwiek możliwości obrony swoich racji, swojego honoru, jak i z tego prostego względu, że zakaz istniał sankcjonowany paragrafami, bunt i potrzeby zaczęły ujawniać się w najprzeróżniejszych formach do wspólnych wieczornych modlitw w salach włączmie, gdzie już nikt nie ukrywał tego, że miał i ma medalik, krzyżyk, różaniec czy księżeczkę do nabożeństw. Msza w Warszawie przymiosła mi dużo uspokojenia.

Z napisów na ławkach:

"Chroń ty Polski Panie Boże,
bo rezerwa już nie może".

VII.. 21.06.1982 r. - 190 dni stanu wojennego

Z założenia nie chciałem pisać o mechanizmach ujemnych, jakie pojawiają się w kontaktach między nami, jednak dla pełni obrazu, poświęć tej sprawie trochę miejsca., tym bardziej, że coraz bliższy stawał się dzień wyjścia do cywila mojego poboru, już trochę ponad 4 miesiące. Kiedy skończył się mój okres pierwszy/kot/ mogłem już zacząć rozmawiać ze starszymi służbą późniejszymi. Mogłem jako "Wicek", a obecnie "Rezerwista" popuścić dopinacz buta o dwie dziurki, mogłem nosić pas popuszczony niżej, mogłem ja teraz "gonić młode wojsko", czyli tych, co przybyli po mnie.. Zawsze miałem opory, które nasiliły się w stanie wojennym. Dlaczego tak jest, że starci odgrywiają się na młodszych służbą, dlaczego dochodzi do przypadków znęcania się? W odpowiedzi słyszałem najczęściej, że "jeżeli mnie na początku gonili, musiałem robić co im się zachciało, to dlaczego ja nie mam "młodemu" dać w dupę, niech wie, jaki ma smak wojsko polskie". Cały ten cyrk zaczynał się na dobre, kiedy o godz. 15 kadra opuszczają teren kompanii. Zaczynała wadać całym kompanijam dobrodziejstwem inwentarza rezerwa. Zbiórki, bie-

ganie po papierosy, ścielenie rozwalonych łóżek, bieganie do kani-
tyny po papierosy, bułkę, oranżadę, po znaczek pocztowy, przesy-
pywanie węgla za dwóch, gdyż "pan rezerwista nie może się prze-
męczyć", pranie skarpetek, gaszenie światła przez dmuchanie w
lampę, noszenie w pozycji klęczącej z papierem w zębach rezerwi-
sty do ubikacji, trzymanie miski pełnej wody nad głową tak długo
aż przez drżenie rąk wylewała się na trzymającego. Wszyscy więc
mieli zajęcia - jedni gonili, drudzy byli gonieni. Wojsko się nie
doszczepało, stąd cicha akceptacja tego stanu przez kadrę, zresztą do-
nosicielstwo było bardzo ostro tępiące między nami. Kadry było
z tym wygodniej, gdyż sami nie musieli się wysilać, dopiero jak
któryś z żołnierzy /młodych/ strzelił sobie w głowę, okaleczył sie-
bie lub innych, rozpoczyna się krótkotrwała afera, gdyż trzeba
jakoś sprawę zatuszować, aby nie stracić punktów w absurdalnych
rywalizacjach międzykompaniowych, batalionowych, pułkowych i czor-
wie jakich jeszcze. Przypadku śmiertelnie trudniej zatuszować,
wszystkie inne to drobnostka, trzeba tylko wybrać najstosowniej-
szą z możliwych w raporcie, albo w rozmowie na ucho i "afera" wy-
gasa. A sytuacja żołnierza - przecież do wesela się zagoi.

Na wszelkie tłumaczenia typu: "nie róbmy tego, bo przecież
jedziemy na takim samym wózku", odpowiedź pada zawsze ta sama, -
ja kurwa w dupę dostawałem, więc niech i młodzi dostaną. Okrąg
zamknięty. Stan wojenny nic tu nie zmienił, nic nie uświadomił,
a często jeszcze bardziej przez nudę tak jak i przez niepewność
odnośnie dnia wyjścia do cywila tych, którzy już przekroczyli
termin służby, nasilił absurdalne, często zwierzące zachowania,
jakie występowały między nami. Aż ciarki przechodzą widząc zacię-
te oczy niektórych w chwili wydawania rozkazów, uśmiech i zacię-
te zęby wtedy, gdy dano im władzę, a ograniczono rozum i my-
ślenie, kiedy władzę daje się ludziom starym i niekontrolującym
swoje zachowania. Strach ogarnia i przerażenie. Dotyczy to i ka-
dry zawodowej, a przecież najpełniejszy przykład dają specjalne
oddziały do walki z ulicą.

Hasła z tablic i plakatów

"Czym zbrojny Ludowy Wojska Polskiego - najchlubniejszą
kartą w dziejach oręża polskiego".

VIII. 4.10.1982 r. - 295 dzień stanu wojennego.

Zbliżał się koniec mojej służby. Wyjeżdżałem do wojska w pa-
ździerniku, teraz opadające liście z drzew i przelatujące na Za-
chód klucze dzikich gęsi sygnalizowały bliski powrót do domu. Mi-
chód ponad siedemset dni spędzonych w koszarach. Nie było we mnie
wielu myśli, zagościła obojętność, nie planowałem jak koledzy,
nie chciałem przeżywać stresów, jakie przeżywali koledzy przede
mną, kiedy dowiadawali się, że przedkłada im się służbę wojskową
na czas nieokreślony. Już choćby fakt, że w poprzednim roku nie
wypuszczono w październiku tamtego poboru, że nie powołano wów-
czas następnego, mógł dawać wiele do myślenia. Jest to jeden z
kolejnych dowodów na tezę, że wprowadzenie stanu wojennego poprze-
dziły długie przygotowania na szczeblu sztabowym, a tym samym po-
sunięcia rządowe z ostatnich miesięcy przed wprowadzeniem stanu
wojennego mogły być ezeregiem przemyślanych prowokacji, aby zna-
leźć argumenty, na mydlenie ludziom oczu o konieczności tego po-
sunięcia.

Wszystko w tym czasie stawało się płynne, nawet rygory stanu
wojennego rozplywały się w poczuciu fikcji. Oo chwila przychodziły
rozkazy z centrali - utrzymać dyscyplinę, utrzymać porządek...

Po paru dniach sytuacja wracała do poprzedniego stanu. Jedynymi momentami, kiedy zaczynał się ruch, były dni planowanych w miastach manifestacji ulicznych, a więc 13 każdego miesiąca, 31 sierpnia, czyli rocznica strajków na Wybrzeżu. Te zbiórki, apele przyjmowane były z coraz większą nutą ironii. Marazm opanował wszystkich.

Podczas mojego ostatniego pobytu w wojsku nad placem unosiła się zimna mgła. Dowódca dziękował nam - odchodzącym do cywila za to, że dobrze przysłużyliśmy się ojczyźnie i że ona nam tego nie zapomni.

Warszawa: listopad - grudzień, 1982 r.

Wideo w Bułgarii

W Bułgarii jest już zarejestrowanych ponad 80 tys. aparatów wideo, będących własnością prywatną. Świadczy to o rosnącej zamożności społeczeństwa, bowiem przemysł bułgarski nie produkuje — jak dotąd — tego rodzaju aparatury i można ją nabyć jedynie w tutejszych „Pewexach”, czyli „Korekomach”, za minimum 700 dolarów. Kosztowne są też kasety. Ich cena w „Korekomach” wynosi co najmniej 17 dolarów. Jak się można domyśleć — kasety te prezentują filmy nie mające wiele wspólnego z twórczością artystyczną. (W.Z.)

Z HISTORII PISARZY (...)

Stanisław Notecki

Postać

/o Lechu Bądkowskim/

Był 29 sierpnia 1980 roku. Piętnasty dzień strajku. Zebrane na sali BHP gdańskiej stoczni delegacje trójmiejskich załóg ko-
rzystały z przerwy spowodowanej oczekiwaniem na przyjazd przedsta-
wicieli rządu. Pełna nerwowego napięcia chwile: przyjadą czy
też nie przyjadą? W pewnym momencie w kolejce po kubek herbaty
zauważyłem Lecha Bądkowskiego. Był zmęczony. Jego raczej wąta,
już wówczas chorobą przychyłona postać wydawała mi się jednocze-
śnie pełna jakiejś niezwykłej odświętności. Oparty na lasce
dziersko wyprostowywał się, gdy ktoś podchodził, czy to po pol-
sku, czy po angielsku pytając o najświeższe wiadomości. Odpowia-
dał niespiesznie, jakby samą intonacją dając do zrozumienia, że
tu idzie nie o nerwy, ale o zasady. W chwilach niepewności po-
prawiał krawat z kaszubska wyszywanką, w którym starym zwyozą-
jem połyskiwała srebrna epinka.

Był tu - bo nie mógł być gdzie indziej; to była naturalna
konsekwencja jego wcześniejszej postawy i przemyśleń. Od pięciu
dni pełnił funkcję rzecznika prasowego strajku. Wcześniej zapro-
szono Go do Prezydium MKS-u. W czasie dramatycznych rozmów z
przedstawicielami rządu spokojnie i rzeczowo negocjował punkt
dotyczący cenzury. Obok kwestii wolnych związków zawodowych uwa-
żał go za sprawę zasadniczą dla odnowy kraju. Mówił w oparciu
o konstytucyjne zasady i praktykę władzy. Te dwie optyki: poczucie
realności oraz pamięć zlekceważonych nadziei tworzyły zaw-
sze, jak pamiętam, ten niepowtarzalny obszar napięć każdej Jego
wypowiedzi.

Jako pisarz, autor przeszło trzydziestu wydanych książek,
a także inspirator wielu wydawniczych przedsięwzięć, miał szcze-
gólnie powody, aby być wyczulonym na sprawę cenzorskich ograniczeń.
To właśnie On i Róża Ostrowska byli szczególnie zajadle atakowa-
ni za publiczny sprzeciw wobec odsądzania od czci i wiary kryty-
cznie myślących kolegów- literatów oraz protestujących studentów
w marcu 1968 roku. Sprawy społeczeństwa samorządowego, kwestia od-
blokowania konkurencyjnych racji, zdjęcia z narodu coraz bardziej
dającego znać o sobie odium bezwolności nurtowały Bądkowskiego
zarówno jako twórcę jak i działacza.

Głównym terenem Jego społecznej aktywności było Zrzezenie
Kaszubsko-Pomorskie, które chciał widzieć jako swoisty wzór spo-
łeczności samoorganizującej się dla realizowania patriotycznych,
moralnych, a nawet gospodarczych celów. Prowadził dla tej sprawy
swoją dyplomację, która nie zawsze zyskiwała aprobatę nawet wśród
osób skądinąd Mu życzliwych. Potrafił tu być nawet spodyktyczny,
lecz efekt Jego pracy, tak jak on nam się dzisiaj odśladania, wyci-
sza tamte stare uchybienia i animozje. Myślę, że to, co zrobił.

będzie jedną z symbolicznych dróg Polaka działającego. W niewielkiej książeczce zatytułowanej "Rozmyślania o Ceynowie" /1981/ wyłożył swoje obywatelskie zasady:

"Pierwsza - trzeba mieć odwagę głoszenia własnych poglądów, także wtedy, gdy wymaga to przeciwstawienia się czynnikom sprawującym władzę i okolicznościom, a także własnemu społeczeństwu.

Druga - trzeba osiągnąć wytrwałość w dobijaniu się o zrozumienie nie i poparcie dla swego stanowiska, gdy jest ono niepopularne i powszechnie odrzucone.

Trzecia - trzeba wyciągać wnioski z własnych niedostatków i błędów, przewyższając je; jest to, że tak powiem, refleksja negatywna w odniesieniu do Ceynowy, on bowiem nie umiał, o ile nam wiadomo, spojrzeć na siebie krytycznie oraz przystosować środki działania do warunków".

Z pisarstwa Bądkowskiego najcenniejszą częścią pozostaje dla mnie Jego publicystyka i eseistyka historyczna. W tych dziedzinach literatury najpełniej wypowiedała się Jego osobowość, wola patriotycznego działania, znakomita pamięć przeszłości i szacunek dla konkretnego. Z tych pierwiastków zbudowane jest to, co najżywsze w Jego pisarskiej twórczości, której korona, jak sądzę, stanowi "Odwrośca kotwica", książka wydana w 1976 roku.

Nie tak dawno ukazała się wreszcie "Huśtawka" /Olsztyn 1984/ powieść ukończona przed przeszło dwudziestu laty, która tak długo nie mogła znaleźć wydawcy. Przeczytawszy ją, dotkliwie straszoną przez cenzurę /z zaznaczeniem jednak jej ingerencji, o co tak uparcie walczył Bądkowski/, raczej utwierdziłem się w dawniej poczynionej obserwacji, iż jej Autor nie był rasowym prozaikiem; brak tej powieści narracyjnej potoczności. Bądkowski opisywał zdarzenia - miał pisać zdarzeniami. Życie jest tu jakby doklejone do głównej idei utworu, którą jest zarysowanie możliwych dróg odzyskania czy poszerzenia wolności. Jedną z nich reprezentuje Bernard, członek partii, redaktor rządowego dziennika, który w połowie lat pięćdziesiątych, obserwując jaskrawe nadużycia władzy, usiłuje reformować system od wewnątrz. Drugą ideę wnosi postać Ludwika, który po powrocie do kraju będzie próbował kontynuować myśl polityczną choćby londyńskiego. W czasie rozmowy z Bernardem powiada:

"Otóż trzeba ludzi, może w najgorszym wypadku łańcuszka pokoleń, którzy przez tę epokę nieznaną długości potrafią przynieść iskrę światła. Nie można jej ukazywać, bo zoduszą. Trzeba przenosić w sobie i jak pałeczkę sztafety przekazywać innym, zaufanym, zwłaszcza młodym, młodym na pierwszym miejscu. Niech podawają dalej".

Jak można się domyśleć, to było credo Bądkowskiego, któremu był wierny na wszystkich polach swej działalności. Sam nie kulturował ostrych przedziałów między pisarstwem a robotą społeczną; tu i tam starał się być tym, który wnosi określoną ideę. W jednym z wywiadów oświadczył:

"Jest tradycją pisarstwa polskiego, uwarunkowaną historią ostatnich paruset lat, że stanowi czynnik nie tylko artystyczny, lecz także, krótko mówiąc, polityczny. Nie wiem, na ile ten drugi szkodzi pierwszemu, może zresztą nie szkodzi, może jakieś szkody nagradza innymi zyskami, ale jest naszemu społeczeństwu niezbędnym".

Jego aktywny, jakże twórczy udział w Sierpniu 1980 roku był ukoronowaniem powyższego stanowiska. Kiedym podeszedł do Niego, gdy stał w kolejce na stoczniowej sali, by zapytać, jak się czuje, odrzekł: "Jak widzisz - kwitną". W tej odpowiedzi, po trosze aut

...rdnioznej, jarzyło się zarazem jakieś poczucie sukcesu. Wsz-
stko, co czynił potem: jako rzecznik prasowy Solidarności, na-
czelny redaktor "Samorządności" goszczącej na łamach "Dziennik
Baltyckiego", a następnie samodzielnego tygodnika "Samorządnoś-
było dramatycznym poszukiwaniem dróg wyjścia z coraz wyraźniej
zarysowującego się konfliktu między władzą a nowym ruchem społec-
tecznym. Dziś, przeglądając Jego wypowiedzi zgromadzone w 7 nu-
merze "Pomeranii" z 1981 roku, widać, jak trafne były Jego dia-
gnozy, jak precyzyjnie przewidział zagrożenia, ale i ~~z~~razem ra-
jeszcze okazało się, jak szybko lekceważyliśmy ostrożne słowa i
perspektywę żmudnych, choć może nieefektywnych działań.

On, który czynnie brał udział we wrzesniowej bitwie nad
Bzurą, potem w bitwie o Narwik, w lądowaniu wojsk alianckich
w Bretanii, traktował swe piarstwo jako jeszcze jedną z dłu-
gich walk o duszę narodu. W powojennych dziejach Polski uważał
Sierpień za bitwę przełomową. Jej ideałom pozostał wierny do
końca. Pogrzeb Lecha Bądkowskiego 28 lutego 1984 roku zgroma-
dził rzesze ludzi, którzy swoim przybyciem najgłębiej potwier-
dzili to, czym Ten, którego odprowadzali na miejsce wiecznego
spoczynku, zawsze się kierował: przeświadczenie, że twórczo,
odważne życie nie może być klęską.

Stanisław Notecki

Lech Bądkowski O cenzurze

Wypowiedz w trzeciej rundzie rozmów między MKS a komisją rzą-
dową, Stocznia Gdańska, 28 sierpnia 1980 r.)

WAŁESA: Trzeci punkt. Proszę, aby omówił pan Bądkoweki.

BĄDKOWSKI: Punkt trzeci ma brzmienie następujące: "Przestrzegać
zagwarantowaną w Konstytucji PRL wolność słowa, druku i publika-
cji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz
udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli różnych
wyznań". Punkt jest sformułowany krótko, ale rozumiemy, o co
chodzi. Tym niemniej oczywiście, panie premierze, panowie, trzeba
sprawę omówić tutaj szerzej, ażeby była jasność, czego Międzyzaka-
ładowy Komitet Strajkowy domaga się i co chce uzyskać. Wyobra-
żam sobie, że precyzją tych przyszłych punktów wymaga jeszcze
osobnego opracowania. Natomiast tu chciałbym przedstawić pewne
zasady: są w dalszym ciągu restrykcje informacji, które sprawia-
ją, że kraj wie bardzo niewiele o głębokich dyskusjach, o wielo-
stronnym traktowaniu spraw przez robotników samorzutnie zrzeszo-
nych w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym z siedzibą w Sto-
czni Gdańskiej. Ilustruję na konkretnym wydarzeniu, którego je-
steśmy świadkami i uczestnikami, zasadność punktu trzeciego zgło-
szonego przez strajkujące załogi.

Chciałbym tutaj powołać się na źródło, które może wywołać
pewne zdziwienie. Mianowicie powołam się, przypomnę tutaj frag-
ment sławnego swego czasu przemówienia Władysława Gomułki na
VIII plenum Komitetu Centralnego PZPR w roku 1956, czyli bez ma-
ła 24 lata temu. Fragmenty tylko, ale one oczywiście nie są

wyrwane z kontekstu. Cytuję: "Wiele zła było w tych latach. opuścizna, jaka ten okres pozostawił po sobie partii, klasie robotniczej i narodowi jest w niektórych dziedzinach życia więcej niż zatrważająca". Inny przykład, cytat konkretnie dotyczący jednego z kompleksu tematów omówionych przez nas: "Kosztami wielkich nakładów inwestycyjnych zbudowaliśmy Fabrykę Samochodów Osobowych na Żeraniu. Powstał nowy zakład produkcyjny, który przy niewspółmiernie wysokich kosztach produkcji wypuszcza niskie ilości samochodów starego typu, pożerających dużo paliwa, takich, jakich chyba dzisiaj nikt już 'na świecie nie produkuje". W wielu sprawach dobrze nam znanych te słowa o znacznie szerszym zakresie są aktualne również i dzisiaj. Inny cytat, jakżeż bardzo charakterystyczny: "Na rozbudowę przemysłu zaciągnęliśmy poważne kredyty inwestycyjne. A kiedy nadeszły terminy spłat pierwszych rat, znaleźliśmy się w położeniu niewypłacalnego bankruta. Trzeba było zwracać się do wierzycieli o moratorium. Kierownicy naszej gospodarki narodowej nie potrafili widocznie pojąć tego prostego faktu, że tak należy gospodarzyć kredytami, tzn. tak je inwestować, aby w ustalonych terminach spłacać wierzycielom przy pomocy wytworzonej tymi kredytami produkcji". Inny cytat: "Saldo naszego bilansu w planie pięcioletnim zamyka się poważnym deficytem, mimo udzielonego nam moratorium i odłożeniu do następnej pięcioletki spłaty połowy przypadającej na obecną pięcioletkę". Inny przykład i inny cytat: "... a Komitet Centralny partii nie zdobył się na to, by przynajmniej wyciągnąć konsekwencje w stosunku do ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten stan rzeczy". Nie chcę cytatów tu mnożyć, tylko jeszcze zaledwie parę. Nieco z innej dziedziny, ale również, w dalszym ciągu, charakterystyczne dla naszej sytuacji: "Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów". Z taką nieudolną próbą spotkaliśmy się również na początku obecnych wydarzeń. Historia nasza ma tę tendencję do cyklicznego powtarzania się w tych miejscach, które są właśnie najgorsze. Inny cytat, już przedostatni: "Wybory zostaną przeprowadzone w oparciu o nową ordynację wyborczą, która pozwala ludziom wybierać, a nie tylko głosować". I wreszcie cytat ostatni: "Przed prawdą uciec nie można. Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka".

Jeżeli pozwoliłem sobie uciec się do cytatów dawnego przywódcy - męża stanu, polityka, to dlatego, żeby zilustrować, w jakim stopniu te słowa, niezależnie od tego, kto je wypowiedział w roku pięćdziesiątym szóstym, stały się aktualne później w roku siedemdziesiątym, stały się aktualne teraz. Na początku bieżących wydarzeń próbowano robotników strajkujących spychać w kierunku dyskusji czysto płacowo-bytowych. Ale są oni pełnoprawnymi obywatelami i wielkim głosem domagają się tych pełnych praw. Stąd żądanie prawdziwych, samorządnych związków zawodowych. Stąd także żądanie autentycznej regulacji kontroli prasy, publikacji i wydawnictw, po prostu zwanej cenzurą. A u nas jest to do tego cenzura przewencyjna. O stopniu dojrzałości i odpowiedzialności robotników zrzeszonych w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym świadczy, że zwrócili się do grona wybitnych ludzi nauki z prośbą o udzielenie im pomocy w uściśleniu żywnicych przez nich przekonań. Jest to dobitny i - nie waham się użyć tego słowa - piękny przykład autentycznej żywotności zasady, tak często sprowadzanej do frazesu, mianowicie zasady więzi wewnątrzspołecznej

między robotnikami i inteligencją. W tych trudnych dniach cieszymy się z tego bijącego w oczy faktu, ponieważ wprowadza on element nadziei na porozumienie, na uzyskanie takiego wyniku rokowań, który nie tylko będzie do przyjęcia dla obu stron, ale także będzie, musi być z korzyścią dla naszego narodu.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, panie przewodniczący i panowie, że regulacja kontroli prasy, publikacji i widowisk czyli krótko mówiąc cenzury, musi być rozważna. Będzie ona się mieścić w systemie prawnym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przestrzegając dwóch kardynalnych zasad; po pierwsze - ochrony fundamentalnego bezpieczeństwa państwa, po drugie - miejsca Polski w układzie międzynarodowym. Bez żadnej wątpliwości mowa będzie o tym szczególnie w toku dyskusji. Tu tylko podkreślam z całym naciskiem, że my, ludzie zrzeszeni w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, w pełni rozumiemy interesy bezpieczeństwa Polski i trwałość jej sojuszków, a więc i siły obronnej Układu Warszawskiego.

Tutaj musimy postawić zagadnienie wydawnictw określanych niezależnie lub poza zasięgiem cenzury. Chodzi o to, aby znaleźć sposób na wykonywanie konstytucyjnie zagwarantowanego prawa obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zarówno do czynienia publicznymi swoich poglądów, jak i do wydawania książek i czasopism. Również w tym zakresie mieszczą się wzmiankowane, wymienione chciałem powiedzieć, w punkcie trzecim prawa obywateli wierzących, którzy stanowią większość, zapewne przeważającą większość obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Na zakończenie chcę wrócić do początku. Mianowicie chcę raz jeszcze powtórzyć, że robotnicy zrzeszeni w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym są pełnoprawnymi obywatelami i wielkim głosem domagają się dla siebie pełnych praw obywatelskich.
Dziękuję. /oklaski/

(Dokończenie na str. 2)

Jubileusz 67-lecia Armii

Wczoraj w telewizji Emigracyjna rzeczywistość

W ciągu dwóch kolejnych...

WŁADZA SŁOWA

Fragment o przemówieniu Władzy

Jedyny przymus, jakiemu Władza podlega, to konieczność nieprzerwanej produktywności językowej.

Władza musi mówić, nie może sobie pozwolić na milczenie. Słowa, których nigdy nam nie skąpi, są znakami jej złowrogiej obecności, jej uporczywego trwania w przestrzeni społecznej wymiany. Mówienie i panowanie zlewają się w jedną formację. Mówiąc Władza osiąga i utwierdza swą nie tylko językową zwierzchność nad tymi, którzy zobowiązani zostali do słuchania i posłuszeństwa. Milczenie a nawet przypadkowe i krótkotrwałe zamknięcie mogłoby łatwo zachwiać istniejącym porządkiem, zwiastowałyby kres Władzy. I byłoby w istocie początkiem jej końca, gdyby - prócz języka - nie posiadała ona sił przymusu bezpośredniego, które zawsze, gdy zajdzie potrzeba, przywracają jej słowom należne miejsce.

Czysto językowa wojna, jaka rozpoczęła się w sierpniu 1980 roku i trwała przez prawie cały 1981, stopniowo pozbawiała Władzę głosu. Jej byt wydawał się zagrożony jak nigdy dotąd. Każda powielaczowa gazetka, każdy nowy plakat czy napis na murze, każda ulotka zapowiadała jej zbieranie. Władza, choć przecież nadal mówiła - i mówiła coraz więcej i coraz bardziej gorączkowo - przestała być słuchana. Nie tylko dlatego, że niechętnie s ł u c h a n o tego, co miała do powiedzenia. Prawie nikt nie był jej p o s ł u s z n y. Nie utraciła wówczas głosu, więc nadal istniała. Utraciła natomiast społeczny posłuch. Społeczeństwo, świętujące wolność słowa i mówienia, praktykujące tę wolność ponad miarę i tym sposobem "dochodzące do władzy", wołało raczej wsłuchiwać się w swój własny głos - głos, który na nowo organizował byt społeczny. Władza nazwie to później "demontażem socjalizmu", "rozkładem państwa", "anarchią". Teraz jednak, gdy staje się jasne, że w wojnie językowej nie nastąpi żaden korzystny dla niej zwrot, sięga po siły przymusu bezpośredniego. Ostatnim słowem w tej wojnie - wszczynana nim i n n a wojnę - jest Rozkaz. Tym razem nie oczekuje już na odzew, na odpowiedź, nie pragnie, jak wcześniej to określała: "odnawiać dialogu społeczeństwa". Żąda działań od jednych, milczenia od innych. Wprowadza stan wojenny, by tym sposobem przywrócić swym słowom utraconą moc.

I już w chwilę później, nim rozkaz został do końca spełniony, powraca do słowa. Stan wojenny rozpoczyna od Przemówienia.

I powtarza je wielokrotnie. Najpierw co godzinę w radiu, w telewizji, później we wszystkich pozostawionych przy głosie gazetach. Przez długi czas przestrzeń mówienia w Polsce wypełniały tylko słowa Władzy. Powtarzane słowa i muzyka klasyczna. Nie zagłuszył tych słów krzyk rozpaczy siłą zmuszanego do milczenia społeczeństwa. Więc Władza mówiła.

"Obywatele i obywatelki Polski Rzeczypospolitej Ludowej!

Zwracam się dziś do Was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do Was w sprawach wagi najwyższej.

Ojczyzna znalazła się nad przepaścią. ... "

I dalej o rozpadzie państwa - jej państwa, o anarchii w życiu politycznym i gospodarczym, o fali przestępstw, o bliskości

... ogólnonarodowej katastrofy, której ona, Władza, próbowała uniknąć dążąc do porozumienia narodowego. Niestety -

"Przy wspólnym stole zabrakło kierownictwa "Solidarność". Słowa wypowiedziane w Radomiu, obrady w Gdańsku odstąpiły bez reszty prawdziwe zamiary jej przywódczych kręgów. ..."

Te "słowa", te "obrad", te "zamiary" - Władza nie mogła ich tolerować. Wybierając "mniejsze zło", mówiła:

"Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojkowa Rada Ocalenia Narodowego.

Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju".

I w zdaniu następnym:

"Chcę, aby wszyscy zrozumieli motywy i cele naszego działania ..."

Przemówienie obwieszczające stan wojenny nie było konieczne. Władza, która używa siły, nie musi powiadamiać, że używa siły. Wystarczająco wiele mówi obecność wojska w miastach, czółgi w strategicznie ważnych punktach, wystarczająco donośne są odgłosy walk ulicznych, ataki sił zbrojnych na kopalnie i stocznie. To Przemówienie nic więc w istocie nowego nie powiedziało a jego perswazyjny zamiar był, bo musiał być chybnym. Nie na wiele zda się uzasadnienie przemocy wobec tych, którzy jej ulegają.

Władza przemówiła. Oto sens jej pierwszego Przemówienia.

A przemówiła po to, by obwieścić zmuszanemu do milczenia społeczeństwu, iż dręcząca ją przez ostatnie miesiące, tak bardzo wstydliva nieemoc słowa została właśnie przez zwinność. Nie była tkwiącymi w mowie, lecz siłą militarną, która wyciszyła przestrzeń społecznej ekspresji.

Przemawiając w tej ciszy - ciszy śmiertelnej, oiszy okupionej krwią, cudzą krwią - Władza utwierdzała swą wyłączność w panowaniu słowem. Stan wojenny, który odebrał społeczeństwu prawo głosu, położył kres wojnie językowej /ale tylko na pewien czas, strumiczny żywioł społeczny prędko odnalazł odmienne formy artykulacji - niejawnej, podziemnej/. Pierwszego dnia Władza mogła jednak mówić do woli i bez żadnych ograniczeń. Na ulicach stało wojsko. Władza nie napotykała na opór cudzego słowa. Te, którymi przemówiła, zyskały blask jedynej prawdy.

Adam Marczyński

Dewastacja myśli

[...] szepnęła do mnie myśl ostrożna:
 "Patrz!... o t o i Ruinę nawet p o p s u ć
 m o ż n a!" A jam jej odpowiedział:

"... Zaprawdę - Ruina
 Jest c a ł o ś c i ą! ...

... I nową twórczość odpoczywa."
 A patrząc dłużej rzekłem:

"... Jest! kres taki, który
 Nie Ruiny już tycze, lecz - architektury!"

I pccząłem się w duchu tą myślą dziwować:
 "S z c z e g ó l n i e j s z a?!... ż e m o ż n a Ruinę
 z e p s o w a ć!..."

/Cyprian Norwid: Rzecz o wolności słowa/

... STAN WODY GŁÓWNYCH RZEK POLSKICH...

Istniał onegdaj wśród plemion wojowniczych zwyczaj szcze-
 gólny: gród lub osadę, które nazbyt długo opierały się najeżdż-
 com, równano z ziemią, ziemię zaś posypywano solą, by ostatecz-
 nie pozbawić ją życiodajnych właściwości. Wszelako z czasem zan-
 niechano tego procederu, przede wszystkim ze względów ekonomicz-
 nych. Ludności, nawet wrogiej, już nie wycinano w pień, by nie
 pozbawiać się taniej siły roboczej, w miejsce masowych rzezi
 wprowadzono pokazowe egzekucje. Zaoraną ziemię nauczono się wy-
 korzystywać praktycznie: chociażby pod zasiew roślin pastewnych,
 służących także jako pożywienie dla niewolników. Okazało się
 również, że nie warto burzyć wszystkich budowli, okazało się
 służyć z powodzeniem nowym celom, co więcej, ich dawny status
 oddawał nieocenione usługi zdobywcom. Oto wyobraźmy sobie /che-
 ciał z przykład niezbyt fortunny/, iż człowiek udaje się do
 świątyni, do której uczęszczali jego przodkowie, a w jej wnętrzu
 maptyka muzeum ateizmu. Powracał będzie do tego budynku wielo-
 krótnie poszukując śladów minionej przeszłości, a przy okazji,
 mimowolnie, nasiąknie nowymi ideami. Jego syn, któremu - być
 może - nie zdoła już przekazać kilku legend, baśni i marzeń, na-
 uczy się uczęszczać do tego tak roztropnie ocalonego budynku, po
 to chociażby, by spotkać się z rówieśnikami. Z czasem dawną
 świątynię przekształcić można w ośrodek całkiem nowego kultu - a
 jaka przy tym oszczędność kosztów własnych. Jednocześnie nie
 trzeba się głowić nad nowymi rozwiązaniami architektonicznymi,
 szczególnie jeżeli dawne posiadają pewien, oczywiście naukowc wy-
 tłumaczalny, urok. Barbarzyńcy nauczyli się myśleć perspektywicz-
 nie, tak tylko liczyć mogą na zaliczenie ich do narodów cywili-
 zowanych, rozmaite doraźne akcje likwidacji przesądów niestety
 nie spełniły pokładanych w nich nadziei. A jednym z najważniejs-
 zych zadań jest w dalszym ciągu zagwarantowanie wrażenie względ-
 nej równowagi.

Codziennie od lat, tuż przed sygnałem czasu i hejnałem z

Wiszy Mariackiej /jak gdyby taki twór wogóle istniał w Krakowie, jak gdyby nie był to po prostu fragment Kościoła Mariackiego/ nadawany jest komunikat, z którego wszyscy dowiedzieć się mogą, że - jeżeli we Włodawie nad Bugiem ubyto trzy, to w Warcie bez zmian, natomiast u ujścia Wisy Kłodzkiej przybyło pięć. Nie ma żadnych powodów do obaw - tę opinię rzeczywistości potwierdza w pełni sama natura.

Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Włodawa...

Lecz nie lekceważmy namiętnego głosu spikera, przekazującego nam tę powszechnie oczekiwaną wiadomość, do której zdążyliśmy się już przyzwyczaić, (jakkż dotkliwie odczulibyśmy jej brak). Uświadamia nam przścież codziennie, że staliśmy się społeczeństwem ludzi patrzących na rzeczywistość realistycznie. Kto inny wstuchiwałby się w szum wody, wypatrywał ryb w toni, albo smutł bezpłodne marzenia. A my nie! My pasjonujemy się wymową liczb, ten bilans oparty jest na ściśle naukowych podstawach. Z wodą nie ma żartów; przeto point de reveries messieurs! Tym bardziej, że to przesłanie o równowadze sił potwierdzają w pełni nasi Wieszczołowie, których twórczość przez wiele lat była odczytywana jakże tendencyjnie. Pokutująca do dnia dzisiejszego jednostronna a niesłuszna interpretacja, zaważyła nie tylko na opłakanym stanie wód głównych rzek polskich. Fakt ten uświadamia jakże wyraźnie książka: Cyprian Kamil Norwid: "Gorzki to chleb jest polskość". Wybór myśli politycznych i społecznych. Wybrał i wstępem opatrzył Jerzy Robert Nowak, Wydawnictwo Literackie Kraków - Wrocław 1984, inicjująca cenne przedsięwzięcie, jakim jest "Seria obywatelska pod redakcją Jerzego Roberta Nowaka i Katarzyny Krzemuskiej". To aż nie do wiary, że tak długo musieliśmy czekać. Aleśmy się doczekali.

Reprodukowany na okładce tej książki orzeł z osasów powstał 12 stycznia 1918 roku /a pochodzący ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie/ sprawa ma odbiorcy dość szczególne wrażenie: niby ma koronę na głowie, a w rzeczywistości jej nie ma. Lecz to kwestia wynikająca z kłopotów, z jakimi mężnie boryka się nasza poligrafia.

Znacznie gorzej jest z Norwidem, którego wybrał i wstępem opatrzył Jerzy Robert Nowak. Są to teksty istotnie napisane przez autora Vade - mecum, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale po przeczytaniu tej książki okazuje się, że niewielkie pojęcie o dorobku Norwida mieli jego dotychczasowi badacze i egzegeci. Nawet Edward Kasperski, który podjął próbę wykazania wyraźnych związków myśli Norwida z myślą Karola Marksa daleki był od prawdy.

Tak długo musieliśmy czekać. Aleśmy się doczekali - warto wiedzieć czegoś, boć to pierwszy tom "Serii obywatelskiej", za nim pójdą inne. A obywatele - przynajmniej ci prawdziwi - za nimi. Natomiast innego - niż proponowany przez Jerzego Roberta Nowaka - Norwida nie powinniśmy w żadnym wypadku tolerować. Nawet jeżeli to wizerunek nieprawdziwy, to przynajmniej słuszny, a pewno zaś praktyczny. Tylko czy aby nie przedczesny? Zbyt wiele to bowiem rewelacji, jeszcze szokujących swą świeżością.

Imponować musi zamieszczona na końcu tomu bibliografia "w a ż n i e j s z y c h" pozycji /jak sygnalizuje skromnie autor wyboru/, które za pomoc tu służyły /jest tu Piechal, jest tu Tischner, są tu prace obcojęzyczne, są wydawane na emigracji, są w zasadzie wszystkie ważniejsze pozycje, opublikowane do roku 1983, poza kilkoma, których nie ma/. Lecz imponować musi przede wszystkim s p o s ó b, w jaki te pozycje zostały wykorzystane przez Jerzego Roberta Nowaka. Wszelako nie bądźmy gołosłowni. Zgodnie z zaleceniami wybitnego znawcy przedmiotu w zakresie

lektury Dzieł Bardzo Doniosłych - Kubusia Puchatka - rzecz całą zacząć należy od samego początku - czyli od "przedmwy".

INNY ŚWIAT, KLAROWNY ŚWIAT

Drugi akapit wprowadzenia do wyboru myśli brzmi:

"Powszechnie znane są skutki "nieodkrycia" na czas Norwida dla rozwoju poezji polskiej. Grzeźnięcie jego rękopisów przez dziesięciolecia wśród starych rupieci przyniosło jednak jeszcze cięższe straty polskiej myśli obywatelskiej, kulturze narodowego myślenia politycznego. Dziś Norwid, stopniowo odkrywany dla potomnych dzięki trudom jego wielkich popularyzatorów: Wiktora Gomulickiego, Zenona Przesmyckiego, Juliusza W. Gomulickiego, jest wreszcie doceniony należycie jako jeden z największych poetów narodowych." /s.5/

Aż chciałoby się "Amen" postawić po tym cytacie, jest to przecież iniejącja w nową rzeczywistość, niejako pozarozumową. Albo inaczej: trzy zdania, a ileż bredni. Wszelako Jerzy Robert Nowak bredzi niesłychanie metodycznie.

Powszechnie znanym faktem jest Nagroda Nobla, którą otrzymał Czesław Miłosz. Także powszechnie znanym faktem jest to, że nie otrzymał jej Stanisław Ryszard Dobrowolski. Przyjmując sposób rozumowania Nowaka, należałoby stwierdzić, iż Zbigniew Herbert nigdy nie napisałby P a n a C o g i t o, gdyby Norwid został "na czas odkryty", Władysław Broniewski nie byłby epigonem romantyzmu, a jakie wspaniałe wiersze pisałby Ernest Bryll, że o Bohdanie Drozdowskim nie wspomnę. Ale Drozdowski Norwida zna wybornie, co udowodnił jako autor scenariusza do filmu D o m ś w. K a z i m i e r z a /filmu, który jakos nie może trafić na ekrany - czyżby ktoś nie potrafił na czas odkryć szczytów sztuki w kreacji Gogolewskiego jako autora V a d e - m e c u m ?/, a pisze jak pisze. Kolejny problem: k t o miał Norwida "odkryć" - przecież wówczas nie istniał jeszcze odradzony Związek Literatów Polskich, nie ukazywał się także almanach D e b i u t y p o e t y c k i e. Jeżeli poezja Norwida była odrzucana przez jego współczesnych, to istniały po temu niebanalne powody - w prymitywnej wizji życia literackiego, jaką tworzy Nowak, nie ma miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. Pewna ilość praó poety była opublikowana za jego życia, jego memoriały dotyczące problemów "polactwa" były znane m.in. Mierosławskiemu, Kraszewskiemu, nawet Hercen był adresatem jego listów, i nawet te teksty znane, niekiedy wysoko oceniane przez odbiorców, bynajmniej nie wpłynęły w jakikolwiek sposób na kształt "polskiej myśli obywatelskiej", na "kulturę narodowego myślenia politycznego". Raczy zapominać Nowak o tym, co niejednokrotnie podkreślano już w opracowaniach Norwidowskiej refleksji: w jego koncepcjach anachronizm sąsiadował bezpośrednio z oryginalnością, zaś głębia myśli z dosłownym dziwactwem.

I wreszcie problem kolejny: całkowicie nie rozumiem, co znaczy zwrot, iż Norwid "jest wreszcie doceniony należycie jako jeden z największych poetów narodowych". Bez wątplenia Norwid jest znany jako autor kilku wierszy, i kilku tekstów do piosenek, śpiewanych m.in. przez Czesława Niemena i Wandę Warską. Przez k o g o zatem jest on "doceniony należycie"? Przed laty wysoko go cenił Zenon Kliszko, a dzisiaj? Na to pytanie wszelako Nowak nie udziela jakiegokolwiek odpowiedzi, stwierdza po prostu fakt. A jest to f a k t n i s p r a w d z i w y.

Cała przedmwa jest w zasadzie zbiorem stwierdzeń nieprawdziwych, bałamutnych i wielce naiwnych. Doprawdy nie wiem, na

jakiej podstawie Nowak pisząc o pobycie poety w Ameryce wprowadza m.in. następującą informację: "Zyż z dorywozycych prac intro-ligatorskich, a później z modelowania sztucznych szcęk z wosku". /s.9/ Norwid "szczękę odartą" modelował dopiero po powrocie z Ameryki w Londynie, o czym donosił w patetycznym liście do Józefa Bohdana Zaleskiego na przełomie sierpnia i września 1854 roku. Nie zamierzam wszelako wdawać się w prostowanie nieścisłości dotyczących biografii, od których roi się w przedmowie Nowak. Nie zamierzam też trącić nie zaznaczonych [jakichkolwiek] odnośni-kiem zapożyczeń z opracowań mniej czy bardziej popularnych /za-pożyczeń, niekiedy - przez złośliwych - określanych jako ordy-narny plagiat/.

Jednym ze słów, powracających niemal obsesyjnie u Nowaka jest słowo "naród". To chyba wiele tłumaczy, przede wszystkim bałamuctwa. Bowiem -

NARÓD MAMY DO RZĄDZENIA RACZEJ OPORNY

Wybór z listów i artykułów Norwida podzielony został przez Nowaka na siedem części. Jak wiadomo, liczba ta zawsze miała znaczenie magiczne, w końcu siedem dni trwał akt stworzenia świata. Wszelako Nowak idzie dalej niżli biblijny Jahwe, który wszak siódmego dnia wypoczywał. Gdyby nie szczególna wymowa liczby siedem, wybór mógłby być podzielony na cztery, jedenaście albo trzydzieści osiem części /plus jedna dodatkowa/. Wypowiedzi Norwida, wybrane i przebrane przez Nowaka uświadamiają dwie kwestie: społeczeństwo polskie jeszcze nie dojrzało do tego, by nazywać się narodem oraz: emigracja jest odwrwana od istotnych problemów kraju. Te dwa stwierdzenia stają się udziałem czytelnika - "obywate-la" po ukończeniu lektury. Prawda zapomniałbym jeszcze o jednym, przez Nowaka, wydobyłym z zapomnienia: "OJCZYŻNA JEST TO WIELKI - ZBIOROWY - OBOWIĄZEK". Przeto podział na trzy części byłby znacznie bardziej uzasadniony. Lecz jest jak jest, a "trzy" to jednak liczba cokolwiek kłopotliwa, jak kłopotliwy jest chrześcijański światopogląd Norwida - naród mamy w zasadzie niewierzący.

Nie zamierzam twierdzić, iż Nowak dokonuje jakiejkolwiek bezpośredniej manipulacji na wypowiedziach Norwida, nie dopisuje mu żadnych twierdzeń. Wręcz przeciwnie. Żyjemy wszak w epoce, w której nawet Działy Adama Mickiewicza mogą być drukowane i wystawiane bez niezbędnych, a przywracających spójność wywodu skrótów. Wszystkie teksty Norwida przytoczone zostały dosłownie, oczywiście z koniecznymi opuszczeniami fragmentów, rozbijających całość myślową, zawierających jasność i klarowność tekstu. Jeno czyjego? Ja twierdzę, że autora wyboru, z Norwidem natomiast to niewiele ma wspólnego.

Każdy wybór, tak jak każda antologia, nosi na sobie piętno swojego twórcy. Nie miałbym nic przeciwko dziełu pt. *U lubio-ne wiersze Jana Dobraczyńskiego* czy *Skarbczyk nowelistyki polskiej* ułożony przez Jerzego Grzymkowskiego. Jako świadectwo recepcji potraktowałbym także broszurkę ułożoną przez Jerzego Roberta Nowaka czy Samuela Becketta /dzieło tego drugiego autora byłoby dla mnie znacznie ciekawsze, zaś ich kompetencja równa/ pt. *Moje szczególnie cenione cytaty i sentencje z publicystyki i korespondencji Cypriana Kamila Norwida*. Wszelako nie mogą zająć

takiej postawy wobec efektu pracy redaktora "Serii obywatelskiej", piętno tu bowiem nazbyt wyrażyste, zacieraające dokładnie obiekt piętnowany. Ma to być wydobycie z "cienia" szkodliwej prozą i bardzo bogatej korespondencji z podkreśleniem wybranej tematyki. A tematyka ta skądinąd jak najbardziej nęcąca: obowiązki narodu, krytyka inteligencji, negatywna ocena emigracji. Bynajmniej nie do wąskiego grona specjalistów adresowana jest ta książeczka. Specjaliści - "norwidologowie", jako że należą do inteligencji, znajdują się na marginesie społeczeństwa. Adresata wyraźnie określa nazwa serii - to "obywatele" /nakład też niemały - 50 000 egz./, w większości ludzie, którym nie udało się zdobyć U t w o r ó w w y b r a n y c h, P i s m w i e r s z e m i p r o z ą, P i s m w s z y s t k i c h czy innych mniej lub bardziej kompletnych zbiorów tekstów autora V a d e m e c u m. Na świadomości tych właśnie ludzi Nowak dokonuje manipulacji, ma czas odkrywając nieznanne dotychczas oblicze Norwida.

Norwidowska skłonność do uogólnień, do sądów kategorycznych została tu wykrzysztana - nie po raz pierwszy zresztą - nader perfidnie. Czytając ten wybór nader łatwo przychodzi zatracić świadomość, że mamy do czynienia z wypowiedziami pisarza XIX - wiecznego, analizującego, nie zawsze fortunnie, nie zawsze bez indywidualnych uprzedzeń, konkretną rzeczywistość historyczną, nie mającą n i c w s p ó l n e g o z n a s z ą. Słowa "inteligencja", "naród", "emigracja" posiadały dla Norwida konkretne znaczenie, których je pozahawia stworzona przez Nowaka e w a n g e l i a o b y w a t e l s k a, ukazująca narodowi jego obowiązki. Obowiązki, których Polacy, skłonni do anarchii na skutek zgubnego dziedzictwa szlacheckiego, nie chcą sobie przez lat tyle uświadomić, z których nie chcą bez sarkania wywiązywać się. A skoro nie chce naród słuchać władzy, to powinien słuchać Norwida, geniusza, którego słowa s ą w i e c z n i e z y w e. Już widzę czyma duszy, jak na zebraniu w wielkim zakładzie pracy, może być Huta, może być Stocznia /obydwie wszak noszą to samo imię/ w odpowiedni dzień odczytywany jest odpowiedni fragment, urczyłość ta transmitowana jest na cały kraj... - naród cały korzy się, bije w piersi i winy wyznaje, dopiero tak oczyszczony wystuchać jest go dzień słów myślicieli bardziej u n i w e r s a l n y c h ...

Tymczasem zaiste "gorzki to jest chleb" utrzymać we względnym porządku ten naród. I jakże niewdzięczny.

KORZONEK JEDEN

Jerzy Robert Nowak w sposób doprawdy niesłychany potrafi pozabawić cytowane teksty nie tylko ich historycznego kontekstu, ale odebrać im jakikolwiek sens. Na stronie 165 przytacza następujący w y b ó r z w i e r s z a P r a c a:

- twoje każde dzieło

Choćby się z trudów Herkulejskich wzięło

Niedopełnionym będzie i kalekiem;

Pękąd pojęcie pracy, korzeń jeden

Nie trwa, dopóty wszystkie tracą zgoła...

Wynika z tego, że gdy się znajdzie właściwy korzeń, gdy się posiada "pojęcie pracy", wtedy jest dobrze. A korzenia wszak nikt rozsądny nie pozabawia się, bowiem skażałyby się wówczas na uschnięcie! Tyle że te brednie niewiele mają wspólnego z Norwidowskim wierszem P r a c a. Przypomnijmy początek tego wiersza:

"Pracować musisz" - głos ogromny woła,
Nie z potem dłońi twej, lub twego
grzbietu,

/Bo prac początek, doprawdy, jest nie tu/:

"Pracować musisz z potem twego CZOŁA!" ...

Nowak Norwidowską filozofię pracy zredukował do radosnego zawo-
łania "do pracy rodacy, a krzepkę korzeń dzierżmy oburącz, bo
płynię on... /lecz nie, tum się chyba niecc zagalopował, aż tak
dalek Nowak się nie posuwa/. W miejsce trudu "z potem czoła"
autor wyboru podsuwa korzeń kręcącego w nosie, ale za to jakże
zdrowego chrzamu. Ta pożyteczna roślina, wedle przekonania ludo-
wych, nie dość, że korzystnie wpływa na trawienie, to jeszcze od-
ciąga szkodliwe humory z mózgu. Pożyteczny jest chrzan dla naro-
du, a przy tym jakże swojski, jakże rodzinny, słowiański i naro-
dowy. Jednocześnie gwarantuje on luksus niesłychany /chrzan jako
towar luksusowy?/ wszystkim obywatelom: pracować nie mu-
sisz z "potem czoła", inni zrobią to lepiej, pozostaje li-
tylko dostosowanie się do ich zaleceń, tym bardziej, że słuszne
ich racje potwierdza autorytet m.in. samego Norwida.

Nawet odpowiednio przystrugany dorodny ziemniak spełniać
może funkcje korzenia chrzamu - szczególnie wówczas, gdy idzie
o racje ważniejsze, niżli tzw. prawda.

Dzieło Jerzego Roberta Nowaka nie jest bynajmniej osiągnię-
ciem wyjątkowym w historii kształtowania umysłu narodu polskie-
go /jeden naród, jeden umysł i serce bije jedno... Chociażby w
roku 1968 teksty Norwida były wykorzystywane przez zaangażowa-
nych bez reszty publicystów w trakcie bezkompromisowej rozprawy
z inteligencją polską, która zawiodła zaufanie rządu i elementów
uświadomionych. Żerowanie na Norwidzie
jest procederem uprawianym od wielu lat. Redukuje się nieustan-
nie teksty autora Prometideona do funkcji pro-
też, odpowiednio dobrane cytaty uzupełniają luki w rozumowaniu,
podpierają wątpliwy autorytet publicysty. I to jak podpierają:
skroc współcześnie dochodził ten "zapoznany geniusz" to jakie po-
zytywnie fakt ten świadczy o samym dochodzącym, a jak niechlub-
nie o narodzie. Pojawia się zatem podstawa do stworzenia oparte-
go na regułach logiki rozumowania: jeżeli Norwid, głoszący
"gorzkie prawdy" był odrzucony przez swoich współczesnych, zaś
dzisiaj niezbyt przejmujemy się słowami Edmunda Męclewskiego
/albo innego, równie zaangażowanego mówcy/, to Edmund Męclewski
/albo inny, równie zaangażowany mówca/ jest co najmniej równy
Norwidowi. Co najmniej równy Norwidowi jest Jerzy Robert Nowak.
Więcej: Jerzy Robert Nowak z tekstów Norwida usunął niepotrzebne
dygresje, rozbijające tok wyводу, jego wypowiedzi uporządkował
w sposób jasny i przejrzysty. A dzięki temu wiele zyskały. A za-
tem... godzi się bardziej ufać komentatorowi niżli autorowi, bar-
dziej Nowakowi niżli Norwidowi - ten drugi bowiem z wielu dnoś-
nych problemów nie zdawał sobie sprawy, nadto grzęznął w idealiz-
mie i rozbił tok wyводу.

DEWASTACJA RUIN

Prawdziwe ruiny, ruiny stworzone przez czas, posiadają pew-
ną wagę - nie zawsze są zrujnowane w sposób właściwy. Skoro ru-
iny świadczą o przeszłości, powinny to czynić s ł u s z -
nie - tzn. chociażby zgodnie z obowiązującym powszechnie pod-
ręcznikiem historii. Z prawdziwymi ruinami kłopot: a to w miejscu

nieodpowiednim stoją, a to nieodpowiednie elementy eksponują, a to świadczą o nieodpowiednim narodzie, który ziemie te zamieszkiwał. Istnieją dwa rozwiązania tego problemu: budować ruiny nowe, potwierdzające porządek istniejący i rację stann. Tyle że to rozwiązanie nazbyt kosztowne, co więcej, mogłoby być przyjęte z dość mieszcznymi uczuciami, nie zawsze liczącymi z powagą mo- zolnie a z troską tworzony sytuacji, wypełniającej dotkliwą lukę w historii naszej. Przeto znacznie bardziej krzywdzące jest doko- nywanie koniecznych a mierzalnych korekt i reżyszy na ruinach już istniejących, usuwanie zbytecznych elementów, dobudowywanie innych, a wreszcie domalowywanie fresków, które powinny być nana- lowana zgodnie z obowiązującymi podręcznikami historii i wycho- wania obywatelskiego. Właśnie świadectwem takiego postępowania jest dla mnie książka przygotowana przez Jerzego Roberta Nowaka.

Twórczość Norwida przypomina ruinę /dotrwała do naszych cza- sów w formie szczątkowej, wiele tekstów zaginęło bezpowrotnie/ budowli wielce niekonsekwentnej, hybrydy, łączącej w sobie różne gmachy, różne epoki i style. Wszelako, jak wiemy, społeczeństwo polskie takich niejasnych sytuacji nie lubi, co więcej, takie sy- tuacje mogą być dlań nawet szkodliwe, wprowadzając zamęt i niepo- kój. Dlatego, zamiast rzetelnego, krytycznego wydania dzieł wszy- stkich, znacznie bezpieczniej jest prezentować mu wybory, wypisy, antologie czy wreszcie zbiory "złotych myśli", stosownych na ka- żdą okazję i na każdą porę roku, wyraziście podkreślające okre- ślona a sztuczna wymowę bezlitośnie masakrowanych tekstów. Cóż tam po litości, czy nawet po prawdzie, gdy o zasadę idzie!

Książka przygotowana przez Jerzego Roberta Nowaka, a inicju- jąca "Serię obywatelską" uniemożliwia jakkolwiek rzeczową pole- niki, byłoby to zresztą przedsięwzięcie równie bezsensowne, jak z wątkiem zabawa w "kopanego berka". Jest wytworem - chociaż za- brzmii to cokolwiek patetycznie - po prostu nie g o d z i w y m. Jest przede wszystkim przejawem elementarnego lekceważenia odbior- cy, któremu prezentowane są liczne nieścisłości biograficzne - ich sprostowanie nie wymaga szczególnej erudycji. Mniejsza z tym, odbiorca jest tu nieustannie pouczany i strofowany słowami wypo- wiedzi przypisywanych Norwidowi. Istotnie, są to wypowiedzi Nor- wida, tyle że odpowiednio spreparowane, przystosowane do właści- wego kierunku strofowania.

Zaznaczyć muszę, że jest dla mnie rzeczą nie do pojęcia do- minacja określenia "właściwy" nad "prawdziwy".

Norwid jest pisarzem, którego twórczość powszechnie jest znana /to samo dotyczy Mickiewicza, Zeromskiego, Brzozowskiego, Orzeszkowej, Prusa/ zaledwie fragmentarycznie, dzięki wyborom wznawianym w niedostatecznej ilości. I korekty, sporządzane przez Jerzego Roberta Nowaka, na takiej właśnie ruinie, uczyć mają od- biorcę kultury myślenia politycznego i społecznego. To doprawdy wyjątkowa bezcelność.

- "I począłem się w duchu tą myślą dziwować:
S z c z e g ó l n i e j s z a ? ! ... ż e m o ż n a

R u i n ę z e p s o w a ć ! ..."

te słowa z R z e c z y o w o l n o ś c i s ł o w a d o b i t- nie chyba świadczą o tym, że współcześnie Norwid nie może funkcjo- nować bez koniecznych poprawek, opuszczeń i przemilczeń, wszak jest to dziwowanie się nad zjawiskiem całkowicie naturalnym, zro- zumiałym i usprawiedliwionym.

Kłopot z "klasykami" literatury i myśli polega na tym, że w zasadzie ich teksty powinny być na nowo napisane, przede wszy-

szkim w sposób "słuszny" - raczej ideologiczne wszak dominują nad kategoriami estetycznymi, niestety, ta reguła była im obca. Pewne zagadnienia są niekiedy w dziełach klasyków niepotrzebnie skomplikowane, inne zaś nazbyt wyolbrzymione. Aż dziwne, jak bardzo literatura i myśl polska uznać nie chciała, co gorsza niekiedy także nie chce z uporem godnym lepszej sprawy, pryncypioń z racją stanu na czele. Dlatego pewne zabiegi są konieczne, dziwować się w duchu tą myślą nie ma po co.

Tak zwana literatura współczesna, czyli bieżące piśmiennictwo krajowe, szczególnie ta jego gałąź, którą opisuje formuła mówiąca o "natychmiastowym reagowaniu na problemy rzeczywistości" jest po prostu wytworem swoich autorów, nie demozujemy zbyttno tzw. polityki kulturalnej. R o k w t r u m n i e Romana Bratnego jest jaki jest, howiem został napisany przez Romana Bratnego, świadczy dobitnie, na co stać jego autora, który miał tylko tyle do powiedzenia. Jeżeli nie zajmuję się dorobkiem Jana Dobraczyńskiego, to tylko z jednego powodu: moim zdaniem jest to literatura mizerna, działalność publiczna jej twórcy ma dla mnie znaczenie drugorzędne. Problem poczytych powieściodeł podlanych su to sosesm strywializowanego katolicyzmu mnie nie interesuje, jak nie interesują mnie wydęte na pornografię usiłowania Zbigniewa Wienackiego, wolę arcydzieła tego gatunku, bez względu na to, co się będzie pisało na ten temat Wienacki pozostanie prowincjonalnym skandalistą, wzbudzającym niezdrowe sensacje w ścisłe ograniczonym kręgu, a raczej: oboznie odbiorców: jeżeli na Bezrybiu i rak ryba, to Wienacki może funkcjonować jako Octave Mirbeau /że na francuski nikt go nie przełoży - jestem dziwnie spokojny, a szkoda, to dopiero byłaby kompromitacja/. Inna sprawa, że bezrybie to stworzone zostało sztucznie, a im bardziej stan ten jest pielęgnowany, tym bardziej Grzymkowski pisarzem naszym największym, polityka kulturalna dotyczy dopiero sfery aksjologii. Wszelako oprócz dzieł pisarzy naszych reprezentatywnych, którymi poszczycić się można przy różnych okazjach, dostępne są jeszcze inne dzieła, tyle że nieco mniej słuszne, nie opierające się na naukowej analizie społeczeństwa, a zawierające w sobie najzwyczajjsze walory artystyczne. Przy okazji można rozpętać parę jałowych dyskusji, jak to miało miejsce chociażby w związku z "antypolskością" B l a s z a n e g o b ę b e n k a.

Natomiast książka przygotowana przez Jerzego Roberta Nowaka, a wydana przez Wydawnictwo Literackie, stanowi dla mnie problem znacznie poważniejszy. Jest to bowiem przekrojienie myśli Norwida do poziomu telewizyjnej dyskusji, poświęconej problemom bieżącym. Teksty Norwida zostały tu zredukowane do poziomu wypowiedzi publicystycznej, podejmującej problemy ważne dla społeczeństwa polskiego w określonej sytuacji politycznej i innej. A jest to - przypominam - p i e r w s z y t o m s e r i i, za nim pójdą inne. Zapewne Żeromski, Mickiewicz, Kochanowski, Prus, Koźniewski - tak, właśnie Koźniewski, on też się mocno biedzi nad sytuacją obywatela polskiego, i wielu, wielu innych. Oczywiście, jeżeli Prus to z podkreśleniem jego antysemityzmu, jeżeli Brzozowski, to bez A n t i - E n g e l s a. Bo po co zaciemniać klarowny obraz, po co ludziom utrudniać życie, niewiele mają však czasu, po pracy powinni odpoczywać, wchłaniając niekiedy gotowe formułki. Najwyższa pora skończyć z jałowym dzieleniem włosa na czworo, każdemu po łapce chrzamu i do roboty - tak idąc życia pojnował však sam Norwid, a któż godzien, by z nim polemizować? I wtedy okaże się, że o to samo nam chodzi, o co chodziło naszym wielkim pisarzem, którzy popadli w zapomnienie, zaś wystąpienie Albina Siwaka

jest po prostu twórczą kontynuacją Promethidiona, albo smętów Nad głębiami Asnyka. Potwierdzą to wszyscy obywatele, wychowani na "Serii obywatelskiej" pod redakcją Jerzego Roberta Nowaka i Katarzyny Krzemuskiej. Dziw bierze, że nakład tak znikomy, że dzieło nie zostało opatrzone atestem: "książka zatwierdzona przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania jako obowiązująca lektura szkolna dla wszystkich klas...". To doprawdy smutne niedopatrzenie. Mam nadzieję, że rychło zostanie naprawione. Inaczej bowiem przedsięwzięcie to rija się z celem. Nieufni i jednostki c. niepewnym kregostupie ideologicznym /tych, niestety, jeszcze nie brakuje/ będą się perfidnie uchylać przed lekturą tej książki. By tego uniknąć, proponuję wprowadzenie takiego chociażby przepisu: każdy, kto zechce być dopuszczony do kolejnych wyborów, powinien przed odpowiedzią komisją rozliczyć się z przestudiowania co najmniej trzech /może jednak: c z t e r e c h/ tomów "Serii obywatelskiej".

Książka Jerzego Roberta Nowaka jest nie tylko dowodem niekompetencji jej autora. Wybór myśli przezeń sporządzonych znacznie bliższy jest koncepcjom Dmowskiego czy Piaseckiego, niżli Norwida. zaś formuła "Gorzki to chleb jest polskość" nabiera całkowicie ironicznego znaczenia, tak jak z groteską graniczy stwierdzenie, iż Norwid jest pisarzem narodowym. Obecnie jeszcze się to stwierdzenie przedwcześnie, bwiem "naród" musi zostać poddany wielu zabiegom, by zechciał przyjąć takiego Norwida, jakiego ofiarowuje mu Nowak. Książka ta jest dla mnie dziełem barbarzyńcy, doskonale obeznanego z zasadami ekonomii. On już nie niszczy bezmyślnie przeszłości, on czyni to w określonym celu, co bardziej obrażające - czyni to w imię naszego dobra, dobra "narodu".

Nie mam pojęcia, jak długo będzie pokutował postulat u p r a s z c z a n i a i w u l g a r y z o w a n i a p r z e s z k o ś c i, jak długo społeczeństwo polskie będzie traktowane niczym gromada niedorozwiniętych umysłowo dzieci, które są zdolne tylko do przyswajania pamięciowego kilkunastu trywialnych formuł, najlepiej rymowanych. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze straszyc będą prymitywne wizerunki pisarzy i myślicieli, których cały dorobek jest opracowywany ad usum Delphini. Wszelako - jako się pewnym rozwiązaniem dokumentna infantylizacja świadomości. Gdzi się przeto przyznać, że Jerzy Robert Nowak w tym procesie już posiada pewne zasługi jako autor pierwszej części K a t e c h i z m u d o b r e g o P o l a k a / z w y k o r z y s t a - m i e m t e k s t ó w N o r w i d a / - taki bowiem tytuł moim zdaniem powinna ncsić ta książka.

A W KRAJU ...

Deprawdy, sam już nie wiem, ozy mam cieszyć się z wieści, którą nadaje od kilku dni polskie radio w programie pierwszym tuż przed hejnałem: "... na Bugu we Włodawie bez zmian...".

Osobliwą sytuację epistemologiczną przypomina dzieło, poświęcone Misiowi o Bardzo Małym Rozumku. Przypomnijmy:

"... im bardziej Puchatek zaglądał do środka, tym bardziej w środku nikogo nie było."

Szczególna rzecz: im bardziej podkreśla się w środkach masowego przekazu obowiązek troski o poprawność językową, im bardziej uświadamia się obowiązek powszechnej znajomości osiągnięć kultury polskiej, tym bardziej język dziennikarski, a także język wystąpień publicznych staje się bełkotem, tym bardziej oficjalne wizerunki wybitnych pisarzy, myślicieli i polityków graniczą z kary-

katurą. Ale to już wystawia świadectwo bezpośrednim i pośrednim twórcom tych zjawisk. Pozostaje nieustanna obrona przed zabiegami dewastacji umysłu. Inaczej bowiem przyjdzie nam stawiać Kraków na nowo, i to ściśle z planami innej stolicy, znacznie bardziej funkcjonalnej pod względem architektonicznym. I co tu dużo mówić: lepszej pod każdym innym względem. A Norwida pisać na nowo, zgodnie z wzorcem Majakowskiego czy Broniewskiego /poeci dadzą porządną rym i słuszną apostrofy, zaś Nowak wymowę i kręgosłup ideologiczny/-

październik 1984

Kresy, kresy

Aleksander Jurewicz

Lida

Pamięci mojego Ojca

1.

Wciąż mam pięć lat i marynarski
mundurek na sobie
Wciąż na dworcu czeka
ostatni repatriancki pociąg
Nikt nie wsiada do tego pociągu
Nikt nie płacze na peronie
Gdzieś zagubił się ojciec z maszyną
do szycia "Singer" zawiniętą w płótno
Mama nie ściska pod pachą
Matki Boskiej Ostrobramskiej
Nie słychać pierwszych odlatujących ptaków
które zagłuszają dziecięcy skowyt
"ja nie chcę da Polsczy..."

Dworzec w Lidzie jest pusty i senny
jakby i tutaj już dotarła dżuma
choć nie ogłoszono żadnego alarmu
nie hito w dzwony
żaden szczur nie przebiegł ulicą
Wrzesień zaczyna rozmieniać kopiejski
liści z pojedynczych drzew
Przed dworcem tylko ciężarówka
z której nikt nie wysiada
nie wynosi rzeczy
Kobieta i mężczyzna z pięcioletnim synem
na tej ciężarówce wpatrzni w jakąś dal
której nie będą mieli siły przejść
jakby czekali na odwrócenie losu
albo fotografa

2.

Lecz oto wjeżdża pociąg i ziemia
osunę się spod nóg
Krzyk i płacz tych którzy
tutaj zostaną na zawsze
i tych którzy odjeżdżają
i jeden wielki szloch który rozohodzi się
na wszystkie strony
i wiatr go niesie dalej
"Ajczyzna, bywaj!"
"Nie zabudim, ajczyzna!"
Lecz zaraz rusza pociąg ponaglany rozkazem
w niepolskim języku
i głowa przy głowie
i ciało przy ciele
znak krzyża w raptownym odruchu
ostatnie błyski miasta do zapomnienia
białoruski liść przykleił się
do azyby wagonu

matka ściskająca obraz Ostrobramskiej
ojciec pilnujący swojej maszyny "Singer"
w rytmie kół
w rytmie łoż
w takt modlitwy
w takt zawodzeń
na zachód!
jakby nas wieźli na rozstrzelanie
na nieznaną przyszłość
od ziemi oderwanych

3.

Nigdy nie pożegnałem tego miasta
Nigdy nie nauczę się tego miasta
Budzę się ciągle na jego ulicach
z odrapanymi kolanami z pudełkiem
klocków ściskanym w rękach
Budzi mnie śpiew kobiet wracających
z niedzielnych nieszpórów
i przekleństwa mężczyzn w sadzie
przy samogonie

- - -

Zatrzymałem się na progu czegoś szukając
i słyszę tylko głuche dudnienie kół pociągu
Ten pociąg jedzie
nie zatrzymując się nigdy

Gdańsk, w maju 1984

Druk bez wiedzy autora

Wojciech Książek

Moje Kresy

Uczestniczyłem ostatnio w prywatnej dyskusji poświęconej tematyce kresów. Generalnie, stanowisko różnych osób zabierających głos można zawrzeć w stwierdzeniu, że kresy są pamięcią geografii. Pojawiało się też magiczne już słowo - geniusz loci przenoszące myśli i nastroje zebranych w przestrzeń litewsko - białorusko - ukraińską. Słowa o nostalgii i przywiązaniu wspierane były dygresjami literackimi, pojawiały się nazwiska Wań-kowicza i Konwickiego, Miłosza i Malczewskiego, Mickiewicza i Kuncewiczowej, Słowackiego i Iwaszkiewicza. Ubecniały się postacie historyczne: Piłsudski z Trauguttem, Kalinowski z Reytanem, Gósczyński z Jasienicą.

Rozważania przeszły również na tematykę współczesną, pojawiła się teza, że współczesne kresy znajdują się bliżej - można je zlokalizować w rubieżach powojennych granic, ze szczególnym nasileniem w okolicach Gdańska i Wrocławia. Patrząc z perspektywy demograficznej te dwa miasta w szczególny sposób zaludniły się przybyzami ze wschodu i tu najmocniej zaczęły ujawniać się problemy wynikające ze zderzenia autochtonów /najpełniejszy ich opis zawiera "Błaszany bębenski" Grassa/ z ludnością napływową. To ścieranie i docieranie jest procesem, który wciąż trwa, ono nadaje dynamizm życiu tych miejsc. Dlatego te miasta najpełniej

odczuwają fikcją podawanych odgórnie form przeżywania rzeczywistości, bezruch myśli i metod, w nich jeszcze się życie wypracowuje, jeszcze się szuka najpełniejszych form jego spełnienia. Na postawę buntu i "nastrojów strajkowych" wpływa również status egzystencjalny rodowitych kresowiaków, dla których propozycja zaludniania pustyni blokowej jest sprzeczna z ich naturą twórczenia i życia w prawdziwym domu, często domu-redukcji. Mełocściankowe M-2,3 staje się poczekalnią, nierozpakowane walizki są woiąż gotowe do drogi. W swoim "bieskoniecznym putieszestwie" i przy dystansie wobec fikcyjnych wartości wytwarza się z kolei organiczna potrzeba tworzenia więzi, wartości szczególnie cenną staje się porozumienie grupowe wyznaczane wspólną myślą i uczuciem - szuka się ludzkiej solidarności.

Tak można streścić dwa główne ciągi myśli przewijające się w dyskusji. Słuchając uwag o szukaniu swego miejsca na mapie, wpisywania się w określone rodowody zadałem sobie pytanie - ja, potomek chłopów z Kongresówki - gdzie są moje kresy? Kówiąc najprościej - kresy są w nas. Są, albo ich istnienia jeszcze sobie nie uświadomiliśmy.

Czym innym jest bowiem przyspieszenie oddechu, skurcz krtań przy słuchaniu "Dziadów", czytaniu "Króla zamczyska", myśleniu o Unii i Powstaniach. To odzywają się nasze kresy wewnętrzne, kształtowane historią i literaturą. Są jednak i kresy inne, wywoływane naszymi lękami i snami, ekstazą i majaczeniem, odjazdami i powrotami - ciemne fantomy przebiegające nasz mózg i serce. Chyba bardziej serce. To one są naszym bólem i niemożnością poznania tajemniczy przebiegających impulsów, one wyostrzają nasz wzrok, gdy wchodzimy w ciemne gmatwaniny uliczek. Nie tylko Gdańsk czy Wrocławia - wszędzie gdzie jesteśmy, bo niesiemy je w sobie.

Gdzie jest ich centrum, ku któremu zdążają, gdzie jest ich "genius loci"? Czy imperaty, czujności i poszukiwania związany jest z "rajem utraconym", czy "ziemią obiecaną"? Te starohebrajskie wyznaczniki świadomości kolejnych pokoleń narodu żydowskiego nie przylegają do drogi, jaką wyznacza kresowy zespół bodźców naszej świadomości. Zamiast adoracji mitu wstępujemy w historię, zamiast lektury "Księgi Wiecznej" odczytujemy kolejne karty naszej "księgi żywej" wciąż stającej się i uzupełnianej, forma polskiego tragizmu też podlega ciągłej ewolucji i przemianom - spełnia się w coraz to innym kształcie.

Sądzę więc, że kresy nie są tylko miejscem na mapie, są zaś pojęciem szerszym ogarniającym wszystkich, którzy znajdują się w jakimś punkcie swego "etapu", są wciąż gotowi do kolejnych wtajemniczeń, gotowi do podjęcia trudu dalszej drogi. Moje kresy podszepują mi czasami, że w tej samotnej wędrówce nastanie moment i miejsce przecięcia się wielu indywidualnych szlaków.

Co wówczas nastąpi i czy będzie jeszcze jakies "potem"?...

Druk bez wiedzy autora

Kazimierz Nowosielski!

Stamtąd

Czy mnie choć trochę
rozumiesz - zapytał - Tak wchodzi ja tam
bożesz ty moją domowi nie poznawszy
Co ja tu chciałem - myślałem
- toż i Oszmian nie ma
i matka biednieńka przede mną
płacze
jakbym nie zza Buga
ale z wojny przyszedł.
Więc wrócić tak ja i widzisz
co przywiozłem
ot ten srebrzony zegarek
Podobno marki pabieda

Wiersz ukazuje się bez wiedzy autora

NOTY

Wolność czy wierność?

Georgij Władimow, "Wierny Rusłan", przeł. Andrzej Drawicz,
Wydawnictwo KRAG Warszawa 1984.

Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych powieść ta zaczęła kraść po Związku Radzieckim w samizdacie jej autorstwo przypisywano Sołżenicynowi lub Maksimowowi. Dopiero wydanie jej w 1975 roku przez emigracyjne wydawnictwo odsłoniło prawdziwego autora, którym okazał się Georgij Nikołajewicz Władimow. Reakcją była propozycja skierowana do pisarza "powrotu na łono literatury radzieckiej" czyli udzielenie wywiadu "Litieraturnoj Gazietie"; wywiad taki ukazał się 1 VI 1976 r. Ale powieść zaczęła żyć swoim życiem niezależnie od życia autora w kraju - po prostu zaczęły ukazywać się w innych krajach jej wydania. Władimowowi przedstawiono kolejną propozycję "powrotu" - odcięcie się zupełnie od swojej książki. Wobec tego autor "Wiernego Rusłana" wysłał list otwarty do Związku Pisarzy, w którym rzekł się członkostwa. W tym samym czasie został przewodniczącym Moskiewskiej Grupy Amnesty International. Wiadomo jakie to mogło ściągnąć konsekwencje na pisarza. Po wieloletniej "opiece" KGB Władimow zwrócił się listownie do Andropowa w styczniu 1983 r. o zezwolenie na emigrację i wiosną tego roku opuścił ZSRR wraz z rodziną. "Wierny Rusłan" jest historią grupy psów specjalnie szkolonych do pilnowania porządku w łagrze, które po likwidacji obozu przenoszą się do pobliskiej osady i tam żyją traktując to nowe miejsce jako następny obóz. Na tle tych psów wyróżnia się - nieprzypadkowe imię dla psa i książki - właśnie Rusłan: "Rusłan był najnormalniejszym na świecie psem, prawowitym synem tej psiej pramatki, którą strach przed ciemnościami i nienawiść do księżycy przynęcały do jaskiniowego ogniska człowieka i skłoniły do zamiany wolności na wierność" /podkr.moje/. Nie ma sensu opowiadać tej książki, którą trzeba zdobyć, przeczytać i przeżyć, bo mówi o jakże aktualnych dla nas problemach, przy jej lekturze warto jeszcze raz zastanowić się nad ową granicą, do której można dojść zamieniając wolność na wierność.

/jota/

Historia ku przestrodze

Marian Brandys, Strażnik Królewskiego Grobu, Wydawnictwo Iskry
Warszawa 1984

"Historia nie może służyć jedynie krzepieniu serc, musi także przestrzegać umysły". Tym aforyzmem - przesłaniem kończy się ostatnia książka Mariana Brandysa "Strażnik Królewskiego grobu". sięgająca w trzech osobnych szkicach do mało znanych epizodów naszej historii, jakby wstydlivych, najchętniej przemilczanych i spychanych w zapomnienie, a nadto mimo swej dawności drążących sumienia, przynajmniej niektórych, współczesnych Polaków.

Są to sensacyjne dzieje pośmiertne króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, którego trumna, mimo przenosin, wciąż nie może spocząć w ziemi ojczyznej, gdyż, jakby zgodnie z przepowiednią - klątwą, kroczą za nią obce wojska i granica państwa polskiego przesuwa się, pozostawiając kolejne miejsca pobytu króla niegdyś żywego, teraz martwego poza terytorium Polski. Jest historia mało znanego twórcy legionów polskich na Wotosczyźnie gen. Franciszka Ksawerego Dąbrowskiego, która stanowi swoisty fenomen "nikczemności i zdrady", tym osobliwszy, że ten w młodości bohaterki żołnierz Kościuszki, nie raz później zerwał na swojej niegdysiejszej dobrej sławie, omotując nawet Mochackiego w 1830 roku, a jednocześnie oddał się w nadzwyczaj gorliwą służbę cara i jego namiestników. Jest wreszcie gorzka, bardzo osobista opowieść o poruczniku Szczepanie Sawickim i jego towarzyszach z Ochotniczej Dywizji Białoruskiej gen. Bułaka-Bałachowicza, która walczyła po stronie Polaków w wojnie polsko-radzieckiej 1919-1920 i z wynikami tej wojny wiązała nadzieje, jakże boleśnie zawiedzione i zdradzone, na utworzenie wolnego Królestwa Białorusi. Wszystkie trzy szkice łączy refleksja nad splątanymi w gordyjski węzeł dziejami Polski i Rosji, odciskającymi się piętnem na losach królów, generatów i zwykłych obywateli. Znaczący w tej mierze jest już sygnał graficzny: okładka imitująca klepsydrę. W jej centrum umieszczono dwa orły: większy i jaśniejszy orzeł polski, królewski i jakby w głębi, w tle, jak nieodłączny cień, mały czarny dwugłowy orzeł carski, którego skrzydło jednak przesłania skrzydło białego orła. Wbrew pierwotnemu wrażeniu wrozkowemu to on właśnie jest na pierwszym planie. Lektura książki Brandysa nasuwa myśli, że często zbyt pochopnie wiele momentów naszej historii określamy mianem tragicznych, gdy świadczą tylko o oportuniźmie; zbyt skwapliwie zapominamy o epizodach niechlubnych czy wręcz gorszących, by nie psuć sobie dobrego samopoczucia. Choć groźna potęgą imperialnego sąsiada ograniczała swobodę działania polskich władców i zwolenników reform, zawsze mieli szansę wyboru s t y l u k l ę s k i, gdy obiektywnie stała się ona nieuchronna. Zawsze mogli z godnością ludzką i królewską dumą ulec przemocy, demaskując ją jako przemoc właśnie, a nie maskując jej prawdziwe oblicze swoją uległą zgodą na bezprawie i hańbiące poniżenie, za cenę własnego świętego spokoju lub co gorsza łask, profitów i kariery. Wielkie zasługi Stanisława Augusta dla kultury polskiej i dla Warszawy nie mogą zatrzeć faktu, że mogą być tragicznym królem, dokonał żywota jako tragiczny błąden. Jest jakas straszna sprawiedliwość nie tyle w tym, że trumna królewska nie spoczywa na Wawelu, bo być może kiedyś spocznie i słusznie, ale w tym, że jest prawdopodobnie p u s t a.

E.W.

Poezje i czyny

Jarosław Marek Rymkiewicz, Mogiła Ordona i inne wiersze z lat 1979 - 1984, Niezależna Warszawska Oficyna Poetów i Malarzy 1984.

Czytając poezje Jarosława Marka Rymkiewicza staje wciąż przed tym samym, ciągle nie rozwiązany dylematem: ile z naszego czasu, który odczuwamy jako dramatycznie niepowtarzalny, da się wypowiedzieć w formułach przetrwanych przez historię stylów? Czy moż-

liwe jest mówienie tylko przez wyjątkowość własnego doświadczenia? Ale i czy możliwe jest wypowiadanie siebie tylko przez odnawianie pamięci wypróbowanych przez literaturę formuł? Poezja Jarostawa Rymkiewicza nieustannie przypomina, że prawda o nas samych jest nie do odświeżenia bez próby odnawiania mowy ojców; mowy, która stała się czynem, rozstrzygając o porządku /czy nieporządku/ naszego trwania.

Dla Rymkiewicza istnieje coś takiego jak niezużywalny sens wielkich literackich świadectw. W "Mogile Ordo" wyznacza go przede wszystkim tradycja niepodległościowego romantyzmu. Ciągłe jesteśmy z niej - oto podstawowe przesłanie tego tomu. Ciągłe jesteśmy sprawdzani przez tamte czyny i pamięć ich znaczenia. Czy sprawdzani dość skutecznie? Czy dostatecznie głęboko rozpoznajemy się w nich? To są kwestie, które w sposób bardzo wyrazisty stawia ta książka, konsekwentna w swym stylu i także przez tę konsekwencję - niepokojąca i prowokująca do zadawania sobie pytań o znaczeniu podstawowym: skąd jesteśmy i gdzie jesteśmy? Ale i zarazem: jak wypowiedzieć to czegośmy doświadczyli?

Gorzka to poezja, gdy rozważa nad znakami orientującymi naszych przodków, które nam wydarto lub któreśmy sami zagubili.

J.P.

List do redakcji

Jeszcze jeden przypis do "Narodzin"

Gratuluje "Podpunktowi" - że jest, że istnieje i że, jak jego poprzednik, niezapomniany "Punkt", dba m.in. o dokumentację czasów, w których żyjemy, oraz powstającej w nich literatury.

Dokumentacja ta wymaga niekiedy uściślenia. Dotyczy to "Narodzin" Jerzego Andrzejewskiego. Datą ich pierwodruku nie jest rok 1979. Pod koniec roku 1976 Andrzejewski należał do grona założycieli i redaktorów "Zapisu". Pierwszy numer pisma, datowany: styczeń 1977, powstał głównie z tego, co każdy z członków zespołu miał w szufladzie. Andrzejewski wybrał na pierwsze ogień własnie "Narodzin", a do kolejnego numeru - niektóre inne fragmenty "Miazgi", m.in. ten o zaszczuciu i śmierci Pawła Jasienicy. W tym samym roku pierwsze numery "Zapisu" ukazały się również w Londynie, nakładem "Index on Censorship". Cała "Miazga" została wydana dwa lata później wspólnym wysiłkiem NOWEJ i redakcji "Zapisu", która zorganizowała była subskrypcję na legendarną już wówczas powieść Andrzejewskiego.

Nie wydaje się, żeby fabułę "Narodzin" można było uważać, jak to określa /jota/, za "jedną z kilku wersji zdarzenia, prawdziwości którego nie poznamy nigdy". Wersjami rozmowy telefonicznej, stoczonej pomiędzy Stalinem a Borysem Pasternakiem na temat aresztowanego Osipa Mandelsztama, są te, które odnotowali pamiętnikarze. W tej liczbie - najbardziej zainteresowana /i/, o dziwo, najmniej mająca Pasternakowi do zarzucenia/ Nadieżda Mandelsztam. Andrzejewski nie stawiał sobie za cel rekonstrukcji autentycznego wydarzenia, nie dysponował zresztą wystarczającymi informacjami o jego uczestnikach. Z zasłyszanej anegdoty wysnuł własną opowieść o fikcyjnym pisarzu Worotowie i o mechanizmie psychologicznym, mogącym funkcjonować w pewnej okrutnej i wręcz demonicznej sytuacji. Bardziej chyba niż Pasternakiem Worotow jest... Jsrzym Andrzejewskim - oczywiście także nie realnym, lecz wysnutym z wyobraźni skłonnego do autodemaskacji na zapas Jerzego Andrzejewskiego.

sierpień 1984

Wiktor Woroszyński

Dlaczego drugi zeszyt PODPUNKTU nie ukazał się w 1984 roku

Fisaliśmy o nim w pierwszym zeszycie - w dopisku z grudnia 1983 do "Słowa od redakcji" - że jest już ostatecznie przygotowany do druku. I był przygotowany. Przypuszczaliśmy, że ukaże się w pierwszych miesiącach 1984 roku. Stało się inaczej. To, co ukazuje się dzisiaj jako PODPUNKT nr 2, nie wypełnia naszej dawnej zapowiedzi - składa się z innych tekstów, z nowych tekstów, które przeznaczone były do późniejszych zeszytów. Pierwotnie zeszyt drugi wypełnić miała prawie w całości autobiografia Władysława Gancewicza "Człowiek nr 102078".

To było jasne od początku: nie można zwlekać z drukiem, przesuwając na później, wybierać te czy inne fragmenty. Wypowiedź, na jaką przypadkiem natrafiliśmy, jest tak przejmująca, jako świadectwo tak doniosła, że powinna wyjść poza wąski, "prywatny" krąg dotychczasowych czytelników przekazujących sobie z rąk do rąk kilka zniszczonych już egzemplarzy. Powinna być u p u b l i c z n i o n a - natychmiast i w całości. Właśnie dlatego postanowiliśmy opublikować autobiografię Gancewicza w drugim zeszycie PODPUNKTU. Razem z odredakcyjną notą, krótkim szkicem i istniejącymi dokumentami.

Anonimowość osób i niejawnosc mechanizmów niezależnego obiegu wydawniczego - pragmatycznie zrozumiała i konieczna, etycznie zaś ryzykowna - utrudnia rekonstrukcję dalszych losów przekazanego wydawcy maszynopisu. Co działo się z nim później? Nie wiemy.

Szczęśliwie autobiografia Gancewicza została w końcu upubliczniona, choć w odmiennym od zamierzonego kształcie edytorskim. Wydawnictwo "Przedświt", wydając "Człowieka nr 102078", opatrzyło swoją publikację następującym wyjaśnieniem: "Książka ta, podobnie jak jej Autor, ma swoje niezwykle dzieje. Prawie wydrukowana w roku 1983 - wpadła w łapy Bezpieki. Na początku marca 1984 roku Bezpieka nakryła podziemną drukarnię, gdzie książka ta była powtórnie drukowana. Złapano również łącznika wiozącego wydrukowane arkusze. To ostatnie podziemne wydawnictwo, zawieszając tymczasem swoją działalność, przekazało tę książkę nam. Jest to więc trzecie jakby wydanie tej książki, a pierwsze, które - mamy nadzieję - dotrze wreszcie do czytelników".

Do książki - z jakiego powodu? - nie weszła jedna z not, którą drukujemy tu poniżej już nie jako wstęp do lektury, lecz jedno z jej pierwszych, zapisanych świadectw.

0 człowieku numer 102078

Autobiografia wypełnia cały zeszyt PODPUNKTU, autobiografia symboliczna.

Ten, który przeżył opisywane w niej życie - swoje własne życie - ukrył się w cieniu zdarzeń, zatarł właściwy autobiografii związek między bohaterem zapisu i piszącym. Nie mówi o sobie "ja". Posiuguje się zaimkiem "on" i konspiracyjnym pseudonimem "Budrys". Nie umieszcza swego nazwiska na karcie tytułowej. Znajdziemy tam kolejny pseudonim W. ZCIWECANG, pseudonim tak jednak przejrzysty, iż nie sposób podejrzewać ukrytej pod nim osoby o chęć ucieczki przed prawdopodobną, więc w każdej chwili możliwą represją. Zresztą i tak liczne ślady i znaki identyfikacyjne rozsiane w tekście autobiografii pozwoliłyby bez trudu ustalić dane personalne

autobiografisty. Sens ukrycia musi być zatem inny. Najgłośniej wypowiada go tytuł: "Człowiek numer 102 078".

Oznaczony tym numerem więzień, skazany 22 maja 1945 roku i zesłany na ciężkie roboty na Syberię, od 5 sierpnia tego samego roku do 19 stycznia roku 1953 odbywał karę w Norylskim Górniczo-Metalurgicznym Kombinacie im. A. P. Zawieniagina. Był jednym z wielu. Ani mniej, ani bardziej niż inni doświadczonym przez los więźniem Kraju Rad. Ich biografie, biegnące różnymi drogami, niektórym udało się przeżyć i powrócić z zesłania, inni umierali na dalekiej północy, lecz i jedni, i drudzy zrównani zostali wobec "obiektywnego procesu dziejowego". Przypadł im w udziale los ofiar totalitarnego systemu utwierdzającego swój byt historyczny. Dlatego być może jeden z nich, spisując po latach dzieje swego życia, sam siebie pozbawił nazwiska, zrezygnował z prawa do mówienia "ja", jakby to, co przeżył, nie należało już wyłącznie do niego, lecz było, czy też miało się dopiero stać dzięki sile pióra: biografią uogólnioną, istniejącą w tysiącach wersji, choć w istocie tą samą-biografią symboliczną.

Władysław Gancewicz pozostawił nam świadectwo rozświetlające mroczne i ciągle nie dość dobrze znane dzieje setek tysięcy Polaków zesłanych i więzionych w "północnych okręgach Kraju Rad".

Urodził się w 1904 roku. Przeżył 78 lat. Niewiele wiemy o ostatnim okresie jego biografii, a przecież po powrocie z Rosji żył jeszcze ponad ćwierć wieku. Były to prawdopodobnie lata zwrócone ku przeszłości, przyniesione jej ciężarem.

Początkowo milczy. Wie, że nie nadszedł jeszcze czas, w którym jego opowieść mogłaby zostać wysłuchana. Jeśli mówi, to zapewne tak, jak inni więźniowie, przesiedleńcy i zesłańcy falami powracający do Polski w latach pięćdziesiątych - szepcąc, z napiętą uwagą, ostrożnie wybierając słuchaczy. Zmiana nastąpi dopiero na początku lat sześćdziesiątych. Gancewicz podejmuje wówczas urzędowy dialog z Rosją. W korespondencji z rosyjską administracją i z Ambasadą PRL w Moskwie przewijają się dwie sprawy: zaliczenie "stażu pracy" w Norylsku i rewizja wyroku. Obydwie ustalono przez Radę Ministrów ZSRR przelicznika "staż pracy w rejonach dalekiej północy i zrównanych z nimi zalicza się za jeden rok dwa lata pracy przy rentach starości, inwalidzkich i wysługi lat". Gancewicz może przejść na emeryturę i to jako człowiek niewinny, ponieważ orzeczeniem Sądu Najwyższego Białoruskiej SRR z dnia 9 kwietnia 1964 dawny wyrok "zmieniono i sprawę umorzono z uwagi na nie udowodnione oskarżenia. Gancewicz Władysław syn Antoniego w danej sprawie został zrehabilitowany". Urzędowej sprawidliwości stało się zadość - rachunek wyrównano, błędny wyrok uchylono. Tu lata spędzone w Norylsku były już ostatecznie zamknięte. Pozostała jednak żywa pamięć, której nie można urzędowo umorzyć. I ta pamięć właśnie domagała się czegoś więcej niż formalna rehabilitacja - domagała się głosu, domagała się postępu, możliwości wypowiedzenia prawdy. W 1964 roku Gancewicz ukończył swą autobiografię. Nadał jej tytuł "Człowiek numer 102 087". Rękopis przepisany został na maszynie i powielony w kilku egzemplarzach. Autobiografista nie mógł już nic więcej zrobić. Dał świadectwo. Teraz pozostało mu jedynie oczekiwać na niewiadomą chwilę spełnienia. Ponieważ czyjeś świadectwo wypełnia swą powinność dopiero wówczas, gdy podejma je inni.

Tekst, na którym opiera się niniejsza publikacja, trafił do nas przypadkiem. Składa się z blisko stu pięćdziesięciu stron ma-

szynopisowych odbitych na kserografie. Niektóre są niewyraźne i trudne do odczytania. W wielu miejscach ktoś poprawił długopisem zatarte słowa. Do tekstu dołączono dokumenty urzędowe uwierzytelniające autobiograficzną relację. Egzemplarz ten czytany być musiał przez wiele osób, znać na nim ślady niecierplivej lektury. Na stronie tytułowej niewprawną ręką dopisał ktoś ostatnią wiadomość o autorze:

"Zmarł dnia 6 VIII o g. 16^{ej} w samotności, po ciężkiej chorobie, w Gdańsku-Przymorze, w mieszkaniu kwaterunkowym, samodzielnym przy ul. Kołobrzeskiej 29/A/2.

Odwieziony i pogrzebany w Olsztynie 11 VIII 1982 r. na Cmentarzu Miejskim".

Cena 200zł

OFICyna
KSZTAŁT



Gdansk 1985